Joan Didon

Dryfując do Betlejem

Przełożył
Mikołaj Denderski

Joan Didon

Dryfując do Betlejem

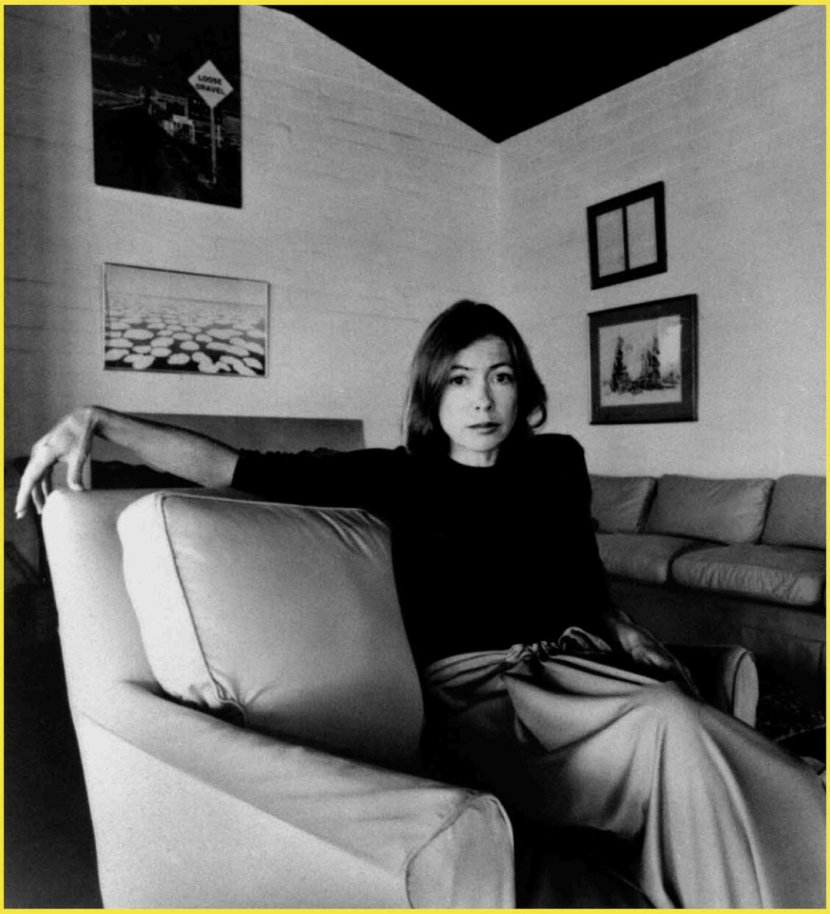

Przełożył
Mikołaj Denderski

Joan Didion

Dryfując do Betlejem

Przełożył Mikołaj Denderski

WYDAWNICTWO CYRANKA

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału: *Slouching Towards Bethlehem*

Copyright © 1968 by Joan Didion
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Cyranka, 2021
Copyright © for the Polish translation by Mikołaj Denderski, 2021

Projekt okładki Bartosz Szymkiewicz
Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Redakcja Magdalena Mrożek
Korekta Katarzyna Juszyńska, Ewa Polańska
Skład Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-957838-6-9

Wydanie I
Warszawa 2021

Wydawnictwo Cyranka
ul. L. Nabielaka 15/1A, 00-743 Warszawa
wydawnictwocyranka.pl

sprzedaż: marysia@wydawnictwocyranka.pl
redakcja: konrad@wydawnictwocyranka.pl

Dla Quintany

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Podziękowania
Epigraf
Przedmowa

I STYLE ŻYCIA W ZŁOTEJ KRAINIE
- Którzy śnią złoty sen
- John Wayne. Ballada miłosna
- Tam, gdzie pocałunkom nie ma końca
- Towarzysz Laski, PKSZA (M-L)
- Romaine 7000, Los Angeles 38
- California Dreaming
- Gody absurdu
- Dryfując do Betlejem

II ZAPISKI OSOBISTE
- O prowadzeniu notatnika
- O szacunku do siebie samej
- Ten potwór nadal siedzi mi w głowie
- O moralności
- O powrotach do domu

III SIEDEM MIEJSC DUCHA
- Zapiski córki tego kraju
- List z raju, 21°19′N, 157°52′W
- Skała wieków
- Wybrzeże rozpaczy

Guaymas, Sonora
Notatnik z Los Angeles
Wszystkiemu do widzenia

Przypisy

Podziękowania

Reportaż *Tam, gdzie pocałunkom nie ma końca* ukazał się pierwotnie w „The New York Time Magazine” pod tytułem *Just Folks at a School for Non-Violence*. Teksty *O prowadzeniu notatnika* i *Zapiski córki tego kraju* ukazały się pierwotnie w „Holiday”. Teksty *Ten potwór nadal siedzi mi w głowie* i *O moralności* opublikował pierwotnie „The American Scholar”, ten ostatni pod tytułem *The Insidious Ethic of Conscience*. Teksty *O szacunku do siebie samej* i *Guaymas, Sonora* ukazały się po raz pierwszy w „Vogue’u”. Tekst *Notatnik z Los Angeles* zawiera ustęp opublikowany pierwotnie jako *Santa Ana* w „The Saturday Evening Post”. Wszystkie pozostałe eseje były pierwotnie publikowane przez „The Saturday Evening Post”, część z nich pod innymi tytułami: *Którzy śnią złoty sen* jako *How Can I Tell Them Tehre’s Nothing Left; Romaine 7000, Los Angeles 38* jako *The Howard Hughes Underground*; *List z raju, 21°19′N, 157°52′W* jako *Hawaii: Taps Over Pearl Harbor; Wszystkiemu do widzenia* jako *Farewell to the Enchanted City*.

Autorka dziękuje wszystkim redakcjom za zgodę na przedruk tych esejów.

Kołując coraz to szerszą spiralą,
Sokół przestaje słyszeć sokolnika;
Wszystko w rozpadzie, w odśrodkowym wirze;
Czysta anarchia szaleje nad światem.
Wzdyma się fala mętna od krwi, wszędzie wokół
Zatapiając obrzędy dawnej niewinności.
Najlepsi tracą wszelką wiarę, a w najgorszych
Kipi żarliwa i porywcza moc.

Tak, objawienie jakieś się przybliża;
Tak, Drugie Przyjście chyba się przybliża.
Drugie Przyjście! Zaledwie wyrzekłem te słowa,
Ogromny obraz rodem ze Spiritus Mundi
Wzrok mój poraża: gdzieś w piaskach pustyni
Kształt o lwim cielsku i człowieczej głowie,
Z okiem jak słońce pustym, bezlitosnym,
Dźwiga powolne łapy, a wokoło krążą
Pustynnych ptaków rozdrażnione cienie.
Znów mrok zapada; lecz teraz już wiem,
Że dwadzieścia stuleci kamiennego snu
Rozkołysała w koszmar dziecinna kolebka –
I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,
Pełznie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?

W. B. Yeats, *Drugie Przyjście*, przeł. Stanisław Barańczak

Odwagi uczyłam się od Buddy, Jezusa,
Lincolna, Einsteina i Cary’ego Granta

Peggy Lee

Przedmowa

Ta książka nosi tytuł *Dryfując do Betlejem*, ponieważ od kilku lat pewne wersy z wiersza Yeatsa, który wydrukowano dwie strony wcześniej, odzywają się echem w moim uchu wewnętrznym, jakby wszczepiono je tam operacyjnie. „Kołowanie w coraz to szerszej spirali”, „sokół, który przestaje słyszeć sokolnika”, „oko jak słońce puste, bezlitosne” – takie były moje punkty odniesienia, jedyne obrazy pozwalające jakoś zorganizować znaczną część tego, co widziałam i słyszałam, i co myślałam. *Dryfując do Betlejem* to także tytuł jednego z rozdziałów w tej książce, który – powstały pod wpływem czasu spędzonego w Haight-Ashbury, dzielnicy San Francisco – był dla mnie ze wszystkich tych tekstów najbardziej domagającym się napisania, a równocześnie jedynym, który wywołał u mnie przygnębienie, gdy już ukazał się drukiem. To podczas jego pisania po raz pierwszy miałam się zetknąć w sposób bezpośredni i wolny od iluzji z oznakami atomizacji, dowodem na to, że wszystko się sypie. Wyjechałam do San Francisco, ponieważ od kilku miesięcy nie byłam w stanie pracować, sparaliżowana przekonaniem, że pisanie to akt bez znaczenia, że świat taki, jakim go rozumiałam, już nie istnieje. Jeżeli miałam jeszcze kiedyś w ogóle wziąć się do pracy, koniecznie musiałam ułożyć się z niełademm. To dlatego ten tekst miał dla mnie takie znaczenie. A kiedy został wydrukowany, zrozumiałam, że – niezależnie od tego, jak silne było moje przekonanie, że wypowiedziałam się wprost i bez złudzeń – nie zdołałam dotrzeć do wielu osób, które przeczytały ten reportaż, nawet do tych, którym przypadł do gustu. Nie zdołałam dać im do zrozumienia, że chodziło mi o coś większego niż opowieść o garstce dzieciaków noszących mandale na czołach. Dzwonili do mnie dziennikarze radiowi z propozycjami udziału w audycjach (na żywo) na temat „zepsucia” w Haight-Ashbury, a znajomi gratulowali mi, że zdążyłam z tekstem „w samą porę”, bo „teraz cała ta moda jest już przebrzmiała, *fini*, kaput”. Przypuszczam, że każdego, kto pisze, prześladuje czasami podejrzenie, że

nikt go nie słucha, ale mnie wtedy wydawało się (być może dlatego, że tekst był dla mnie ważny), jakbym nigdy nie spotkała się z reakcjami świadczącymi o tak powszechnie mylnym odczytaniu.

Niemal wszystkie teksty tu zamieszczone powstały w latach 1965, 1966 i 1967 dla różnych magazynów, a większość z nich była – miejmy już tę kwestię z głowy – „moim pomysłem". Poproszono mnie, żebym pojechała do Carmel Valley i napisała artykuł o działającej tam szkole Joan Baez. Oraz żebym pojechała na Hawaje. Zdaje się, że zamówiono u mnie tekst o Johnie Waynie. No i miałam też napisać krótkie eseje o „moralności" dla „The American Scholar" i o „szacunku do samej siebie" dla „Vogue'a". Trzynaście z dwudziestu tekstów ukazało się w „The Saturday Evening Post". Dosyć często piszą do mnie osoby z miejsc takich jak Toronto, które pragną wiedzieć (domagają się, bym im wyjaśniła), jak to jest, że sumienie pozwala mi pisać dla „The Saturday Evening Post". Odpowiedź jest bardzo prosta. Ludzie w „Post" są niezmiernie otwarci na to, co autorzy chcą zrobić, płacą im wystarczająco dużo, żeby mogli robić to dobrze, i przestrzegają zasady nieingerowania w powstały tekst. Od czasu do czasu kapituluję przed nimi w sporze o jakiś niuans tonu, ale nie odbieram tego jako pójścia na kompromis. Rzecz jasna, nie wszystkie teksty w tej książce poruszają „kwestię" ogólnego rozpadu, rozsypywania się świata; to spostrzeżenie na wyrost i cokolwiek aroganckie, a wiele z tych tekstów ma skromne rozmiary i osobisty charakter. Ale że nie jestem migawką aparatu ani też szczególnie nie przepadam za pisaniem o rzeczach, które mnie nie interesują, to wszystko, co w końcu napiszę, odzwierciedla, czasami nadmiarowo, moje odczucia.

Nie wiem, co jeszcze mogę wam powiedzieć o tych tekstach. Chyba to, że pisanie niektórych sprawiło mi więcej przyjemności niż pisanie innych, ale nad każdym z nich pracowało mi się trudno i każdy kosztował mnie więcej czasu, niż być może był wart. Że zawsze podczas pisania następuje u mnie taki moment, kiedy siedzę w pokoju dosłownie wytapetowanym falstartami i nie jestem w stanie połączyć ze sobą dwóch słów; kiedy wyobrażam sobie, że doznałam lekkiego udaru, który pozostawił mnie na pozór sprawną, ale wywołał afazję. Chyba nigdy nie chorowałam tak ciężko jak podczas pracy nad *Dryfując do Betlejem*; ból sprawiał, że w nocy nie spałam, więc przez dwadzieścia, czasem dwadzieścia jeden godzin na dobę piłam dżin z gorącą wodą, żeby przytłumić dolegliwości, po czym zażywałam dexedrine, żeby osłabić działanie dżinu, i pisałam. (Z chęcią

powiedziałabym wam, że pracowałam jak prawdziwa profesjonalistka, żeby zdążyć z tekstem na czas, ale to nie byłoby do końca prawdą; owszem, miałam wyznaczony termin złożenia tekstu, ale był to dla mnie również czas obfitujący w troski, a praca wpływała na nie tak, jak dżin wpływał na ból). Co jeszcze? Słabo mi idzie przeprowadzanie wywiadów. Unikam sytuacji, w których muszę rozmawiać z czyimś agentem prasowym. (To wyklucza pisanie artykułów o większości aktorów – co samo w sobie jest pewną premią). Nie lubię telefonować i nie chciałabym stanąć przed koniecznością zliczenia poranków, kiedy siedziałam na łóżku w jakimś motelu Best Western i starałam się zmusić do wybrania numeru zastępcy prokuratora okręgowego. Na moją korzyść jako reporterki działa jedynie to, że fizycznie jestem tak nieduża i mam tak nienarzucający się sposób bycia, a do tego wyduszenie z siebie słowa przychodzi mi z trudnością wręcz neurotyczną – że dzięki temu ludzie zwykle zapominają, że moja obecność stoi w sprzeczności z tym, co leży w ich interesie. Zawsze. To ostatnia sprawa, o której warto pamiętać: pisarze zawsze kogoś wystawiają.

I Style życia w złotej krainie

Którzy śnią złoty sen

To opowieść o miłości i śmierci w złotej krainie, a początek ma w ziemi. Dolinę San Bernardino dzieli od Los Angeles jedynie godzina jazdy na wschód prowadzącą ku miastu San Bernardino autostradą, ale pod pewnymi względami to obce miejsce – to nie nadbrzeżna Kalifornia podzwrotnikowych zmierzchów i łagodnych zachodnich bryz znad Pacyfiku, lecz Kalifornia bardziej surowa, z pustynią Mojave czającą się tuż za górami, to miejsce pustoszone przez gorący wiatr Santa Ana, który przewala się przez przełęcze z prędkością stu mil na godzinę, z jękiem przebija się przez wiatrochrony z nasadzeń eukaliptusów i szarga nerwy. Październik to niedobry miesiąc ze względu na wiatr, to miesiąc, w którym oddycha się z trudem, a na wzgórzach dochodzi do samozapłonów. Nie padało od kwietnia. Każdy odgłos brzmi jak krzyk. Gdziekolwiek wieje wiatr, tam nastaje sezon samobójstw i rozwodów, i strachu porosłego cierniami.

W tej złowrogiej krainie osiedlili się mormoni, po czym ją porzucili, ale zanim się z niej zabrali, zdążono tam posadzić pierwsze drzewko pomarańczowe – odtąd przez kolejnych sto lat dolina San Bernardino miała przyciągać ludzi, którzy wyobrażali sobie, że mogliby mieszkać pośród tych owoców o mocy talizmanu i wieść dostatnie życie w suchym klimacie, ludzi, którzy przynosili ze sobą architekturę, kuchnię i modlitwy typowe dla Midwestu, starając się przeszczepić je na tę ziemię. Przeszczep przyjął się osobliwie. Oto Kalifornia, w której można przeżyć całe życie, nie zjadłszy karczocha, nie spotkawszy katolika ani Żyda. Oto Kalifornia, gdzie nie brak numerów telefonów, pod którymi automatyczna sekretarka odczyta modlitwę, za to trudność sprawi kupienie książki. To kraina, w której wiarę w dosłowną interpretację Księgi Rodzaju niepostrzeżenie zastąpiła wiara w dosłowną interpretację *Podwójnego ubezpieczenia*, kraina tapirowanych włosów, spodni trzy czwarte i dziewczyn, których oczekiwania wobec życia sprowadzają się do białej sukni ślubnej do połowy łydki i urodzenia

Kimberly albo Sherry, albo Debbi, potem rozwodu w Tijuanie i powrotu do szkoły fryzjerskiej. „Byliśmy tylko postrzelonymi małolatami”, mówią bez cienia żalu, spoglądając w przyszłość. Przyszłość w złotej krainie zawsze przedstawia się dobrze, ponieważ tu nikt nie pamięta przeszłości. To tutaj wieje gorący wiatr, a stare obyczaje straciły na znaczeniu, tu wskaźnik rozwodów jest dwukrotnie wyższy od średniej krajowej, a jedna osoba na trzydzieści osiem mieszka w przyczepie. Tu znajduje się przystanek końcowy tych wszystkich przybyszów z daleka, tych wszystkich, których poniosło z dala od chłodu i przeszłości, i starych obyczajów. To tutaj próbują odnaleźć nowy styl życia, szukając go w jedynych znajomych miejscach, w których mogą szukać: w filmach i w gazetach. Sprawa Lucille Marie Maxwell Miller stanowi wzniesiony przez tabloidy pomnik tego nowego stylu życia.

Najpierw wyobraźmy sobie Banyan Street, bo to stało się właśnie na Banyan. Żeby tam dotrzeć, należy się wydostać z San Bernardino, jadąc najpierw Foothill Boulevard w kierunku zachodnim, a potem Route 66 na północ – minie się stacje rozrządowe do Santa Fe i ukaże się motel Forty Winks. Za motelem, na który składa się dziewiętnaście wigwamów krytych tynkiem ze znakiem SPANIE W WIGWAMIE, NAJLEPIEJ WYDANE WAMPUMY [1]. Potem tor do wyścigów równoległych w Fontanie oraz świątynia Kościoła Nazarejczyka, a także Pit Stop A Go-Go. Następnie obok huty Kaiser Steel, przez Cucamonga, jedzie się aż do restauracji i kawiarni Kapu Kai na rogu Route 66 i Carnelian Avenue. Od Kapu Kai, co tłumaczy się jako „zakazane morza”, dalej trasą Carnelian Avenue na północ, mijając na podwórkach lokalnej zabudowy łopoczące wściekle w porywistym wietrze banery. RANCZA PÓŁAKROWE! SNACK-BARY! POSADZKI Z TRAWERTYNU! UPUST 95 $. To szlak fiksacji pewnej intencji, dryfujące śmieci Nowej Kalifornii. Wkrótce jednak tłum reklam przy Carnelian Avenue się przerzedza, a jasne pastelowe domostwa właścicieli Springtime Home’ów ustępują miejsca przyblakłym bungalowom ludzi, którzy hodują po kilka krzewów winorośli i trochę kurczaków; dalej robi się bardziej stromo, nawet bungalowów jest niewiele, i oto pojawia się – opustoszała, nierówna, biegnąca przez gaje eukaliptusowe i cytrynowe – Banyan Street.

Podobnie jak znaczna część tej krainy Banyan ma w sobie coś dziwacznego i nienaturalnego. Gaje cytrynowe leżą poniżej drogi podpartej wysokim na trzy, cztery stopy murem oporowym, tak że człowiek ma

bezpośredni wgląd w ich gęste listowie, zbyt bujne, niepokojąco połyskliwe, zielone zielenią rodem z koszmarów; opadła kora eukaliptusów jest zbyt pylista, tu mogą się mnożyć węże. Kamienie nie wyglądają jak zrodzone przez naturę, lecz jak gruzowisko po jakimś nieznanym z nazwy przewrocie. Widać ślady ognisk przeciw insektom i nieczynną cysternę. Po jednej stronie Banyan rozciąga się płaskodenna dolina, a po drugiej piętrzą się Góry San Bernardino – ciemna masa, która wznosi się zbyt wysoko, zbyt gwałtownie, dziewięć, dziesięć, jedenaście tysięcy stóp ponad gajami cytryn. O północy przy Banyan Street nie świeci się żadne światło i nie słychać zupełnie nic oprócz wiatru w eukaliptusach i stłumionego szczekania psów. Może gdzieś tam znajduje się buda, a może psy to kojoty.

To przez Banyan Street Lucille Miller wracała do domu z całodobowego marketu Mayfair w nocy 7 października 1964 roku; księżyc był w nowiu i wiał wiatr, a jej skończyło się mleko, i to na Banyan Street tej nocy około wpół do pierwszej jej volkswagen rocznik ’64 zatrzymał się, gwałtownie zajął się ogniem i stanął w płomieniach. Przez godzinę i piętnaście minut Lucille Miller biegała po Banyan wte i wewte, wzywając pomocy, ale nie przejeżdżał tamtędy żaden samochód i pomoc nie nadeszła. O trzeciej nad ranem, kiedy pożar był już ugaszony, a funkcjonariusze kalifornijskiej straży drogowej kończyli spisywać raport, Lucille Miller nadal szlochała, wyrzucając z siebie nieskładne zdania, ponieważ w volkswagenie przebywał jej śpiący mąż.

– Co ja powiem dzieciom, skoro w trumnie… w trumnie niczego nie będzie? – zawodziła do przyjaciółki, którą wezwano, żeby ją uspokoić. – Jak ja im powiem, że nic nie zostało?

W rzeczywistości coś jednak zostało, i tydzień później spoczywało w kaplicy pogrzebowej Draper w zamkniętej trumnie z brązu przykrytej różowymi goździkami. Około dwóch setek żałobników słuchało, jak prezbiter Robert E. Denton z Kościoła Adwentystów Dnia Siódmego z Ontario wygłasza mowę o „nastroju furii, która wśród nas rozgorzała”.

– Gordon Miller – powiedział – nie zazna już śmierci ani cierpienia duszy, ani nieporozumień.

Prezbiter Ansel Bristol wspomniał „osobliwy” smutek tej godziny. Prezbiter Fred Jensen pytał:

– „Cóż bowiem za korzyść odniesie człowiek, choćby cały świat zyskał, a na swej duszy szkodę poniósł?” [2]

Padał lekki deszcz, co w porze suchej jest błogosławieństwem; wokalistka śpiewała *Safe in the Arms of Jesus*. Całe nabożeństwo nagrano dla wdowy, której nie wypuszczono za kaucją z aresztu hrabstwa San Bernardino, gdzie trafiła pod zarzutem dokonania zabójstwa z premedytacją.

Oczywiście, że nie pochodziła stąd; przybyła z prerii w poszukiwaniu czegoś, co zobaczyła na filmie albo usłyszała w radiu, ponieważ to historia z południowej Kalifornii. Urodziła się 17 stycznia 1930 roku w Winnipeg w Manitobie jako jedyne dziecko Gordona i Lily Maxwellów, pary nauczycieli z zaangażowaniem udzielających się w Kościele Adwentystów Dnia Siódmego, którego członkowie obchodzą dzień święty w sobotę, wierzą w apokaliptyczne proroctwo Powtórnego Przyjścia, odznaczają się silnymi skłonnościami misjonarskimi, a ci ortodoksyjni nie palą, nie piją, nie jedzą mięsa, nie malują się ani nie noszą biżuterii, nawet obrączek. Kiedy Lucille Maxwell szła na studia do koledżu Walla Walla w College Place w stanie Waszyngton – szkoły adwentystów, w której wykładali wówczas jej rodzice – była osiemnastolatką niewyróżniającą się za bardzo urodą, za to bardzo wyróżniającą się temperamentem.

– Lucille chciała poznać świat – powie o tamtym czasie jej ojciec. – I chyba się przekonała, jaki jest.

Ów temperament raczej nie sprzyjał przesadnemu skupieniu się na nauce w koledżu Walla Walla i tak wiosną 1949 roku Lucille Maxwell poznała i poślubiła Gordona („Corka”) Millera, dwudziestoczteroletniego absolwenta Walla Walla oraz szkoły dentystycznej Uniwersytetu Oregońskiego, który stacjonował wówczas w forcie Lewis jako oficer medyczny.

– Można to chyba nazwać miłością od pierwszego wejrzenia – wspomina pan Maxwell. – Zanim jeszcze się oficjalnie poznali, Gordon posłał Lucille bukiet osiemnastu róż z bilecikiem, w którym pisał, że nawet jeśli się z nim nie umówi, to ma nadzieję, że chociaż róże przypadną jej do gustu.

Maxwellowie zapamiętali, że w dzień ślubu ich córka „wręcz promieniała”.

Nieszczęśliwe małżeństwa są do siebie tak podobne, że nie potrzebujemy wiedzieć za dużo o przebiegu akurat tego przypadku. Cork i Lucille Millerowie mogli mieć jakieś trudności albo ich nie mieć już na

Guam, gdzie mieszkali, kiedy on kończył służbę w wojsku. Mogli mieć jakieś trudności w małym miasteczku w Oregonie, gdzie początkowo otworzył prywatną praktykę. Wygląda na to, że przeprowadzka do Kalifornii była dla nich pewnym rozczarowaniem – Cork mówił znajomym, że chciałby zostać lekarzem, że źle się czuje jako dentysta i że zamierza zapisać się na studia w Kolegium Medycznym Adwentystów Dnia Siódmego w Loma Linda, kilka mil na południe od San Bernardino. Zamiast tego kupił gabinet dentystyczny na zachodnim skraju hrabstwa San Bernardino i tam też sprowadził rodzinę – do skromnego domu przy jednej z tych ulic, po których licznie jeżdżą trójkołowe rowerki, a ludzie, zaopatrzeni w kredyty odnawialne, snują marzenia o większych domach przy lepszych ulicach. Był rok 1957. Nim nastało lato 1964, Millerowie dorobili się już większego domu na lepszej ulicy, a także atrybutów dobrze rokującej rodziny: trzydziestu tysięcy dolarów dochodu rocznie, trójki dzieci na świątecznej kartce, panoramicznego okna, salonu oraz zdjęć w gazecie podpisanych: „Małżonka pana Millera, przewodnicząca Ontario Heart Fund…”. Płacili za to dobrze znaną cenę. I nadeszła dla nich dobrze znana pora rozwodu.

To mogło przydarzyć się każdemu – podobnie złe lato, podobny napad gorąca i nerwów, migreny i obaw o finanse, ale akurat u Millerów ten okres zaczął się szczególnie wcześnie i dał im się we znaki wyjątkowo dotkliwie. 24 kwietnia nagle zmarła ich dobra znajoma, Elaine Hayton; Lucille Miller dopiero co widziała się z nią poprzedniego wieczoru. W maju Cork Miller trafił na krótko do szpitala z powodu krwawiącego wrzodu, a jego zwykłe wycofanie przeszło w depresję. Powiedział swojej księgowej, że robi mu się niedobrze od patrzenia w otwarte usta, i groził samobójstwem. 8 lipca, w nowym domu na akrowej działce przy Bella Vista 8488, konwencjonalne napięcia doprowadziły do konwencjonalnego impasu i Lucille Miller wniosła pozew o rozwód. Nie minął jednak miesiąc, a małżonkowie wydawali się pogodzeni. Poszli na terapię. Planowali czwarte dziecko. Wyglądało na to, że zawarli dobrze znany rozejm, dotarli do miejsca, w którym tak wielu godzi się z koniecznością ograniczenia swoich strat poprzez ograniczenie oczekiwań.

Ale sezonowi kłopotów u Millerów nie było dane zakończyć się w tak prosty sposób. 7 października zaczął się – zupełnie banalnie – jeden z tych dni, które przynoszą drobne frustracje i działają na nerwy swoją monotonią. Po południu w San Bernardino temperatura sięgnęła trzydziestu dziewięciu

stopni Celsjusza, a dzieci Millerów siedziały w domu z powodu strajku Teachers' Institute. Trzeba było zawieźć pranie do magla. Do tego wyprawić się po receptę na nembutal, do samoobsługowej pralni chemicznej. Wczesnym wieczorem nieprzyjemne zdarzenie z volkswagenem: Cork Miller potrącił śmiertelnie owczarka niemieckiego i poskarżył się później, że czuje się, jakby mu ktoś przejechał ciężarówką po głowie. Tą frazą posługiwał się często. Zgodnie ze stanem na tamten wieczór Cork Miller był zadłużony na 63 479 dolarów, z czego 29 637 dolarów stanowiło kredyt na nowy dom, i to obciążenie widocznie go przytłaczało. Był człowiekiem, który źle znosił mierzenie się z codziennymi obowiązkami i niemal stale skarżył się na migrenowe bóle głowy.

Tego wieczoru zjadł kolację sam, przy stoliku przed telewizorem w salonie. Później Millerowie oglądali Johna Forsythe'a i Sentę Berger w *See How They Run*, a kiedy film się skończył, około jedenastej, Cork zaproponował, żeby pojechać do sklepu po mleko. Chciał się napić gorącej czekolady. Wziął z kanapy koc i poduszkę i załadował się do volkswagena na fotel pasażera. Lucille Miller pamięta, jak sięgała do jego drzwi, żeby je zamknąć, nim wycofała z podjazdu na ulicę. Kiedy wyszła z marketu Mayfair i jeszcze na długo przed wjazdem na Banyan Street, Cork Miller sprawiał wrażenie pogrążonego we śnie.

W umyśle Lucille Miller panuje pewna konsternacja, jeśli chodzi o zdarzenia między wpół do pierwszej w nocy, kiedy to wybuchł pożar, a pierwszą pięćdziesiąt, kiedy go zgłoszono. Mówi, że jechała Banyan Street na wschód z prędkością jakichś trzydziestu pięciu mil na godzinę, kiedy poczuła, jak volkswagena ściąga gwałtownie na prawo. W mgnieniu oka samochód znalazł się na skarpie, tuż nad krawędzią muru oporowego, a za jej siedzeniem buchały płomienie. Nie pamięta, jak wyskoczyła. Pamięta za to, że podważyła kamień, którym rozbiła szybę drzwi po stronie męża, i jak zeszła po murze oporowym w poszukiwaniu kija.

– Nie wiedziałam, jak go stamtąd wypchnę – mówiła. – Po prostu myślałam, że gdybym miała kij, tobym go jakoś wypchnęła.

Niczego nie znalazła, więc po chwili pobiegła do skrzyżowania Banyan i Carnelian Avenue. Nie ma tam domów i prawie żadnego ruchu. Kiedy jeden samochód minął ją bez zatrzymania się, Lucille Miller pobiegła z powrotem do płonącego volkswagena. Nie przystanęła przy aucie, tylko zwolniła i w płomieniach zobaczyła swojego męża. Był, jak zeznała, „cały czarny".

W pierwszym domu przy Sapphire Avenue, pół mili od volkswagena, Lucille Miller wreszcie znalazła pomoc. Mieszkająca tam małżonka Roberta Swensona wezwała szeryfa, a także na prośbę Lucille zadzwoniła do Harolda Lance'a, prawnika Millerów i przyjaciela rodziny. Gdy Harold Lance dotarł na miejsce, zawiózł Lucille pod opiekę swojej żony, Joan. Harold i Lucille dwukrotnie wracali na Banyan Street, aby porozmawiać z funkcjonariuszami straży drogowej. Za trzecim razem Lance pojechał sam, a kiedy wrócił, powiedział Lucille:

– Dobra… Od tej chwili ani słowa.

Kiedy nazajutrz po południu Lucille Miller aresztowano, towarzyszyła jej Sandy Slagle. Sandy to emocjonalna, zaciekle lojalna studentka medycyny; kiedyś opiekowała się dziećmi Millerów, a gdy skończyła liceum w 1959 roku, była dla nich jak członek rodziny. Jej własna sytuacja rodzinna była nieciekawa, Millerowie przygarnęli ją do siebie, i dziewczyna uważała Lucille Miller nie tylko za „mniej więcej matkę albo siostrę", ale wręcz za „najwspanialszą osobę", jaką znała. W noc zdarzenia Sandy Slagle przebywała w akademiku Uniwersytetu Loma Linda, ale Lucille Miller zadzwoniła do niej wcześnie rano i poprosiła, żeby przyjechała do domu. Kiedy Sandy dotarła na miejsce, zastała tam lekarza podającego Lucille zastrzyk nembutalu.

– Płakała, kiedy lek zaczynał działać – wspomina Sandy Slagle. – Bez przerwy powtarzała „Sandy, tyle godzin próbowałam go uratować, a oni teraz chcą mi zrobić coś takiego?".

O wpół do drugiej po południu przy Bella Vista 8488 zjawili się sierżant William Paterson oraz śledczy Charles Callahan i Joseph Karr z Centralnego Wydziału Zabójstw.

– Jeden z nich podszedł do drzwi sypialni – mówi Sandy Slagle – i powiedział do Lucille: „Ma pani dziesięć minut, żeby się ubrać, albo zabierzemy panią w tym, co ma na sobie". Była w koszuli nocnej, rozumiesz, więc starałam się ją ubrać.

Teraz Sandy Slagle relacjonuje tamte wydarzenia, jakby nauczyła się ich na pamięć, a powieka nawet jej nie drgnie.

– Więc założyłam jej majtki i stanik, a oni znowu otworzyli drzwi, więc wciągnęłam na nią jakieś rybaczki i okryłam, no, jakimś szalem. – Głos się jej załamuje. – I potem po prostu ją zabrali.

Do aresztowania doszło w dwanaście godzin od przyjęcia zgłoszenia o wypadku na Banyan Street, i na to szybkie tempo powoła się później

prawnik Lucille Miller, dowodząc, że cała sprawa to przykład usprawiedliwienia pochopnego zatrzymania. W rzeczywistości tym, co przybyłym na Banyan Street tego ranka detektywom kazało poświęcić wypadkowi większą niż rutynowa uwagę, był ciąg niespójnych, jak się zdawało, szczegółów fizycznych. Lucille Miller zeznała, że jechała z prędkością około trzydziestu pięciu mil na godzinę, kiedy pojazd wypadł z drogi i się zatrzymał, jednak oględziny stygnącego volkswagena wykazały, że wrzucony był niski bieg i że włączone były światła postojowe, a nie światła do jazdy. Co więcej, przednie koła nie znajdowały się w położeniu, na jakie wskazywałby podany przez Lucille Miller opis wypadku, a tylne prawe koło było głęboko zakopane, jak gdyby obracało się w miejscu. Ponadto śledczym wydało się zastanawiające, że gwałtowne zatrzymanie jadącego trzydzieści pięć mil na godzinę samochodu – ten sam wstrząs, który miał doprowadzić do wywrócenia się stojącego na tylnym siedzeniu kanistra z benzyną i w jakiś sposób spowodować jej zapłon – pozostawiło w pozycji pionowej dwa kartony mleka na podłodze z tyłu i nie przemieściło także leżących na tylnym siedzeniu szczątków pudełka z polaroidem.

Od nikogo nie można jednak oczekiwać, że zda bezbłędną relację na temat tego, co się działo, a co nie, w chwili grozy, więc żadna z tych niespójności sama w sobie nie wydawała się niepodważalnym dowodem zbrodniczych zamiarów Lucille. Zainteresowały one jednak biuro szeryfa, podobnie jak rzekomy brak przytomności Gordona Millera w chwili wypadku, a wreszcie również czas, który zajęło jego żonie sprowadzenie pomocy. Ponadto uwagę śledczych zwróciła postawa Harolda Lance’a, kiedy przyjechał na Banyan Street po raz trzeci i zobaczył, że dochodzenie bynajmniej nie dobiegło końca.

– To, jak zachowywał się Lance – powiedział później prokurator – dało im do myślenia, że może właśnie na coś trafili.

I tak już rankiem 8 października, jeszcze zanim do Lucille przyjechał lekarz z zastrzykiem uspokajającym, biuro szeryfa hrabstwa San Bernardino pracowało nad swoją wersją tego, co mogło się rozegrać na Banyan Street między wpół do pierwszej a za dziesięć druga. Hipoteza, którą ostatecznie przedstawiono, zasadzała się na dosyć karkołomnym założeniu, że Lucille Miller uknuła plan, który się nie powiódł – plan polegający na zatrzymaniu samochodu na odludnej drodze, oblaniu benzyną przypuszczalnie otumanionego lekami męża i przy użyciu kija

dociskającego pedał gazu wolnym „przeprowadzeniu” volkswagena przez nasyp pobocza, z którego poleciałby cztery stopy w dół po murze oporowym do gaju cytrynowego i niemal na pewno eksplodował. Gdyby do tego doszło, Lucille Miller mogłaby następnie jakoś pokonać dwie mile wzdłuż Carnelian do domu na Bella Vista, zanim odkryto by wypadek. Ten plan zawiódł z chwilą, w której – według hipotezy biura szeryfa – samochód nie zdołał sforsować wzniesienia nasypu. W tej sytuacji Lucille Miller mogła ulec panice (kiedy, powiedzmy, trzeci albo czwarty raz z rzędu zdusiła silnik, na ciemnej drodze, już po rozlaniu benzyny, pośród ujadania psów i podmuchów wiatru, czując trudną do opisania obawę, że nagle pojawi się przed nią na Banyan Street para reflektorów i ją nakryje) i własnoręcznie podłożyć ogień.

Chociaż ta wersja tłumaczyła niektóre z dowodów fizycznych (samochód zatrzymany na niskim biegu – ponieważ silnik zgasł i odpalono go na nowo; włączone światła postojowe – ponieważ bez światła Lucille nie mogła zrobić tego, co zamierzała zrobić; tylne koło zakopane w ziemi – buksujące przy kolejnych próbach przeprowadzenia auta przez nasyp; stojące kartony mleka – ponieważ nie doszło do żadnego nagłego zatrzymania), nie była wcale bardziej czy mniej wiarygodna od relacji Lucille Miller. Co więcej, niektóre z dowodów rzeczowych istotnie zdawały się potwierdzać prawdziwość jej zeznań: gwóźdź w oponie przedniego koła, dziewięciofuntowy kamień w aucie, przypuszczalnie ten, którym strzaskała szybę, próbując uratować męża. Autopsja, której wyniki były znane po kilku dniach, wykazała, że Gordon Miller żył, kiedy płonął, co nieszczególnie przemawiało za wersją oskarżenia, a także że miał we krwi ilość nembutalu i sandoptalu mogącą uśpić przeciętną osobę – to akurat za nią przemawiało. Z drugiej jednak strony Gordon Miller na co dzień zażywał nembutal razem z fiorinalem (popularnym lekiem zapisywanym na ból głowy, zawierającym sandoptal), a do tego był chory.

Sprawa była zagmatwana i żeby w ogóle móc oskarżać, władze musiały znaleźć motyw. Chodziły słuchy o nieszczęśliwym małżeństwie Millerów, słuchy o innym mężczyźnie. W ciągu kolejnych paru tygodni biuro szeryfa postanowiło pracować właśnie nad tym motywem. Zabrano się do tropienia jego śladów w księgach rachunkowych i zapisach umowy ubezpieczeniowej dotyczących podwójnego odszkodowania [3], a także rejestrach gości w motelach, pracowano także nad ustaleniem przyczyn mogących popchnąć kobietę, która uwierzyła we wszystkie

obietnice łączone z klasą średnią – przewodniczącą Heart Fund, od której zawsze można się było dowiedzieć o niedrogiej przyzwoitej krawcowej, która porzuciła ponury fundamentalizm przepastnej prerii w poszukiwaniu tego, co uważała za dobre życie – co właściwie doprowadziło taką kobietę do tego, że siedząc w domu przy ulicy zwanej Bella Vista i wyglądając przez nowe panoramiczne okno w pustkę kalifornijskiego słońca, kombinowała, jak by tu spalić męża żywcem w volkswagenie. Potrzebny im punkt zaczepienia śledczy znaleźli szybciej, niż mogli z początku oczekiwać, ponieważ jak zeznają w trakcie późniejszego procesu świadkowie, bodaj w grudniu 1963 roku Lucille Miller zaczęła romans z mężem jednej z przyjaciółek – z mężczyzną, którego córka nazywała ją „ciocią Lucille", z mężczyzną, który mógł sprawiać wrażenie człowieka przyciągającego do siebie ludzi i pieniądze, wiodącego udane życie, czego zdecydowanie nie dało się powiedzieć o Corku Millerze. Mężczyzną tym był Arthwell Hayton, znany w San Bernardino prawnik, niegdyś pracujący w ekipie prokuratora okręgowego.

Pod pewnymi względami był to konwencjonalny potajemny romans, typowy dla miejsc takich jak San Bernardino, miejsc, gdzie blask i wdzięk to rzadkie dobro, gdzie ludzie masowo zapodziewają gdzieś przyszłość i bez większych ceregieli zaczynają jej poszukiwania w łóżku. W ciągu siedmiu tygodni, bo tyle potrwa proces Lucille Miller o zabójstwo, wiceprokurator okręgowy Don A. Turner i adwokat Edward P. Foley nakreślą obraz zadziwiająco przewidywalnej historii między tym dwojgiem. Złożą się na nią zameldowania w motelu pod fałszywymi nazwiskami. Wspólne lancze, popołudniowe przejażdżki należącym do Haytona czerwonym kabrioletem Cadillaca. Niekończące się dyskusje skrzywdzonych partnerów. Byli powiernicy („Wiedziałam o wszystkim – będzie się później z zaciekłością upierać Sandy Slagle. – Znałam porę każdego spotkania, miejsca, wszystko"), były kwestie zapożyczone z kiepskich opowiastek w magazynach („Nie całuj mnie, to droga w jedną stronę" – miała powiedzieć Lucille Miller Arthwellowi Haytonowi, jak sama zeznała, na parkingu przed klubem Harold's w Fontanie któregoś dnia po lanczu), no i wiadomości, takie lukrowane dialogi: „Hej, słodziutka! Trafiasz w mój gust!! Wszystkiego najlepszego, nie wyglądasz na więcej niż 29! Twój kochaś, Arthwell".

A na końcu była zapiekłość. 24 kwietnia 1964 roku nagle zmarła żona Arthwella Haytona, Elaine, i potem nie wydarzyło się już nic dobrego. W tamten weekend Arthwell Hayton wybrał się swoją łodzią motorową Captain's Lady na Catalinę; zadzwonił do domu w piątek o dziewiątej wieczorem, ale nie rozmawiał z żoną – słuchawkę podniosła Lucille Miller i powiedziała, że Elaine bierze prysznic. Nazajutrz rano córka Haytonów znalazła matkę w łóżku, martwą. Gazety informowały o śmierci w wyniku nieszczęśliwego zdarzenia, zapewne reakcji alergicznej na sprej do włosów. Kiedy w tamten weekend Arthwell Hayton wrócił z Cataliny samolotem, na lotnisku czekała na niego Lucille Miller, ale zakończenie zostało już napisane.

To właśnie z chwilą zerwania romans wykroczył poza konwencjonalne ramy i zaczął przypominać powieści Jamesa M. Caina, filmy z późnych lat trzydziestych, wszystkie te wizje, w których przemoc, groźby i szantaż ukazywano jako standardowe elementy codziennego życia klasy średniej. Najbardziej zaskakujące w akcie oskarżenia, który stan Kalifornia przygotowywał przeciw Lucille Miller, było coś, co nie miało nic wspólnego z prawem, coś, o czym nigdy nie donosiły pierwsze strony popołudniówek – to mianowicie, że oto wizja uczyła zapatrzonych w nią, jak mają żyć. Oto, co powiedziała Lucille Miller w rozmowie ze swoim kochankiem w początkach lata 1964 roku, po tym jak ten poinformował ją, że za radą swojego duchownego nie zamierza się już z nią widywać:

– Najpierw to pójdę do tego twojego kochanego pastora i powiem mu o paru rzeczach… Jak już to zrobię, znikniesz z Kościoła Redlands… Posłuchaj, syneczku, jeżeli ci się zdaje, że tylko twoja reputacja legnie w gruzach, to wierz mi, że całe twoje życie nie będzie warte dwóch centów.

Arthwell Hayton odparowuje:

– A ja pójdę do szeryfa Franka Blanda i zdradzę mu kilka ciekawostek o tobie, a wtedy pożałujesz, że kiedyś usłyszałaś o Arthwellu Haytonie.

Ciekawy to dialog jak na romans dwojga adwentystów dnia siódmego: żony stomatologa z prawnikiem od następstw nieszczęśliwych wypadków.

– Rany, nie zostawiłam temu chłoptasiowi wyboru – zwierzyła się potem Lucille Miller Erwinowi Sprengle'owi, przedsiębiorcy z Riverside i partnerowi biznesowemu Arthwella Haytona, zaprzyjaźnionemu z obojgiem kochanków. (Przyjaciel nie przyjaciel, dość powiedzieć, że jakimś trafem miał do telefonu podłączoną cewkę indukcyjną, dzięki czemu

nagrał na taśmę rozmowę z Lucille Miller). – I nie ma na mnie niczego, co mógłby udowodnić. Znaczy ja mam konkrety, on nie ma nic konkretnego.

W tejże nagranej konwersacji z Erwinem Sprengle'em Lucille Miller wspomniała o taśmie, którą ona sama potajemnie nagrała wiele miesięcy wcześniej w samochodzie Arthwella Haytona.

– Mówię mu… mówię: „Arthwell, czuję się zwyczajnie wykorzystywana"… No to zaczyna odstawiać dziecinadę i mówi: „Kocham cię… I to nie tak, że od wczoraj. Ożeniłbym się z tobą choćby jutro, gdybym mógł. Nie kocham Elaine". Ucieszyłby się, gdybym to przy nim puściła, nie sądzisz?

– Taaa. – Głos Sprengle'a przeciąga samogłoskę. – To by go nieco obciążało, no nie?

– N i e c o – podjęła Lucille Miller. – Myślę, że nawet bardzo.

Dalej na nagraniu Sprengle pyta Lucille, gdzie jest Cork Miller.

– Wziął dzieci do kościoła.

– A ty nie poszłaś?

– Nie.

– Niegrzeczna jesteś.

Co więcej, wszystko to działo się w imię „miłości"; wszyscy zainteresowani pokładali magiczną wiarę w skuteczność samego słowa. I tak dla Lucille Miller liczyło się stwierdzenie Arthwella, że ją „kocha" i że „nie kocha" Elaine. Później, w trakcie procesu, Arthwell utrzymywał, że nigdy tego nie powiedział, że mógł co najwyżej „szeptać jej do ucha czułe słówka" (obrona Lucille wykazała zresztą, że podobne słówka szeptał do większej liczby uszu), ale nie przypomina sobie, by wycisnął na ich znajomości tę szczególną pieczęć, wypowiedział wyznanie, zadeklarował „miłość". Pojawiła się wzmianka na temat letniego wieczoru, w który Lucille Miller i Sandy Slagle pojechały za Arthwellem do Newport Beach, gdzie przycumowana była jego nowa łódź, i odwiązały liny, gdy na pokładzie znajdował się właściciel z dziewczyną, z którą, jak później zezna, pił gorącą czekoladę i oglądał telewizję.

– Zrobiłam to celowo – miała powiedzieć Erwinowi Sprengle'owi Lucille Miller – żeby moje serce nie zrobiło przypadkiem czegoś głupiego.

11 stycznia 1965 roku był w południowej Kalifornii pogodnym i ciepłym dniem, jednym z tych, kiedy na horyzoncie Pacyfiku widać majaczącą Catalinę, powietrze pachnie kwiatami pomarańczy, a świat wydaje się

bardzo oddalony od ponurego i pełnego trudów Wschodu, oddalony od zimna, oddalony od przeszłości.

Pewna kobieta w Hollywood przesiedziała całą noc na masce swojego samochodu, próbując nie dopuścić do jego zajęcia przez agencję komorniczą.

Siedemdziesięcioletni emeryt przejechał swoim kombi z prędkością pięciu mil na godzinę przed trzema salonami pokera w Gardenie, opróżniając przy tym magazynki trzech pistoletów oraz strzelby dwunastki; mierząc w okna, ranił dwadzieścia dziewięć osób. „Wiele młodych kobiet zostaje prostytutkami tylko po to, żeby mieć za co grać w karty” – tłumaczył w liście. Małżonka aktora Nicka Adamsa powiedziała, że „nie zaskoczyło” jej wcale, że jej mąż o swoich zamiarach wzięcia z nią rozwodu poinformował ją publicznie podczas audycji Lesa Crane’a, a dalej, bardziej na północ, pewien szesnastolatek skoczył z mostu Golden Gate i przeżył.

W sądzie hrabstwa San Bernardino tego dnia ruszył natomiast proces Lucille Miller. Kiedy napierający tłum rozbił szklane drzwi sali rozpraw, zdecydowano o wydawaniu przepustek pierwszym czterdziestu trzem widzom z kolejki. Sznur ludzi zaczął się ustawiać już o szóstej rano, a pod sądem przez całą noc, o krakersach razowych i bezcukrowej coli, koczowały studentki.

Przez kilka pierwszych dni zdołano jedynie wybrać ławników, ale sensacyjna natura sprawy dała już o sobie znać. Pierwszy proces, który zaczęto na początku grudnia, unieważniono; nie przedstawiono na nim nawet żadnych dowodów, ponieważ w dniu rozpoczęcia obrad ławy przysięgłych ukazujący się w San Bernardino „The Sun-Telegram” opublikował artykuł „zza kulis”, w którym cytował rzekome słowa wiceprokuratora okręgowego Dona Turnera:

– Badamy okoliczności śmierci pani Hayton. Ze względu na trwający proces dotyczący śmierci doktora Millera nie wydaje mi się wskazane komentowanie sprawy śmierci pani Hayton.

Wyglądało na to, że Elaine Hayton miała we krwi ślady barbituranów, a sposób, w jaki była ubrana tego ranka, kiedy znaleziono ją martwą w łóżku, zdradzał pewne nieprawidłowości. O jakichkolwiek wątpliwościach dotyczących tej śmierci nie rozmawiano jednak w tamtym czasie nawet w biurze szeryfa.

– Wydaje mi się, że ktoś bardzo nie chciał tykać tej sprawy – powiedział później Turner. – Ci ludzie mieli duże wpływy.

Chociaż „The Sun-Telegram” nie przedstawił w swoim artykule tych wszystkich szczegółów, proces Lucille Miller z miejsca uznano za nieważny. Niemal równie nagle sprawy przybrały nowy obrót – Arthwell Hayton zaprosił dziennikarzy do swojego biura w niedzielę na jedenastą rano na konferencję prasową. Były kamery telewizyjne, błyskały flesze.

– Jak panom być może wiadomo – podjął Hayton, uderzając w ton drętwej wesołości – często spotyka się kobiety, które zadurzają się w swoim lekarzu albo prawniku. Nie oznacza to, że tenże lekarz albo prawnik żywią jakieś uczucia do tej pacjentki czy klientki.

– Zaprzeczy pan, że miał pan romans z panią Miller? – zapytał reporter.

– Zaprzeczam istnieniu jakichkolwiek uczuć romantycznych z mojej strony.

To rozróżnienie będzie podtrzymywał przez wszystkie kolejne tygodnie.

A więc przybyli, żeby zobaczyć Arthwella – ci ludzie tłoczący się teraz pod przykurzonymi palmami przed budynkiem sądu; chcieli też zobaczyć Lucille, drobną, momentami ładną kobietę, której skóra zdążyła już przybladnąć z braku naturalnego światła, kobietę, która nim proces dobiegnie końca, skończy trzydzieści pięć lat, i która w ostatnim czasie nieco zmizerniała, kobietę skrupulatną, która nalegała, wbrew radom adwokata, na przyjście do sądu w wysoko upiętych i polakierowanych włosach.

– Cieszyłbym się, gdyby przyszła w zwyczajnie rozpuszczonych, ale Lucille by na to nie przystała – podkreślał jej prawnik.

Był nim Edward P. Foley, niewysoki, łatwo ulegający wzruszeniu irlandzki katolik, który na sali rozpraw kilkakrotnie się rozpłakał.

– Ta kobieta… Jest w niej wielka uczciwość – dodał. – Ale ta uczciwość co do jej prezencji zawsze działała na jej niekorzyść.

Kiedy proces wreszcie się rozpoczął, na prezencję Lucille Miller składała się również odzież dla ciężarnych, albowiem oficjalne badanie lekarskie z 18 grudnia wykazało, że trzy i pół miesiąca wcześniej oskarżona zaszła w ciążę; wobec faktu, że wiceprokurator okręgowy Don Turner domagał się dla Lucille kary śmierci, jej ciąża sprawiła, że skompletowanie ławy przysięgłych okazało się jeszcze trudniejsze niż zwykle.

– To niefortunna okoliczność, ale tak się sprawy mają. – Tymi słowy wiceprokurator zwracał się do każdego z ławników po kolei.

Wreszcie wyłoniono dwanaście osób; w tym gronie znalazło się siedem kobiet, z których najmłodsza miała czterdzieści jeden lat – zgromadzenie równych (gospodynie domowe, maszynistka, kierowczyni ciężarówki, kierowniczka sklepu spożywczego, pracownica biura), ponad które Lucille Miller tak bardzo pragnęła się wznieść.

To ten grzech, bardziej jeszcze niż cudzołóstwo, wzmagał ciężar głównego zarzutu, z którego tytułu ją sądzono. Panowała milcząca zgoda w wypowiedziach zarówno obrony, jak i oskarżenia, że Lucille Miller to kobieta, która zbłądziła, która być może chciała zbyt wiele. W opinii oskarżenia nie była jednak kobietą pragnącą jedynie nowego domu i przyjęć, nabijającą wysokie rachunki za telefon (1152 dolary w ciągu dziesięciu miesięcy), lecz kobietą gotową posunąć się do zabójstwa męża dla osiemdziesięciu tysięcy dolarów odszkodowania z jego ubezpieczenia, pozorującą wypadek, żeby zagarnąć dodatkowe czterdzieści tysięcy z tytułu podwójnej wypłaty z polisy. W opinii Turnera była kobietą, która nie chciała po prostu wolności i alimentów w rozsądnej kwocie (te, jak utrzymywała obrona, mogła sobie zapewnić, składając pozew o rozwód), lecz powodowana „miłością i chciwością” pragnęła o wiele więcej. Była manipulantką. Była „kimś, kto posługuje się ludźmi dla własnych celów”.

Z kolei Edward Foley widział w Lucille kobietę impulsywną, która „nie była w stanie zapanować nad swoim niemądrym serduszkiem”. Podczas gdy Turner unikał tematu ciąży, Foley się nad nią rozwodził i sprowadził nawet ze stanu Waszyngton matkę denata, żeby zeznała, jak syn mówił jej o planach posiadania kolejnego dziecka, które według Lucille „dużo zrobi dla przywrócenia tych dawnych przyjemnych stosunków panujących kiedyś w naszym domu”. Tam, gdzie oskarżenie widziało osobę wyrachowaną, obrona widziała trajkotkę, bo i faktycznie Lucille Miller dała się poznać jako prostoduszna rozmówczyni. Tak jak przed śmiercią męża zwierzyła się przyjaciołom ze swojego romansu, tak gawędziła o nim z aresztującym ją sierżantem.

– Oczywiście, Cork żył z tym latami, ach, wie pan. – Słychać jej głos w rozmowie z sierżantem Petersonem nagranej rankiem nazajutrz po zatrzymaniu. – Kiedy zmarła Elaine, którejś nocy spanikował i zapytał mnie prosto z mostu, i wtedy chyba naprawdę pierwszy raz dopuścił do siebie tę myśl.

Na pytanie sierżanta, dlaczego zgodziła się z nim rozmawiać mimo wyraźnych instrukcji prawników, by tego nie robić, Lucille Miller odparła

nonszalancko:

– Ach, zasadniczo zawsze byłam raczej uczciwą osobą… To znaczy mogę schować kapelusz do szafy i powiedzieć, że kosztował dziesięć dolarów mniej, niż kosztował, ale generalnie zawsze żyłam tak, jak chciałam, a jeśli komuś się to nie podoba, ja go nie trzymam.

Oskarżyciele sugerowali, że w życiu Lucille oprócz Arthwella byli także inni mężczyźni, i nawet udało im się, mimo sprzeciwów Foleya, wymienić jednego z imienia i nazwiska. Zdaniem obrony Cork Miller miał skłonności samobójcze. Prokurator powołał biegłych, którzy orzekli, że pożar volkswagena nie mógł wybuchnąć przypadkowo. Foley sprowadził świadków, którzy zeznali, że i owszem, mógł. Ojciec Lucille, obecnie nauczyciel w liceum w Oregonie, cytował reporterom Księgę Izajasza: „każdy język powstawający przeciw tobie na sądzie potępisz” [4].

– Lucille postąpiła niewłaściwie z całym tym romansem – stwierdziła jej matka roztropnie. – W jej przypadku to była miłość. U innych ludzi bywa, że romans to po prostu namiętność.

Debbie, czternastoletnia córka Millerów, zeznawała opanowanym głosem, jak tydzień przed wypadkiem pojechała z matką do supermarketu po kanister benzyny. Obecna na sali rozpraw każdego dnia Sandy Slagle oświadczała, że co najmniej raz Lucille Miller powstrzymała męża nie tylko przed popełnieniem samobójstwa, lecz także przed popełnieniem go w sposób wyglądający na wypadek, tak aby żonie przysługiwało podwójne odszkodowanie. Wenche Berg, śliczna dwudziestosiedmioletnia guwernantka dzieci Arthwella Haytona, zaświadczyła z kolei, że Arthwell poinstruował ją, by nie pozwalała Lucille Miller się z nimi widywać.

Minęły dwa miesiące, a nagłówki dotyczące procesu nie schodziły z pierwszych stron gazet. W San Bernardino przez cały ten czas kwaterowali południowokalifornijscy reporterzy kryminalni: Howard Hertel z „Timesa” oraz Jim Bennet i Eddy Jo Bernal z „Herald-Examinera”. Przez te dwa miesiące proces Lucille Miller z pierwszej strony „Examinera” zepchnęło tylko ogłoszenie nominacji do Nagród Akademii Filmowej i śmierć Stana Laurela [5]. Wreszcie 2 marca, kiedy Turner powtórzył, że w sprawie chodzi o „miłość i chciwość”, a Foley wyraził przekonanie, że jego klientka jest sądzona za cudzołóstwo, ławie przysięgłych powierzono wydanie wyroku.

Ci 5 marca o godzinie szesnastej pięćdziesiąt orzekli: „winna morderstwa z premedytacją”.

– Ona tego nie zrobiła! – zawołała Debbie Miller, podrywając się z miejsca na widowni. – Nie zrobiła tego!

Sandy Slagle osunęła się na krześle i zaczęła krzyczeć.

– Sandy, na miłość boską, proszę, przestań – zwróciła się do niej Lucille głosem, który zadźwięczał w sali sądowej donośnie, i dziewczyna natychmiast podporządkowała się poleceniu. Kiedy jednak przysięgli opuszczali swoje miejsca, Sandy wrzasnęła jeszcze raz:

– Mordercy… Każde z was to morderca, co do jednego!

Weszli zastępcy szeryfa w krawatach bolo ze spinkami z napisem RODEO SZERYFA 1965, a ojciec Lucille Miller – ów nauczyciel licealny o zatroskanej twarzy, który wierzył w słowo Chrystusa i niebezpieczeństwa czyhające na pragnących poznać świat – przesłał córce pocałunek złożony na koniuszkach palców.

Frontera, kalifornijski zakład karny dla kobiet, w którym Lucille Miller się obecnie znajduje, położony jest tam, gdzie Euclid Avenue przechodzi w drogę gminną, nie tak wiele mil od miejsca, w którym Lucille kiedyś mieszkała, robiła zakupy i organizowała bal Heart Fund. Po drugiej stronie drogi pasie się bydło, a zraszacze Rainbirda polewają koniczynę. Więzienie Frontera dysponuje boiskiem do softballu i kortami tenisowymi i można by je wziąć za kalifornijski koledż dwuletni, tyle że drzewa nie urosły jeszcze na tyle, żeby ukryć drut rozciągnięty na szczycie ogrodzenia ze stalowej siatki. W dzień widzeń na parkingu stoją duże wozy, wielkie buicki i pontiaki należące do dziadków i sióstr oraz ojców (niewiele z nich należy do mężów); część samochodów ma na zderzakach naklejki z hasłem: POPIERAJCIE LOKALNĄ POLICJĘ.

Przebywa tu mnóstwo kalifornijskich morderczyń, mnóstwo dziewcząt, które opacznie zrozumiały obietnicę. Don Turner umieścił tu Sandrę Garner (a jej męża w komorze gazowej w San Quentin) skazaną za serię zabójstw dokonanych na pustyni w 1959 roku, przez dziennikarzy kryminalnych określonych jako „morderstwa coca-colowe”. Wyrok odsiaduje tu także Carole Tregoff, którą skazano za spisek na życie żony doktora Fincha w West Covina, miejscowości położonej niedaleko San Bernardino. Gwoli ścisłości Carole Tregoff pracuje jako pomoc pielęgniarska w szpitalu więziennym i możliwe, że asystowałaby przy narodzinach dziecka Lucille Miller we Fronterze; Lucille postanowiła jednak urodzić poza więzieniem i zapłaciła za strażnika, który stał przed salą porodową w szpitalu miejskim

w San Bernardino. Dziecko, w białej sukience z różowymi kokardkami, zabrała do domu córka Lucille, Debbie. Pozwolono jej także wybrać imię – nazwała niemowlę Kimi Kai. Dzieci mieszkają obecnie u Harolda i Joan Lance'ów, ponieważ Lucille Miller prawdopodobnie spędzi we Fronterze dziesięć lat. Don Turner zrezygnował z wnioskowania o karę śmierci, za którą początkowo optował (powszechnie zgadzano się co do tego, że żądał jej tylko po to, by – jak ujął to Edward Foley – „pozbyć się z ławy przysięgłych wszystkich osób, które mają w sobie choć odrobinę ludzkich uczuć"), i przystał na wyrok dożywotniego więzienia z możliwością wcześniejszego zwolnienia. Lucille Miller nie podoba się we Fronterze i ma kłopoty z przystosowaniem się.

– Będzie się musiała nauczyć pokory – stwierdza Don Turner. – Będzie musiała korzystać ze swojej umiejętności czarowania, manipulowania.

Nowy dom Millerów stoi teraz pusty; obok prowadzącej do niego drogi ustawiono znak:

DROGA PRYWATNA
BELLA VISTA
ŚLEPA ULICZKA

Millerowie nigdy nie urządzili ogrodu i chwasty rozpleniły się pod ścianami obłożonymi ciętym kamieniem polnym. Antena telewizyjna zwaliła się na dach, a przepełniony śmietnik ujawnia szczątki dawnego życia rodzinnego: tanią walizkę, grę dla dzieci *Wykrywacz kłamstw*. W miejscu, gdzie miał być trawnik, ustawiono tablicę: NIERUCHOMOŚĆ NA SPRZEDAŻ. Edward Foley stara się dla Lucille Miller o apelację, ale wszystko się opóźnia.

– Proces zawsze sprowadza się do kwestii współczucia – mówi teraz Foley ze zmęczeniem w głosie. – Nie udało mi się zjednać dla niej współczucia.

Teraz wszyscy są nieco zmęczeni – zmęczeni i zrezygnowani. Wszyscy oprócz Sandy Slagle, której rozgoryczenie jest wciąż żywe. Mieszka w lokalu nieopodal szkoły medycznej w Loma Linda i studiuje doniesienia na temat sprawy Lucille w „True Police Cases" i „Official Detective Stories".

– Naprawdę wolałabym, żebyśmy nie rozmawiali za dużo o historii z Haytonem – odpowiada gościom, nagrywając wszystko na dyktafon. –

Wolałabym porozmawiać o Lucille i o tym, jaką jest wspaniałą osobą i jakiego pogwałcenia jej praw się dopuszczono.

Harold Lance w ogóle nie rozmawia z przyjezdnymi.

– Nie chcemy rozdawać tego, co możemy sprzedać – wyjaśnia uprzejmie.

Starano się sprzedać osobistą historię Lucille Miller redakcji „Life'a", ale wydawca nie chciał jej kupić. W biurach prokuratora okręgowego trwają sprawy innych morderstw i tak duże zainteresowanie akurat tym procesem nie spotyka się ze zrozumieniem.

– Jak na zabójstwo, to nie było jakieś szczególnie interesujące – stwierdza lakonicznie Don Turner.

Śmierć Elaine Hayton nie jest już przedmiotem śledztwa.

– Wiemy już wszystko, co chcieliśmy wiedzieć – ucina temat Turner.

Biuro Arthwella Haytona mieści się bezpośrednio pod biurem Edwarda Foleya. Niektórzy w San Bernardino mówią, że Arthwell Hayton cierpiał, inni – że nie cierpiał wcale. Być może nie, skoro w złotej krainie, gdzie każdego dnia świat rodzi się od nowa, nie wierzy się we wpływ tego, co minione, na teraźniejszość czy przyszłość. W każdym razie 17 października 1965 roku Arthwell Hayton ożenił się ponownie – podczas nabożeństwa w Kaplicy Róż na osiedlu emeryckim w pobliżu Riverside poślubił Wenche Berg, śliczną guwernantkę swoich dzieci. Nowożeńców fetowało później siedemdziesięcioro pięcioro gości przyjęcia weselnego zorganizowanego w sali jadalnej Rose Garden Village. Pan młody założył czarny krawat, a do butonierki wpiął biały goździk. Panna młoda miała na sobie długą białą satynową suknię, a w rękach kaskadowy bukiet drobnych róż z serpentynami ze stefanotisa. Diadem z maleńkimi perłami przytrzymywał jej półprzezroczystą woalkę.

1966

John Wayne. Ballada miłosna

Latem 1943 roku miałam osiem lat i wraz tatą, mamą oraz młodszym bratem przebywałam na terenie bazy powietrznej Peterson Field w Colorado Springs. Tamtego lata wiał gorący wiatr i wydawało się, że jeszcze nim nastanie sierpień, cały pył z Kansas znajdzie się w Kolorado, przewali się ponad krytymi papą budynkami koszar i tymczasowym pasem startowym i zatrzyma się dopiero na stokach Pikes Peak. W takie lato nie za wiele było do roboty – lądował wtedy pierwszy B-29; wydarzenie pamiętne, ale wątpliwa atrakcja wakacyjna. Funkcjonowało kasyno oficerskie, ale nie mieli basenu; jedyną interesującą rzeczą w tym kasynie był sztuczny niebieski deszcz za barem. Deszcz poważnie mnie interesował, ale nie mogłam spędzić całego lata na wpatrywaniu się w niego, dlatego chodziłam z bratem na filmy.

Spędzaliśmy na nich trzy, nawet cztery popołudnia w tygodniu, siadaliśmy na składanych krzesłach w przyciemnionym baraku z blachy falistej, który służył za kino, i to tam, owego lata 1943 roku, kiedy na zewnątrz wiał gorący wiatr, po raz pierwszy ujrzałam Johna Wayne’a. Zobaczyłam ten chód, usłyszałam ten głos. Usłyszałam, jak mówi tamtej dziewczynie w filmie *Wojna drapieżców*, że zbuduje jej dom „w zakolu rzeki, gdzie rosną topole”. Jak się okazało, nie wyrosłam na kobietę w rodzaju bohaterek westernów, a chociaż znani mi mężczyźni mieli wiele zalet i zabrali mnie ze sobą w wiele miejsc, które pokochałam, żaden z nich nie był Johnem Wayne’em i żaden nie zabrał mnie w to zakole rzeki, gdzie rosną topole. Głęboko w tym zakamarku serca, gdzie wiecznie pada sztuczny deszcz, wciąż czekam, aż usłyszę od kogoś tę kwestię.

Nie mówię wam o tym, ponieważ akurat zebrało mi się na autodemaskację ani na zasadzie ćwiczenia z pamięci absolutnej, ale po prostu, żeby pokazać, że kiedy John Wayne przegalopował przez moje dzieciństwo, a być może i przez wasze, ustalił na zawsze kształt niektórych z naszych marzeń. Było czymś nie do pomyślenia, aby taki mężczyzna

mógł zachorować, aby mógł nosić w sobie tę najbardziej niezgłębioną i nieujarzmioną z chorób. Plotka wzbudziła trudny do określenia niepokój, postawiła pod znakiem zapytania ni mniej, ni więcej, tylko istotę naszego dzieciństwa. W świecie Johna Wayne'a to John Wayne wydawał rozkazy. Mówił: „W drogę" i „Siodłać konie". „Jazda!" i „Jeśli mężczyzna ma coś do zrobienia, to musi to zrobić". „Witam", mówił, kiedy spotykał jakąś dziewczynę po raz pierwszy w obozie ekipy budowlanej, w pociągu albo po prostu stojącą na werandzie w oczekiwaniu, aż ktoś nadjedzie przez wysokie trawy. Kiedy John Wayne zabierał głos, nie sposób było źle odczytać jego intencji; roztaczał tak silną aurę władzy osadzonej w płci, że nawet dziecko było w stanie ją dostrzec. A w świecie, który wcześnie rozpoznaliśmy jako naznaczony korupcją, zwątpieniem i obezwładniającą wieloznacznością, przywodził na myśl inny świat, który być może nawet nigdy nie istniał, natomiast co do tego, że w tamtym czasie już nie istniał, nie było wątpliwości – miejsce, w którym mężczyzna mógł swobodnie się przemieszczać, gdzie chciał, tworzyć własny kodeks i żyć według jego zasad; świat, w którym mężczyzna, jeśli zrobił to, co musiał, pewnego dnia mógł zabrać ze sobą dziewczynę i odjechać z nią dnem wąwozu w poszukiwaniu miejsca, w którym mógł żyć wolny – nie do szpitala, bo coś mu w środku szwankuje, nie na wysokie łóżko otoczone kwiatami i fiolkami leków, nie do wymuszonych uśmiechów, lecz tam, w zakole przejrzystej rzeki, gdzie w świetle wczesnego poranka szumią topole.

„Witam". Skąd się wziął, zanim ruszył przez wysokie trawy? Nawet jego osobisty życiorys wydawał się taki jak trzeba, bo nie był to w zasadzie żaden życiorys, nie było w nim nic, co mogłoby się kłócić ze snem. Urodził się jako Marion Morrison, syn aptekarza z Winterset w Iowa. Jako dziecko przeniósł się z rodziną do Lancaster w Kalifornii, na fali migracji do tej ziemi obiecanej, nazywanej czasem „zachodnim wybrzeżem Iowa". Lancaster – miasto na pustyni Mojave, przez które wiatr przeganiał pył – bynajmniej nie okazało się spełnioną obietnicą. Mimo wszystko leżało jednak w Kalifornii. Spędzili tam tylko rok, po czym przenieśli się do Glendale, gdzie beznadzieja miała inny klimat i przybierała formę pokrowców na fotele ustawione wśród gajów pomarańczowych – drobnomieszczańskie preludium do Forest Lawn [6]. Wyobraźcie sobie Mariona Morrisona w Glendale. Harcerza, potem ucznia miejscowego liceum. Atakującego drużyny Uniwersytetu Południowej Kalifornii, członka bractwa Sigma Chi. W wakacje dorabiającego sobie przy dekoracjach

w dawnych studiach Foxa. To tam spotkał Johna Forda, jednego z reżyserów, którym intuicja podpowie, że w tę idealną formę można przelać niewypowiedziane tęsknoty narodu niewiedzącego już, na której właściwie przełęczy zgubił szlak.

– Psiakrew – miał stwierdzić później Raoul Walsh. – Z sukinsyna był mężczyzna jak się patrzy.

I tak po pewnym czasie chłopak z Glendale stał się gwiazdą. Nie został aktorem – co często podkreślał w rozmowach z dziennikarzami („Ile razy mam wam mówić, że ja niczego nie kreuję – ja r e a g u j ę?") – ale gwiazdą, i ta gwiazda, która przybrała imię John Wayne, większość reszty swojego życia spędzi w towarzystwie tego czy innego spośród wspomnianych reżyserów w jakimś odludnym plenerze w poszukiwaniu snu.

Tam, gdzie ma niebo trochę głębszy błękit
Gdzie druh druhowi szczerzej ściska rękę
Tam się zaczyna Zachód [7].

We śnie nie miało prawa zdarzyć się nic szczególnie złego, nic, czemu mężczyzna nie mógłby dać odporu. A jednak coś takiego się zdarzyło. Oto pojawiła się plotka, a po jakimś czasie – nagłówki.

– Spuściłem łomot Wielkiemu Skorupiakowi – miał ogłosić John Wayne, zwyczajem Johna Wayne'a sprowadzając te wyjęte spod prawa komórki do poziomu wszelkich innych bandytów, ale i tak wszystkim nam udzieliło się wrażenie, że wyniku akurat tej konfrontacji nie sposób przewidzieć, że może ona być tą strzelaniną, którą Wayne przegra [8]. Odróżnianie iluzji od rzeczywistości przychodzi mi z nie mniejszym trudem niż dowolnej innej osobie i nie bardzo miałam ochotę spotykać się z Johnem Wayne'em, kiedy on sam zapewne (tak mi się przynajmniej wydawało) ma z tym problem; niemniej do spotkania takiego doszło, w Meksyku podczas zdjęć do mocno opóźnionego przez jego chorobę filmu, właśnie tam, w krainie snu.

Był to sto sześćdziesiąty piąty film Johna Wayne'a. Osiemdziesiąty czwarty Henry'ego Hathawaya. Film numer trzydzieści cztery dla Deana Martina, odpracowującego zaległą umowę u Hala Wallisa, dla którego była to niezależna produkcja numer sześćdziesiąt pięć. Film nosił tytuł *Synowie Katie Elder*, był to western i po trzymiesięcznym przestoju w końcu nakręcili ujęcia plenerowe w Durango, na północy, a teraz dobiegały końca zdjęcia we wnętrzach, w Estudios Churubusco na przedmieściach Mexico

City, grzało słońce, powietrze było przejrzyste i trwała przerwa obiadowa. Pod drzewami pieprzowymi przysiedli chłopcy z meksykańskiej ekipy, ssąc karmelki, kawałek dalej niektórzy z technicznych okupowali miejsce, gdzie za jednego dolara amerykańskiego podawano faszerowanego homara i szklankę tequili, ale to w ogromnym bufecie rozsiedli się przystojniacy, główni sprawcy całego tego zamieszania, wszyscy naokoło wielkiego stołu, od niechcenia podnosząc do ust *huevos con queso* i butelki piwa Carta Blanca. Dean Martin, nieogolony. Mack Gray, który chodził wszędzie z Martinem. Bob Goodfried, człowiek o delikatnym żołądku, odpowiedzialny był w wytwórni Paramount za promocję i przybył na plan, by nagrać czołówkę reklamową filmu.

– Tost i herbata – przestrzegał raz po raz. – Tego nam trzeba. Sałata to śliska sprawa.

I Henry Hathaway, reżyser, który uwagi Goodfrieda puszczał mimo uszu. I John Wayne, który najwyraźniej nie słuchał nikogo.

– Ale ten tydzień się wlecze – stwierdził Dean Martin trzeci raz.

– Co ty gadasz? – dziwił się Mack Gray.

– Ten… tydzień… się… wlecze, właśnie to.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że czekasz na koniec?

– Żebyś wiedział, że to powiem, Mack: czekam na koniec. Jutro wieczorem golę tę brodę, ruszam na lotnisko i *adiós amigos*! Pa, pa, *muchachos*!

Henry Hathaway zapalił cygaro i czule poklepał Martina po ramieniu.

– Jeszcze nie jutro, Dino.

– Co ty tam jeszcze chcesz dodać, Henry? Wojnę światową?

Hathaway znów poklepał Martina po ramieniu i utkwił wzrok gdzieś w dalszym planie. U końca stołu ktoś przywołał historię mężczyzny, któremu nie udało się wysadzić samolotu.

– Nadal siedzi – wtrącił się znienacka Hathaway.

– Siedzi? – Martin w jednej chwili oderwał się od rozważań, czy swoje kije golfowe powinien odesłać z Bobem Goodfriedem, czy powierzyć je Mackowi Grayowi. – Z jakiej racji go przymknęli, skoro nikt nie zginął?

– Usiłowanie zabójstwa, Dino – odparł łagodnym głosem Hathaway. – Ciężkie przestępstwo.

– Znaczy, że jakby jakiś koleś spróbował mnie zabić, to skończyłby w więzieniu?

Hathaway wyjął cygaro z ust i spojrzał ponad stołem.

– Gdyby mnie jakiś koleś próbował zabić, z pewnością nie skończyłby w pudle. A ty co powiesz, Duke?

Adresat pytania Hathawaya bardzo niespiesznym ruchem otarł usta, odsunął się od stołu i wstał. To było właśnie to, autentyk, gest przypieczętowujący tysiące scen rozgrywanych na stu sześćdziesięciu pięciu migoczących pograniczach i fantasmagorycznych polach bitwy, gest, który miał przypieczętować także tę, w bufecie Estudios Churubusco na przedmieściach Mexico City.

– Fakt – stwierdził John Wayne, rozwlekając sylabę. – Zabiłbym go.

Niemal cała obsada *Synów Katie Elder* rozjechała się do domów w tym ostatnim tygodniu zdjęć, zostali tylko odtwórcy głównych ról: Wayne, Martin, Earl Holliman i Michael Anderson Junior, no i Martha Hyer. Hyer nie pokazywała się za wiele, ale co jakiś czas ktoś o niej wspominał, zwykle nazywając ją „dziewczyną". Spędzili wszyscy razem dziewięć tygodni, z czego sześć w Durango. Mexico City to nie było Durango; w miejsca takie jak Mexico City lubią przyjeżdżać żony, żeby chodzić po sklepach w poszukiwaniu torebek, bywać na przyjęciach u Merle Oberon [9], oglądać jej obrazy. Ale Durango… Sama nazwa miejsca przyprawia o halucynacje. Męska kraina. Tam się zaczyna Zachód. W Durango rosły cypryśniki, był wodospad, roiło się od grzechotników. Pogoda – noce tak zimne, że ekipa postanowiła dwa czy trzy plenery nakręcić jednak we wnętrzach studia Churubusco. „To z powodu dziewczyny, nie można było trzymać jej na takim chłodzie", tłumaczyli. W Durango to Henry Hathaway gotował, robił gazpacho, żeberka i steki, które przysłali im samolotem z The Sands na zamówienie Deana Martina; chciał gotować też w Mexico City, ale kierownictwo hotelu Bamer nie udzieliło mu zgody na ustawienie w pokoju murowanego grilla. „Durango, naprawdę jest czego żałować", mówili, czasem w żartach, czasem nie, aż słowa te nabrały charakteru refrenu, westchnienia za rajem utraconym.

Ale jeśli Mexico City nie było tym, czym Durango, nie było też wcale tym, czym było Beverly Hills. Nikt poza nimi nie korzystał z Churubusco w tamtym tygodniu i właśnie w tym rozległym hangarze, na którego drzwiach widniał napis LOS HIJOS DE KATIE ELDER i wokół którego rosły drzewa pieprzowe i świeciło jasne słońce, wciąż mogli – przez ten czas, jaki pozostał do ukończenia filmu – utrzymywać przy życiu świat, jaki zamieszkują mężczyźni lubiący kręcić westerny, sentymentalny świat lojalności, czułej drwiny i cygar palonych na spółkę, świat ciągnących się

w nieskończoność opowiadanych mimochodem wspomnień, rozmów przy ognisku, których jedynym celem było podtrzymywać brzmienie ludzkiego głosu zwróconego przeciw nocy, wiatrowi, szelestom w zaroślach.

– Raz postrzelili u mnie na planie kaskadera – powie Hathaway między ujęciami sceny walki o złożonej choreografii. – Tego, jak mu tam było… Ożenił się z Estelle Taylor, poznali się w Arizonie.

Wokół niego zamknie się krąg, palce będą się przesuwać po cygarach. Nastąpi kontemplacja subtelnej sztuki inscenizowanej walki.

– Ja postrzeliłem w życiu tylko jednego gościa – powie Wayne. – Przypadkowo, ma się rozumieć. To był Mike Mazurki.

– Nie byle kto. Hej, Duke mówi, że postrzelił w życiu tylko jednego faceta, Mike'a Mazurkiego.

– Niezły wybór.

– To nie był wybór, to był wypadek.

– Chętnie wierzę.

– Powinieneś.

– A niech mnie. Mike Mazurki…

I tak to szło. Był z nimi Web Overlander, charakteryzator Wayne'a pracujący z nim od dwudziestu siedmiu lat, przygarbiony, w niebieskiej wiatrówce, rozdawał listki juicy fruit.

– Sprej na owady – powie. – Ani słowa o spreju na owady. Mieliśmy go dość w Afryce. Pamiętacie Afrykę?

Albo:

– Małgwie. Nie mów nam o małgwiach. Najedliśmy się małgwi potąd, jak jeździliśmy z premierą *Hatari!* Pamiętacie Bookbinder's [10]?

Był tam także trener Wayne'a od jedenastu lat, Ralph Volkie, noszący czerwoną bejsbolówkę; chodził z wyciętym z gazety artykułem o Waynie, hołdem dla aktora autorstwa Heddy Hopper.

– Z tej Hopper jest dama – powtarzał wielokrotnie. – Nie to co tamci niektórzy goście, wszystko, co piszą, to: chory, chory, chory. Dobra, boli go i kaszle, ale jak można nazwać chorym faceta, który pracuje cały dzień i nigdy nie narzeka? To facet z najlepszym sierpowym od czasów Dempseya, żaden tam chory.

Był wreszcie sam Wayne, toczący swoją sto sześćdziesiątą piątą filmową walkę. Wayne w ostrogach liczących sobie czterdzieści trzy lata, w zakurzonej bandanie, niebieskiej koszuli.

– W tych filmach nie martwisz się za bardzo, co na siebie włożyć – stwierdził. – Możesz włożyć niebieską koszulę, a jeśli kręcicie akurat w Monument Valley, wtedy żółtą.

Wayne w stosunkowo nowym kapeluszu, kapeluszu, który dziwnie upodobnił go do Williama S. Harta [11].

– Miałem ten stary kapelusz kawaleryjski, uwielbiałem go, ale pożyczyłem Sammy'emu Davisowi. Jak go dostałem z powrotem, nie dało się go nosić. Chyba wszyscy wciskali go Sammy'emu na głowę i mówili: „No dobra, Johnie Waynie", taki żart, ma się rozumieć.

Wayne, który wrócił do pracy zbyt prędko i kończył zdjęcia z ostrym przeziębieniem i rozdzierającym kaszlem, późnym popołudniem był tak zmęczony, że na planie trzymano dla niego butlę z tlenem. A mimo to nie liczyło się nic oprócz kodeksu.

– Tamten koleś… – mruknął Wayne pod nosem, mając na myśli reportera, który wzbudził jego niezadowolenie. – Przyznaję, że łysieję. Przyznaję, że w pasie mam oponę. Ale który facet w wieku pięćdziesięciu siedmiu lat nie ma? Też mi rewelacja. No, ale tamten koleś…

Urwał, gotów odkryć sedno sprawy, zarzewie niechęci, naruszenie zasad, które uwierało go bardziej niż rzekome przeinaczone cytaty, bardziej niż sugestia, że nie jest już Ringo Kidem.

– Przychodzi do mnie nieproszony, ale pozwalam mu się przysiąść. No więc siedzimy i pijemy meskal [12] z dzbanka na wodę.

Znowu zawiesił głos i spojrzał znacząco na Hathawaya, przygotowując go na finał nie do pomyślenia.

– Trzeba go było potem odprowadzać do pokoju.

Członkowie ekipy spierali się o zalety rozmaitych bokserów zawodowych i o cenę whisky J & B w pesos. Spierali się o dialogi.

– Może i jest nieokrzesany, Henry, ale tak czy owak, raczej by nie zastawił Biblii własnej matki.

– Duke, lubię gorszyć.

Przerzucali się bez końca dowcipami ze sportowej stołówki.

– Wiecie, dlaczego nazywają to „sosem pamięci"? – rzucił Martin, podnosząc miskę z chili.

– No?

– Bo następnego dnia rano nadal go pamiętacie.

– Słyszałeś, Duke? Słyszałeś, dlaczego nazywają to „sosem pamięci"?

Z lubością kreślili kolejne szczegółowe wersje naparzanki, która jest stałym fragmentem filmów z Wayne’em – potrzebna czy najzupełniej zbyteczna, sekwencja ze strzelaniną musi się znaleźć w produkcji, ponieważ kręcenie jej sprawia im tyle radości.

– Słuchajcie, to dopiero będzie klawe. Duke chwyta młodego, o tak, a potem jeszcze Dino i Earl wyrzucą go za drzwi. Co wy na to?

Porozumiewali się, wymieniając się starymi dowcipami; swoje wspólnictwo pieczętowali strojeniem sobie dobrodusznych staroświeckich żartów z żon, tych swoich cywilizatorek, tych poskramiaczek.

– No więc *señora* Wayne wpada na pomysł, że posiedzi sobie wieczorem i uraczy się jedną brandy. I potem przez resztę nocy idzie litania: „Tak, Pilar, masz rację, duszko. Tyran ze mnie, Pilar, masz rację, jestem niemożliwy”.

– Słyszycie? Duke powiedział, że Pilar rzuciła w niego stolikiem.

– Hej, Duke, posłuchaj tego. Ten palec, co sobie dziś urządziłeś, niech ci go doktor zabandażuje, a potem wieczorem w pokoju pokaż go Pilar, powiedz, że to ona ci rozwaliła tamtym stolikiem. Wiesz, pomyśli sobie, że naprawdę poszła na całość.

Traktowali z szacunkiem najstarszego wśród nich, a najmłodszego traktowali z czułością.

– Widzicie tego młodego? – mówili, mając na myśli Michaela Andersona juniora. – To jest dzieciak!

– On nie gra, to idzie prosto z serca – powiedział Hathaway, klepiąc się po piersi.

– Hej, młody – rzucił Martin. – Będziesz w moim następnym filmie. To my tam będziemy rządzić, żadnych bród. Tylko koszule w prążki, dziewczyny, hi-fi i podświetlanie oczu [13].

Zamówili Andersonowi osobiste krzesło z napisem BIG MIKE wyfrezowanym na oparciu. Kiedy przyjechało na plan, Hathaway go uściskał.

– Widziałeś? – zwrócił się do Wayne’a Anderson, nagle zbyt zawstydzony, żeby spojrzeć mu w oczy. Wayne obdarzył go uśmiechem, skinieniem głowy, wreszcie słowami będącymi dowodem najwyższego uznania:

– Widziałem, młody.

Rankiem w dniu, kiedy mieli kończyć *Synów Katie Elder*, Web Overlander nie miał na sobie swojej wiatrówki, tylko niebieską marynarkę.

– No to do domu – powiedział, rozdając resztę juicy fruit. – Włożyłem już nawet cywilne ciuchy.

Ale był przybity. W południe do bufetu wpadła żona Henry'ego Hathawaya, żeby go poinformować o swoim możliwym locie do Acapulco.

– Leć – odpowiedział jej Henry. – Jak to skończę, będę tylko łykał i łykał seconal, aż pomyślicie, że się przekręciłem.

Wszyscy byli przybici. Po wyjściu pani Hathaway podejmowano wymuszone próby wspominania zdjęć, męska kraina jednak szybko znikała; ekipa myślami była już w drodze domów, tak że w rozmowie zdołano przywołać jedynie pożar w Bel Air z 1961 roku, podczas którego Henry Hathaway nakazał straży pożarnej Los Angeles opuszczenie swojej posesji i sam uratował posiadłość, wrzucając wszystkie łatwopalne rzeczy do basenu.

– Tamci goście od gaszenia mogli zwyczajnie postawić na tym kreskę – stwierdził Wayne. – Pozwoliliby, żeby wszystko spłonęło.

W zasadzie była to niezła historia, łącząca w sobie wiele z ich ulubionych motywów, historia z Bel Air nie była jednak tym samym co historia z Durango.

Wczesnym popołudniem wzięli się do ostatniej sceny, a chociaż spędzili tyle czasu, ile tylko się dało, na przygotowaniach, w końcu nie zostało im nic innego, jak ją nakręcić.

– Pierwsza ekipa wychodzi, druga ekipa wchodzi, zamknąć drzwi! – krzyknął asystent reżysera po raz ostatni.

Dublerzy zeszli z planu, weszli John Wayne i Martha Hyer.

– W porządku, chłopaki, *silencio*, kręcimy.

Nagrali scenę w dwóch dublach. Dwukrotnie „dziewczyna" wręczała Johnowi Wayne'owi wystrzępioną Biblię. Dwukrotnie John Wayne odpowiadał:

– Jest sporo takich miejsc, w które się wybieram, gdzie to nie będzie pasować.

Wszyscy byli bardzo cicho. I o drugiej trzydzieści po południu tamtego piątku Henry Hathaway odwrócił się od kamery i w ciszy, która zaległa, wygasił cygaro w kuble z piaskiem.

– Dobra – powiedział. – Mamy to.

Od czasu tamtego lata w 1943 roku myślałam o Johnie Waynie na wiele sposobów. Myślałam o nim prowadzącym bydło z Teksasu i doprowadzającym samoloty do bazy na jedynym działającym silniku, myślałam o nim, jak w filmie *Alamo* stwierdza, że republika to piękne słowo. Nigdy nie wyobrażałam go sobie jedzącego kolację w towarzystwie rodziny oraz moim i mojego męża w drogiej restauracji w parku Chapultepec, ale czas przynosi przedziwne odmiany, i oto właśnie siedzieliśmy wszyscy razem, któregoś wieczoru tamtego ostatniego tygodnia w Meksyku. Przez dłuższą chwilę był to po prostu sympatyczny wieczór, spotkanie, które mogłoby się odbyć gdziekolwiek indziej. Dużo wypiliśmy i gdzieś prysło poczucie, że twarz po drugiej stronie stołu jest dla mnie pod pewnymi względami bardziej znajoma niż twarz mojego męża.

I wtem coś się stało. Nagle pomieszczenie jak gdyby wypełnił sen, a ja nie miałam pojęcia w czym rzecz. Jak spod ziemi wyrosło trzech mężczyzn grających na gitarach. Pilar Wayne pochyliła się nieznacznie, a John Wayne niemal niezauważalnie podniósł ku niej swój kieliszek.

– Trzeba będzie zamówić pouilly-fuissé dla reszty stołu i czerwone bordeaux dla Duke’a.

Uśmiechaliśmy się wszyscy i piliśmy to pouilly-fuissé dla reszty stołu i czerwone bordeaux dla Duke’a, a przez cały ten czas mężczyźni z gitarami grali, aż w końcu uzmysłowiłam sobie, co właściwie grają, co grali od samego początku: *The Red River Valley* i motyw z *Nocy nad Pacyfikiem*. Zgubili nieco oryginalny rytm, ale słyszę ich jeszcze teraz, w innym kraju i po długim czasie, teraz, kiedy wam o tym opowiadam.

1965

Tam, gdzie pocałunkom nie ma końca

Przed budynkiem sądu hrabstwa Monterey w kalifornijskim Salinas bożonarodzeniowe ozdoby ufundowane przez Izbę Kupiecką mieniły się w rozrzedzonym słońcu, które pozwala rosnąć zimowej sałacie. Wewnątrz tłum mrużył oczy w oślepiającym świetle telewizyjnych reflektorów. Powodem zebrania była sesja rady nadzorczej hrabstwa Monterey, na której tego ciepłego popołudnia przed świętami 1965 roku dyskutowano kwestię, czy pewna niewielka szkoła w Carmel Valley, znana jako Instytut Studiów nad Niestosowaniem Przemocy, należąca do panny Joan Baez, narusza przepisy paragrafu 32-C Kodeksu gospodarki przestrzennej Hrabstwa Monterey, który zakazuje użytkowania ziemi „ze szkodą dla spokoju, obyczajności i ogólnego dobrobytu hrabstwa Monterey”. Małżonka pana Geralda Petkussa, która mieszka po drugiej stronie drogi, naprzeciwko szkoły, ujęła problem inaczej.

– Chcielibyśmy wiedzieć, jacy ludzie wybierają tego rodzaju szkołę – oświadczyła, jeszcze nim spór rozgorzał na dobre. – Dlaczego w tym czasie nie pracują i nie zarabiają pieniędzy.

Pani Petkuss to korpulentna młoda matrona emanująca skołowaną determinacją; wyszła na mównicę w truskawkowo-różowej sukience z dzianiny, żeby poinformować, że naprzykrzają się jej „ludzie związani ze szkołą panny Baez, którzy zjawiają się na progu i pytają, gdzie znajduje się szkoła, chociaż doskonale wiedzą gdzie… Pamiętam, że jeden z tych panów miał brodę”.

– Zresztą co mnie to obchodzi – wybuchła, kiedy ktoś z pierwszego rzędu się roześmiał. – Mam troje małych dzieci, to duża odpowiedzialność i nie chcę się jeszcze przejmować… – tu pani Petkuss na moment zawiesiła głos – tym, kto się kręci po okolicy.

Wysłuchanie trwało do siódmej piętnaście wieczorem – pięć godzin i kwadrans demokracji partycypacyjnej, w trakcie których z jednej strony padły sugestie, że rada nadzorcza hrabstwa Monterey zmienia kraj

w nazistowskie Niemcy, a z drugiej że obecność w Carmel Valley panny Baez i piętnaściorga jej studentów doprowadzi do demonstracji „w stylu Berkeley” [14], zdemoralizuje rekrutów w bazie Ord, sparaliżuje konwoje wojskowe korzystające z drogi biegnącej przez Carmel Valley i sprawi, że ceny nieruchomości w hrabstwie polecą na łeb na szyję.

– Szczerze mówiąc, nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł chcieć kupić nieruchomość w pobliżu podobnego przedsięwzięcia – oświadczył mąż pani Petkuss, weterynarz.

Zarówno doktor, jak i doktorowa, ta ostatnia bliska łez, stwierdzili, że przeszkadza im zwłaszcza obecność panny Baez na jej terenie w weekendy. Wyglądało na to, że nie pozostaje w domu przez cały czas. Siadała pod drzewami i przechadzała się po posesji.

– Nie zaczynamy nigdy przed pierwszą po południu – sprzeciwił się ktoś ze szkoły. – Nawet gdybyśmy potem hałasowali, a nie robimy tego, Petkussowie mogliby spać do pierwszej. Nie rozumiem, w czym problem.

Prawnik Petkussów zareagował natychmiast.

– Problem polega na tym, że państwo Petkussowie są posiadaczami przepięknego basenu i w weekendy chcieliby zapraszać gości, korzystać z niego.

– Musieliby stawać na stole, żeby stamtąd zobaczyć szkołę.

– I robią to! – wykrzyknęła młoda kobieta, która zdążyła już wyrazić aprobatę dla panny Baez, odczytawszy radnym ustęp z *O wolności* Johna Stuarta Milla. – Czają się z lunetkami.

– To nieprawda – odparła pani Petkuss zbolałym głosem. – Mamy widok na szkołę z trzech okien sypialni i z jednego okna salonu. To jedyny kierunek, w którym możemy patrzeć.

Panna Baez siedziała bardzo spokojnie w pierwszym rzędzie. Miała na sobie granatową sukienkę z długimi rękawami, z kołnierzem i mankietami z irlandzkiej koronki, ręce złożyła na kolanach. Wygląda zjawiskowo, znacznie bardziej niż sugerują fotografie, bo obiektywy wydobywają na pierwszy plan indiańskość jej urody i nie udaje im się uchwycić olśniewającej delikatności i wyrazistości jej rysów i oczu ani jej najbardziej uderzającej cechy – absolutnej autentyczności, braku wyrachowania. Ma w sobie cudowną swobodę i jest kimś, kogo w przeszłości określano by mianem damy.

– Męty – warknął starszy mężczyzna w przypinanej muszce, który przedstawiał się jako „weteran dwóch wojen” i który był stałym

uczestnikiem podobnych spotkań. – Ale spaniel.

Zdaje się, że miał na myśli długie włosy panny Baez; starał się przy tym ściągnąć na siebie jej uwagę, stukając o podłogę laską, ale jej oczy ani na chwilę nie oderwały się od mównicy. Po chwili podniosła się z miejsca i stała tak bez słowa, aż w sali zaległa kompletna cisza. Jej oponenci siedzieli w napięciu, gotowi rzucić się do odpierania dowolnych argumentów, na jakie mogłaby się powołać w obronie swoich przekonań politycznych, swojej szkoły, bród, demonstracji „w stylu Berkeley” i w ogóle całego tego zamętu.

– Wszyscy mówią o swoich domach za czterdzieści albo pięćdziesiąt tysięcy dolarów i o spadku wartości ziemi. – Przeciągnęła ostatnie sylaby, utrzymując swój przenikliwy głos w niskich rejestrach i patrząc ze spokojem na radnych. – Chciałabym powiedzieć jedno. W posiadłość w Carmel Valley zainwestowałam ponad sto tysięcy dolarów i ja też zamierzam chronić swoją własność.

Właścicielka posiadłości uśmiechnęła się następnie nieszczerze do państwa Petkussów, po czym w całkowitej ciszy wróciła na swoje miejsce.

To interesująca dziewczyna – dziewczyna, która mogłaby zainteresować Henry’ego Jamesa w czasach, kiedy pracował nad postacią Vereny Tarrant w *Bostończykach*. Joan Baez dorastała na wysepkach klasy średniej szczególnie oddanych ewangelizacji, była córką kwakra, nauczyciela fizyki, i wnuczką dwóch protestanckich duchownych – angielsko-szkockiego pastora Kościoła episkopalnego po stronie matki i meksykańskiego metodysty po stronie ojca. Przyszła na świat na Staten Island, ale wychowywała się na obrzeżach społeczności akademickiej w rozmaitych miejscach w całym kraju; przed przybyciem do Carmel nie mogłaby powiedzieć, że skądś pochodzi. Kiedy przyszła pora na szkołę średnią, jej ojciec pracował na Uniwersytecie Stanforda, wybrała więc liceum w Palo Alto, gdzie nauczyła się grać *House of the Rising Sun* na gitarze z Sears & Roebuck [15], próbowała osiągnąć efekt vibrata, poruszając palcem po krtani, i trafiła na czołówki gazet z powodu odmowy opuszczenia budynku szkoły podczas próbnego alarmu bombowego. Kiedy przyszedł czas na studia, jej ojciec pracował w MIT i na Harvardzie, więc przez miesiąc studiowała na Uniwersytecie Bostońskim, po czym zrezygnowała i przez dłuższą chwilę śpiewała po kawiarniach przy Harvard Square. Nie przepadała szczególnie za życiem Harvard Square („Leżą tylko po swoich klitkach, palą zioło i robią inne podobnie durne rzeczy”, wyraziła się

o swoich tamtejszych znajomych wnuczka duchownych), ale wtedy nie znała jeszcze innego.

Latem 1959 roku przyjaciel zabrał ją na pierwszą edycję festiwalu folkowego w Newport. Przyjechała tam karawanem Cadillaca z wymalowanym na drzwiach napisem JOAN BAEZ, zaśpiewała kilka piosenek przed trzynastotysięczną publiką i oto zaczęło się nowe życie. Jej pierwszy album sprzedał się w większej liczbie egzemplarzy niż płyty którejkolwiek innej folkowej artystki w historii. Pod koniec 1961 roku wytwórnia Vanguard wypuściła jej drugi album; pod względem łącznej liczby sprzedanych płyt Joan Baez ustępowała wtedy już tylko Harry'emu Belafontemu, The Kingston Trio i The Weavers. Miała za sobą pierwszą długą trasę, zagrała koncert w Carnegie Hall, na który bilety wyprzedano dwa miesiące wcześniej, i odrzuciła oferty występów o wartości stu tysięcy dolarów, ponieważ chciała pracować tylko przez kilka miesięcy w roku.

Była dziewczyną, która znalazła się we właściwym miejscu i czasie. W repertuarze miała tylko niewielką liczbę ballad Childa [16] („Co ta Joanie jeszcze wyprawia z tą *Mary Hamilton*?", będzie się później zżymał Bob Dylan), nigdy nie doskonaliła swojego czystego sopranu i irytowała niektórych purystów, ponieważ pozostawała obojętna wobec pochodzenia wykonywanego materiału i śpiewała wszystko, co „smutno brzmi". Ale pojawiła na scenie w kulminacyjnym momencie popularności folku. Była w stanie dotrzeć do publiczności w sposób najwyraźniej niedostępny purystom ani bardziej komercyjnym folkowym wykonawcom. O ile nigdy nie zależało jej na pieniądzach, o tyle nie zależało jej też do końca na samej muzyce – interesowało ją raczej to, co wydarzało się między nią a publicznością.

– Najłatwiej mi być z dziesięcioma tysiącami ludzi – stwierdziła. – Najtrudniej z jedną osobą.

Nie zamierzała ani nadal nie zamierza dostarczać rozrywki; chciała ludzi poruszać, stworzyć pewną komunię emocji. Nim dobiegł końca rok 1963, w ruchu protestów obywatelskich odnalazła coś, co pozwoliło jej je zogniskować. Pojechała na Południe. Występowała w murzyńskich [17] koledżach i pojawiała się wszędzie tam, gdzie wyrastały barykady: w Selmie, Montgomery, Birmingham. Śpiewała pod mauzoleum Lincolna w czasie Marszu na Waszyngton [18]. Urzędowi podatkowemu zapowiedziała, że nie zapłaci sześćdziesięciu procent ze swojego podatku

dochodowego, bo kwota ta, według jej obliczeń, pójdzie na przemysł zbrojeniowy. Stała się głosem protestów, chociaż zawsze zachowywała zastanawiający dystans wobec niejednoznacznych sytuacji, w które pakowali się przedstawiciele ruchu („Po jakimś czasie miałam serdecznie dość tych marszów na Południu – mówiła później. – Wszyscy ci wielcy artyści wynajmujący samolociki, żeby przylecieć na miejsce, do miasteczek po trzydzieści pięć tysięcy ludzi…") Nagrała tylko parę albumów, a mimo to jej twarz znalazła się na okładce „Time". Miała dopiero dwadzieścia dwa lata.

Joan Baez została osobistością, zanim w pełni stała się osobą. I jak każdy, komu się to przydarza, jest w pewnym sensie nieszczęsną ofiarą tego wszystkiego, co inni w niej dostrzegli, co o niej napisali, co chcieli, by uosabiała bądź nie. Role, w których się ją obsadza, są rozmaite, ale wszystkie to wariacje na temat jednego motywu. Baez ma być „Madonną zniechęconych". Symbolem ruchów protestu. Nieszczęśliwą pacjentką poddawaną psychoanalizie. Piosenkarką, która nie zamierza pracować nad swoim głosem, buntowniczką za kierownicą pędzącego za szybko jaguara, Rimą [19], która ukrywa się wśród ptaków i jelonków. Przede wszystkich ma być dziewczyną, która „odczuwa", która trzyma się tego, co żywe i bolesne w czasie dojrzewania, dziewczyną wiecznie zranioną, wiecznie młodą. Teraz, kiedy Joan Baez jest w wieku, gdy rany zaczynają się goić, czy tego chcemy, czy nie, rzadko opuszcza Carmel Valley.

Chociaż w zbiorowej świadomości hrabstwa Monterey wszelkie działania Baez nabierają na ogół pewnych złowrogich podtekstów, to, co faktycznie dzieje się w Instytucie Studiów nad Niestosowaniem Przemocy, któremu pozwolono na dalsze działanie w Carmel Valley stosunkiem głosów radnych trzy do dwóch, jest na pierwszy rzut oka tak prostoduszne, że mogłoby rozbroić nawet weteranów dwóch wojen, którzy noszą przypinane na klips muszki. Cztery razy w tygodniu panna Baez i jej piętnaścioro studentów zbierają się w szkole na lancz składający się z sałatki ziemniaczanej, napojów Kool-Aid i hot dogów robionych na przenośnym grillu. Po posiłku ćwiczą balet do nagrań Beatlesów, a potem siadają w kręgu na podłodze pod fototapetą z widokiem Cypress Point i dyskutują o lekturach: *Gandhi o wyrzeczeniu się przemocy*, *Życiu Mahatmy Gandhiego* Louisa Fischera, *Przełamując barierę myśli* Jerome'a Franka, *O obywatelskim nieposłuszeństwie* Thoreau, *Pierwszej i ostatniej wolności*

i *Pomyśl o tym* Krishnamurtiego, *Elicie władzy* Charlesa Wrighta Millsa, *Celach i środkach* Huxleya i *Zrozumieć media* Marshalla McLuhana. Piątego dnia po południu spotykają się jak zwykle, tyle że spędzają ten czas w całkowitej ciszy, która oznacza także rezygnację z czytania, pisania i palenia. Grupa wprowadza regularne momenty takiej ciszy nawet w dni, kiedy dyskutują – dwadzieścia minut albo godzinę, a jedno ze studentów opisało ten reżim jako „bezcenny dla oczyszczenia umysłu z osobistych ograniczeń", panna Baez zaś jako „chyba najważniejszą rzecz w tej szkole".

Kandydaci do szkoły muszą mieć ukończone osiemnaście lat, poza tym nie ma tu kryteriów naboru; na każdą kolejną sesję przyjętych zostaje pierwszych piętnaście osób, które napiszą, że chciałyby w nich uczestniczyć. Przyjeżdżają zewsząd i są na ogół bardzo młodzi, bardzo poważni i bardzo słabo osadzeni w realiach, nie tyle wycofani ze świata, ile nie do końca go pojmujący. Ogromnie zależy im na tym, żeby „odnosić się do siebie nawzajem z pięknem i czułością", i to ich wzajemne odnoszenie się do siebie jest w istocie tak czułe, że popołudnie zajęć w szkole wydaje się dryfowaniem w stronę jakiejś nieistniejącej krainy. Dyskutują, czy Vietnam Day Committee [20] w Berkeley słusznie postąpił, próbując pertraktować z gangiem Hells Angels „z pozycji hipsterskich".

– Okej – włącza się ktoś. – Ale Anioły tylko wzruszają ramionami i mówią: „nas interesuje przemoc". Co na to powie facet z VDC?

Debatują nad pomysłem powołania Międzynarodowej Armii Bezbronnej, który przyszedł z Berkeley:

– Chodzi o to, żeby pojechać do Wietnamu, do tych wiosek, i wtedy, jeśli będą chcieli je spalić, będą musieli spalić też nas.

– Przepiękna prostota – stwierdza ktoś.

Większość z nich jest zbyt młoda, by załapać się na pamiętne wydarzenia ruchu protestu, a ci nieliczni, którzy już wtedy byli aktywistami, opowiadają tym nowym historie zaczynające się od: „Pewnej nocy w Scranton Y…" albo „Niedawno, kiedy okupowaliśmy siedzibę AEC… [21]", albo „Na marszu Kanada–Kuba był z nami ten jedenastolatek, który korespondował z gandystą, no i on…". Rozmawiają o Allenie Ginsbergu, „jedynym, jedynym pięknym głosie, jedynym, którego słychać". Ginsberg zaproponował, by VDC wysłało kobiety i dzieci z kwiatami pod bazę wojskową w Oakland.

– Dzieci i kwiaty – wzdycha bardzo młoda śliczna dziewczyna. – Ależ to jest piękne, właśnie o to chodzi.

– Ginsberg był tu w któryś weekend – wspomina rozmarzony chłopak o złotych lokach. – Przywiózł ze sobą egzemplarz *Fuck Songbag* [22], ale go spaliliśmy. – Chichocze. Podnosi do okna przezroczystą fioletową szklaną kulkę i obraca w świetle. – Joan mi ją dała – mówi. – Któregoś wieczoru w jej domu mieliśmy przyjęcie i dawaliśmy sobie nawzajem prezenty. To było jak gwiazdka, tylko bez świąt.

Sama szkoła to stary budynek z bielonej cegły wypalanej na słońcu, wciśnięty dość głęboko między żółte wzgórza i pyliste dębokrzewy w Upper Carmel Valley. Dziurawe ogrodzenie z siatki okalające szkołę podtrzymują krzewy oleandrów, nie ma tu żadnego znaku, żadnej informacji. Do 1950 roku w tym ceglanym budynku działała jednoklasowa szkoła, po czym mieścił on kolejno wytwórnię środków łagodzących oparzenia sumakiem So Help Me Hannah i niewielki zakład produkujący śrut – dwa przedsiębiorstwa, które najwyraźniej nie przedstawiały sobą zagrożenia dla cen okolicznych nieruchomości, w przeciwieństwie do szkoły panny Baez. Zakupiła to miejsce jesienią 1965 roku, po tym jak komisja planowania przestrzennego hrabstwa poinformowała ją, że zgodnie z planem zagospodarowania przestrzennego nie może prowadzić szkoły w swoim domu położonym na dziesięcioakrowej działce oddalonej o kilka mil. Panna Baez jest wiceprzewodniczącą Instytutu i jego mecenaską; sto dwadzieścia dolarów, które każde ze studentów wpłaca tytułem czesnego za trwające sześć tygodni zajęcia, idzie też na zakwaterowanie w domu w Pacific Grove i nie pokrywa w całości wydatków szkoły. Panna Baez nie tylko zainwestowała czterdzieści tysięcy dolarów w samą szkołę, ale wypłaca także pensję Irze Sandperlowi, przewodniczącemu Instytutu, prowadzącemu dyskusje i na dobrą sprawę szarej eminencji całego projektu.

– Być może uważasz, że zaczynamy bardzo skromnie – mówi Ira Sandperl. – Ale czasem najmniejsze rzeczy potrafią zmienić bieg historii. Popatrz na zakon benedyktyński.

W pewnym sensie nie sposób mówić o Joan Baez, pomijając Irę Sandperla.

– Jeden z facetów z tej komisji planowania stwierdził, że daję się zwieść obietnicami przyjemnego życia, które roztaczają przede mną obłąkani wichrzyciele – chichocze panna Baez. – Ira to skomentował, że może

rzeczywiście jest obłąkany, ale z tymi wichrzycielami to gościowi chodziło pewnie o jego rozwichrzoną brodę.

Ira Sandperl to czterdziestodwulatek pochodzący z Saint Louis, który poza tym, że ma brodę, ma również ogoloną głowę, nosi na sztruksowej kurtce wielki emblemat rozbrojenia atomowego, ma błyszczące i z lekka mesjańskie oczy, śmieje się wysokim dzikim śmiechem i ogólnie wygląda jak człowiek, który przez całe życie podążał śladem jakiejś niedostrzegalnie, acz beznadziejnie koślawej tęczy. Spędził dużo czasu, działając w ruchach pacyfistycznych w rejonie San Francisco, Berkeley i Palo Alto. Kiedy panna Baez wpadła na pomysł stworzenia Instytutu, pracował akurat w księgarni w tym ostatnim mieście.

Joan Baez poznał, kiedy ta miała szesnaście lat i ojciec przyprowadził ją na spotkanie kwakrów w Palo Alto.

– Już wtedy było w niej coś magicznego, coś innego – wspomina. – Pamiętam, jak kiedyś śpiewała na spotkaniu, na którym przemawiałem. Tamtego wieczoru wierni reagowali tak żywo, że powiedziałem: „Złotko, kiedy dorośniesz, musimy stworzyć grupę ewangelizacyjną”. – Ira uśmiecha się i otwiera ramiona.

Bliższą relację nawiązali, jeśli wierzyć Sandperlowi, kiedy ojciec panny Baez wyjechał do Paryża jako doradca UNESCO.

– Byłem jej najstarszym znajomym, więc oczywiście zwróciła się do mnie.

Ira Sandperl towarzyszył Joan Baez w czasie demonstracji w Berkeley jesienią 1964 roku.

– Ci agitatorzy z zewnątrz, o których tyle się słyszało, to właśnie my – mówi. – Zasadniczo chodziło nam o to, żeby ruch, który nie sięga po przemoc, zmienić w ruch, który kieruje się zasadą niesięgania po przemoc. Joan niesamowicie się przyczyniła do wyciągnięcia ruchu z zastoju, chociaż chłopaki mogą nie chcieć teraz tego przyznać.

Jakiś miesiąc po tym, jak zjawiła się w Berkeley, Joan Baez zagadnęła Irę Sandperla o możliwość pobierania u niego przez rok prywatnych lekcji.

– Obracała się wśród ludzi zorientowanych w polityce – wyjaśnia Sandperl. – Była bardzo zaangażowana emocjonalnie, ale nie znała socjo-ekonomiczno-polityczno--historycznych uwarunkowań działania bez przemocy.

– To wszystko było dla mnie mgliste – przerywa mu Baez i nerwowo odgarnia kosmyk włosów. – Chcę, żeby stało się mniej mgliste.

Postanowili, że nie będzie to roczna prywatna nauka, tylko szkoła działająca przez bliżej nieokreślony czas, i już późnym latem 1965 roku przyjęto pierwszych studentów. Instytut nie jest sprzymierzony z żadnym ruchem („Niektóre dzieciaki ciągną nas tylko w kolejne wielkie, brutalne bagno bez dna", stwierdza panna Baez) i rzeczywiście widać nieufność jego założycieli do większości organizacji aktywistycznych. Ira Sandperl nie ma dobrego zdania na przykład o VDC, ponieważ członkowie tego stowarzyszenia mają uznawać działanie bez przemocy jedynie na zasadach ograniczonej taktyki, akceptować konwencjonalne bloki władzy, a nawet wystawić jednego ze swoich liderów do walki o fotel w Kongresie, co w oczach Sandperla ostatecznie ich dyskwalifikuje.

– Moja droga, powiem tak… Co do praw obywatelskich, to kogo dziś wzywa na świadków prezydent, kiedy podpisuje ustawę? Adama Powella [23]? Nie. Wzywa Rustina [24], Farmera [25], Kinga, a żaden z nich nie reprezentuje konwencjonalnej struktury władzy.

Tu urywa, jakby przed oczami miał dzień, w którym on i panna Baez będą świadkować podpisaniu ustawy zakazującej stosowania przemocy.

– Nie jestem optymistą, moja droga, ale mam pewną nadzieję. To dwie różne rzeczy. Mam pewną nadzieję.

Piecyk gazowy krztusi się co chwila – panna Baez, z budrysówką narzuconą na ramiona, ma na niego oko.

– Wszyscy twierdzą, że jestem naiwna politycznie, i rzeczywiście jestem – mówi po chwili. To stwierdzenie często kieruje do osób, których nie zna. – Ale ludzie, którzy odpowiadają za politykę, też są naiwni, inaczej nie mielibyśmy przecież wojen.

Otwierają się drzwi i wchodzi niewysoki mężczyzna w średnim wieku w ręcznie plecionych sandałach. To Manuel Greenhill, menadżer panny Baez, a chociaż pełni tę funkcję już od pięciu lat, jeszcze nigdy nie odwiedził Instytutu i nigdy nie widział się z Irą Sandperlem.

– Nareszcie! – woła Ira, podrywając się z miejsca. – Głos bez ciała ze słuchawki w końcu się objawił. Manny Greenhill jednak istnieje! Ira Sandperl jednak istnieje! Oto jestem. Oto sprawca tego zamieszania!

Umówić się na spotkanie z panną Baez to nie lada sztuka, w każdym razie dla tych, którzy nie są dostrojeni do podziemnego obiegu ruchu protestu. Nowojorska wytwórnia Vanguard, dla której nagrywa, podaje tylko numer do Manny'ego Greenhilla w Bostonie.

– Proszę spróbować kierunkowego 415, prefiks DA 4, numer 4321 – wychrypi nam Manny Greenhill.

Kierunkowy 415, DA 4-4321 połączy dzwoniącego z księgarnią Kepler’s w Palo Alto, w której pracował kiedyś Ira Sandperl. Ktoś z księgarni zanotuje numer rozmówcy i skontaktowawszy się z Carmel w celu sprawdzenia, czy ktoś stamtąd w ogóle będzie zainteresowany rozmową z dzwoniącą, oddzwoni i przekaże nam numer telefonu do Carmel. Nie jest to, jak można by się spodziewać, numer panny Baez, tylko numer biura zleceń. W biurze zanotują numer dzwoniącego i po kilku dniach albo tygodniach być może odezwie się do nas Judy Flynn, sekretarka panny Baez. Panna Flynn powie nam, że „postara się skontaktować” z panną Baez.

– Nie spotykam się z ludźmi – mówi osoba będąca sercem tej misternie zorganizowanej sieci niewłaściwych numerów, linii bez drugiego końca i telefonów bez odpowiedzi. – Zamykam bramę w nadziei, że nikt się nie zjawi, ale i tak się zjawiają. Ktoś im mówi, gdzie mieszkam.

Żyje spokojnie. Czyta i rozmawia z ludźmi, którym powiedziano, gdzie mieszka, a raz na jakiś czas z Irą Sandperlem jadą do San Francisco spotkać się ze znajomymi i porozmawiać o ruchu pacyfistycznym. Widuje się ze swoimi dwiema siostrami i z Irą Sandperlem. Uważa, że dni spędzane w Instytucie na rozmowach i słuchaniu Iry dają jej większą satysfakcję niż wszystkie rzeczy, które robiła do tej pory.

– Na pewno większą niż śpiewanie. Miewałam tak, że stałam na scenie i myślałam, za co ja właściwie dostaję tyle tysięcy dolarów.

Pytana o dochody, odpowiada wymijająco („Aaa, mam skądś trochę pieniędzy”), o planach wyraża się ogólnikowo.

– Są rzeczy, które chciałabym zrobić. Chcę spróbować trochę rock and rolla i trochę muzyki klasycznej. Ale nie zamierzam się przejmować notowaniami, bo dokąd by mnie to zaprowadziło?

To, gdzie dokładnie chciałaby się znaleźć, stanowi kwestię otwartą, wyzwanie dla niej samej, a tym bardziej dla jej menadżera. Zapytany, co robi teraz jego najsłynniejsza klientka i jakie są jej plany na przyszłość, Manny Greenhill opowiada o „mnóstwie planów”, „innych obszarach” i „jej własnej decyzji”. W końcu coś przychodzi mu do głowy.

– Słuchaj, właśnie wystąpiła w filmie dokumentalnym dla kanadyjskiej telewizji, miał świetną recenzję w „Variety”, przeczytam ci – mówi, zaczynając przeglądać magazyn. – Gdzie to było… O, tu „Variety” pisze:

„początkowo miał to być dwudziestominutowy wywiad, ale kiedy nagranie zobaczyło kierownictwo CBC w Toronto, postanowiono zrealizować całe wydanie specjalne…”. – Tu przerywa czytanie, żeby skomentować. – O tym warto by było napisać. Zobaczmy dalej. Tutaj cytują jej poglądy na pokój… to już znasz… Tutaj Joan mówi: „ilekroć jadę do Hollywood, chce mi się wymiotować”… Może w to nie wchodźmy… O, tu, słuchaj: „bezbłędnie naśladowała Ringo Starra i George’a Harrisona”. Niezłe, co?

Manny Greenhill ma nadzieję, że uda mu się nakłonić pannę Baez do napisania książki, do występu w filmie i do pracy nad rockandrollowymi piosenkami. Nie udziela informacji na temat wysokości jej dochodów, chociaż stwierdzi, tonem równocześnie zawadiackim i ponurym, że „w tym roku nie będzie tego za wiele”. W roku 1966 panna Baez pozwoliła mu umówić tylko jeden koncert (podczas gdy przeciętnie dawała ich trzydzieści), a w całej swojej karierze przyjęła tylko jedną propozycję regularnych występów klubowych i praktycznie nie pojawiała się w telewizji.

– A co by miała robić u takiego Andy’ego Williamsa [26]? – Manny Greenhill prycha, po czym dodaje: – Raz zaśpiewała z nim którąś z piosenek Pata Boone’a, czyli potrafi, no ale… Nie chodzi nam przecież o to, żeby występowała z jakąś choreografią za plecami.

Greenhill uważa na jej polityczne wystąpienia i stara się przeciwdziałać wykorzystywaniu jej nazwiska.

– Mówimy, że jeśli podadzą jej nazwisko na afiszu, to oznacza, że będzie musiała zagrać. A nam chodzi o to, by nie anonsowali, że wystąpi, bo jeśli w trakcie programu uzna, że jej z czymś nie po drodze, będzie mogła się wycofać.

Jest pogodzony z tym, że zajęcia w szkole komplikują jej grafik.

– Słuchaj – tłumaczy – zawsze zachęcałem ją do politycznego zaangażowania. Sam może nie jestem aktywny, ale powiedzmy, że te sprawy leżą mi na sercu. – Mruży oczy w słońcu. – Powiedzmy, że jestem może po prostu za stary.

Zachęcać Joan Baez do „zaangażowania politycznego” to tak naprawdę po prostu zachęcać Joan Baez, by nadal „odczuwała”, albowiem dla niej polityka jest wciąż, jak sama to określiła, „mglista”. Jej zaangażowanie jest instynktowne, pragmatyczne, nie tak znowu różne od zaangażowania dowolnej członkini League of Women Voters [27].

– Tak szczerze, to nie trawię komunizmu. – To jej ostatnie słowo w tej kwestii.

A tak komentuje wydarzenia w ruchu pacyfistycznym:

– Palenie kart powołania nie ma sensu, a podpalanie siebie to jeszcze większy bezsens.

Kiedy jako uczennica liceum w Palo Alto odmówiła opuszczenia budynku w czasie próbnego alarmu bombowego, nie kierowała nią żadna filozofia – zrobiła to, ponieważ „to było jedyne praktyczne rozwiązanie, to znaczy te ćwiczenia nie miały praktycznego sensu, ci ludzie, którzy myśleli, że przetrwają w jakimś mizernym schronie o wodzie z puszki…".

Pokazywała się publicznie z politykami administracji demokratów, często cytuje się jej stwierdzenie, że „żaden dobry piosenkarz folkowy nie był nigdy republikaninem" – trudno to uznać za poetykę nowego radykalizmu. W jej programie koncertowym wydrukowano niektóre z jej przemyśleń na temat „oczekiwania na wigilię zniszczenia" i są one następujące:

> Moje życie to kryształowa łza. Wewnątrz tej łzy wirują płatki śniegu i wkoło mozolnie kroczą w zwolnionym tempie maleńkie postacie. Choćbym zaglądała do wnętrza łzy przez milion lat, możliwe, że nigdy się nie dowiem, co to za ludzie ani co robią.

> Czasami tęsknię za burzą. Za burzą z prawdziwego zdarzenia, która odmienia wszystko. W ciągu godziny przez niebo przechodzą cztery dni, drzewa jęczą, drobne zwierzątka umykają przez błota, wszystko ciemnieje i kompletnie dziczeje. Ale tak naprawdę to Bóg – który gra wewnątrz swej ulubionej katedry w niebie, tłukąc witraże, gra na gigantycznych organach, waląc w klawisze – wygrywa doskonałą harmonię, doskonałą radość.

Chociaż panna Baez wcale nie wypowiada się w ten sposób, kiedy znajduje się z dala od maszyny do pisania, to stara się, być może nieświadomie, trwać przy tej niewinności i wzburzeniu oraz podatności na zachwyt własnego lub cudzego wieku dojrzewania, nieważne jak byłby sztampowy czy płytki. Rzecz jasna, to dzięki tej otwartości, tej wrażliwości jest w stanie „dotrzeć" do wszystkich młodych, samotnych i tych, którym

brak własnych słów, do tych, którzy mają podejrzenia, że nikt inny na całym świecie nie rozumie, czym jest piękno i ból, i miłość, i braterstwo. Być może dlatego, że jest teraz starsza, panna Baez martwi się czasem, że w odczuciu wielkiej rzeszy swoich wielbicieli uosabia wszystko, co piękne i prawdziwe.

– Nie czuję się najlepiej z tą myślą – wyznaje. – Czasem mówię sobie: „Baez, daj spokój, jesteś taka sama jak wszyscy", ale wtedy też nie czuję się dobrze.

– Nie wszyscy mają ten głos – wtrąca Ira Sandperl z czułością.

– To w porządku mieć głos, głos jest w porządku… – Nasza gospodyni urywa, po czym przez dłuższą chwilę patrzy na sprzączkę przy bucie.

A więc teraz dziewczyna, której życie to kryształowa łza, ma własne miejsce – miejsce, gdzie świeci słońce, a wieloznaczności można odsuwać od siebie jeszcze przez chwilę, miejsce, w którym każdy może być serdeczny i kochający i zwierzać się innym.

– Pewnego dnia chodziliśmy po pokoju i opowiadaliśmy trochę o sobie – wyjawia. – I odkrywam tego chłopca, to przyszło mi jakoś bez trudu.

Późnopopołudniowe słońce zalewa czystą drewnianą podłogę, wśród dębokrzewów śpiewają ptaki, a piękne dzieci siedzą w kurtkach na podłodze i słuchają Iry Sandperla.

– Ira, jesteś wegetarianinem? – pyta ktoś leniwym głosem.

– Tak. Jestem.

– Opowiedz im, Ira – zachęca Joan Baez. – To piękne.

Ira odchyla się i kieruje wzrok na sufit.

– Kiedyś wybrałem się w sierrę. – Zawiesza głos, a Joan Baez uśmiecha się z aprobatą. – Zobaczyłem tam takie majestatyczne drzewo, wyrastające z gołej skały, wyrzynające się na powierzchnię… I pomyślałem sobie, w porządku, drzewo, skoro tak mocno pragniesz żyć, to niech będzie! W porządku! Dobra! Nie zetnę cię! Nie zjem! Jedyne, co wszyscy ze sobą dzielimy, to pragnienie, żeby żyć!

– Ale co z warzywami? – mruczy któraś dziewczyna.

– No cóż, zdałem sobie oczywiście sprawę, że dopóki jestem tym ciałem i tą krwią, nie dam rady być idealnie bezprzemocowy.

Robi się późno. Każdy dorzuca po pięćdziesiąt centów na jutrzejszy lancz, ktoś czyta na głos wydaną przez radę nadzorczą hrabstwa Monterey

odezwę do mieszkańców, by wywieszali amerykańskie flagi na znak, że „czubki, komuchy i tchórze nie reprezentują naszego Kraju”, a jeszcze ktoś inny zagaja o Vietnam Day Committee i członku, który się od nich odłączył i odwiedził Carmel.

– Marv to bezprzemocowiec z krwi i kości – wyrokuje Ira Sandperl. – Człowiek pełen prawdy i miłości.

– Powiedział, że jest antychrystem – wtrąca się ktoś niepewnie.

– Zgadza się – potwierdza Ira Sandperl. – Bez dwóch zdań.

– Czy VDC nazwaliby Gandhiego burżujem?

– O, z pewnością wiedzą najlepiej, chociaż sami prowadzą burżuazyjne życie…

– Sama prawda – stwierdza rozmarzony blondynek z fioletową kulką. – Wchodzicie do ich biura, a oni tam są tacy nieprzychylni. Nieprzychylni i zimni…

Wszyscy uśmiechają się do niego z miłością. Teraz niebo na zewnątrz ma już kolor jego szklanej kulki, ale wszyscy ociągają się ze zbieraniem książek, magazynów, płyt, z szukaniem kluczyków do samochodów i z pożegnaniem tego dnia, a kiedy są już wreszcie gotowi do wyjścia, Joan Baez zaczyna jeść rękami sałatkę ziemniaczaną z miski, którą wyjęła z lodówki, i wszyscy zostają, żeby zjeść wspólnie, jeszcze chwilę pobyć tu, gdzie jest ciepło.

1966

Towarzysz Laski, PKSZA (M-L)

Michael Laski, znany również jako M. I. Laski, to względnie anonimowy młody człowiek o przeszywającym, płomiennym spojrzeniu, krótko ostrzyżonej brodzie i cerze, której bladość robi w południowej Kalifornii szczególnie niesamowite wrażenie. Ze swoim rzucającym się w oczy wyglądem i całkowicie podporządkowanym ideologii sposobem wypowiadania się wygląda i brzmi dokładnie jak zawodowy rewolucjonista z popularnego wizerunku. I jest nim w istocie. Przyszedł na świat dwadzieścia sześć lat temu w Brooklynie, w dzieciństwie przeniósł się z rodzicami do Los Angeles, studia na Uniwersytecie Kalifornijskim przerwał na drugim roku na rzecz pracy organizacyjnej w związku pracowników handlu detalicznego. Teraz jako I sekretarz Komitetu Centralnego Partii Komunistycznej Stanów Zjednoczonych Ameryki (Marksistowsko-Leninowskiej) [PKSZA (M-L)], odłamu stalinistów-maoistów, których wysiłki ukierunkowane są na Watts i Harlem [28], jest rygorystycznym rzecznikiem niezmiennego wykładu doktryny, w tym przekonania, że tradycyjna Amerykańska Partia Komunistyczna to „rewizjonistyczna burżuazyjna klika", że Progresywna Partia Pracy, trockiści i „rewizjonistyczna klika, której przewodzi Gus Hall [29]", to oportunistyczne pachołki burżuazji (ze swoim wezwaniem do pokoju zwrócili się bowiem nie do „robotników", lecz do liberalnych imperialistów) oraz że H. Rap Brown [30] jest narzędziem, o ile nie jest świadomym agentem, rządzącej klasy imperialistów.

Niedawno spędziłam trochę czasu z Michaelem Laskim w księgarni Workers' International w Watts, siedzibie PKSZA (M-L) na Zachodnim Wybrzeżu. Siedzieliśmy przy stole kuchennym pod flagą z sierpem i młotem oraz portretami Marksa, Engelsa, Mao Zedonga, Lenina i Stalina (Mao zajmował honorowe, centralne miejsce) i rozmawialiśmy o rewolucji, do jakiej musi dojść, aby można było zaprowadzić dyktaturę proletariatu.

Właściwie interesowała mnie nie tyle sama rewolucja, ile rewolucjonista. Miał ze sobą czerwoną książeczkę Mao, a kiedy mówił, kładł ją na płask na blacie i ustawiał równolegle do jego krawędzi najpierw w pionie, potem w poziomie. Żeby zrozumieć, kim jest Michael Laski, potrzebna wam intuicyjna umiejętność wczuwania się w ten rodzaj kompulsji. Nie sposób pomyśleć o Michaelu jedzącym albo leżącym w łóżku. Nie ma nic wspólnego z charyzmatycznymi osobistościami pojawiającymi się na Nowej Lewicy. Michael Laski gardzi rozłamowymi reformatorami. Wierzy, tak jak Mao, że władza polityczna wyrasta z lufy karabinu, i obstaje przy tym poglądzie ze szczerością tyleż płomienną, co przynoszącą mu więcej szkody niż korzyści. Mówiąc krótko, w pejzażu amerykańskiej lewicy zajmuje miejsce, które skazuje go na wprost niewiarygodne osamotnienie – jego postawa jest donkiszotowska, niepopularna, niepragmatyczna. Wierzy, że w Stanach Zjednoczonych istnieją „robotnicy", którzy – gdy nadejdzie czas – „powstaną", nie w anarchicznym, lecz w świadomym, jednomyślnym wysiłku; wierzy także, że „klasa rządząca" działa w sposób głęboko przemyślany i jest opętana przez demoniczne moce. To idealista pod każdym możliwym względem.

Tak się składa, że nie przeszkadzają mi Michaelowie Lascy tego świata, ci, którzy żyją raczej „poza" niż „wśród", ci, w których poczucie strachu jest tak dojmujące, że zwracają się ku skrajnym i przegranym sprawom; sama wiem o strachu to i owo i szanuję skomplikowane systemy, za pomocą których pewnym ludziom udaje się wypełnić pustkę, szanuję każde „opium dla ludu", zarówno te łatwo dostępne, jak alkohol czy heroina albo rozwiązłość, jak i te, które kosztują tak wiele wysiłku, jak wiara w Boga czy Historię.

Ale, rzecz jasna, nie wspominałam o tym strachu Michaelowi Laskiemu, który właśnie Historię wybrał na swoje opium. Napomknęłam za to o „przygnębieniu", zdobywając się na stwierdzenie, że z pewnością mógł się czuć „przygnębiony", kiedy na jego ostatniej demonstracji z okazji Pierwszego Maja pojawiło się tylko kilkanaście twarzy, ale odparł, że przygnębienie jest przeszkodą na drodze procesu rewolucyjnego, chorobą dotykającą wyłącznie tych, którzy nie czerpią pokrzepienia z ideologii. Najwyraźniej Michaelowi Laskiemu nie udzielało się to uczucie bliskości, jakie ja żywiłam do niego.

– Rozmawiam z tobą – powiedział – tylko na zasadzie skalkulowanego ryzyka. Oczywiście twoją rolą tutaj jest zebrać informacje dla służb

wywiadowczych. Zasadniczo chcesz przeprowadzić to samo dochodzenie, które prowadziłoby FBI, gdyby zdołali nas usadzić w pokoju przesłuchań. – Tu urwał i zastukał paznokciami w czerwoną książeczkę. – A jednak – podjął wreszcie – rozmowa z tobą ma dla mnie niezaprzeczalną korzyść. Wynika ona z jednego faktu: otóż te wywiady stanowią publiczny zapis mojej egzystencji.

Mimo to nie zamierzał mówić ze mną o – jak się wyraził – „aparacie podziemnym" PKSZA (M-L), podobnie jak nie chciał mi wyjawić, ilu członków zasila kadry partii.

– Naturalnie nie udzielę ci informacji tego rodzaju – oświadczył. – To dla nas oczywiste, że zostaniemy zdelegalizowani.

Księgarnia Workers' International była jednak „placówką ogólnodostępną" i mogłam się swobodnie po niej rozejrzeć. Przekartkowałam niektóre z tytułów dostępnej tu literatury z Pekinu (*Wicepremier Chen Yi odpowiada na pytania korespondentów*), Hanoi (*Prezydent Ho Chi Minh odpowiada prezydentowi L. B. Johnsonowi*) i Tirany (*Awantura o zmianę kursu Tity a niezaprzeczalna prawda*) i próbowałam zanucić melodię z północnowietnamskiego śpiewnika – *Kiedy partia wzywa nas, nienawiść przepełnia nam serca*. Literatura wystawiona była w przedniej części sklepu, obok kasy i stołu kuchennego. Na zapleczu, za przepierzeniem ze sklejki, znajdowało się parę łóżek polowych, prasa i powielacz, za pomocą których Komitet Centralny drukuje swój „organ polityczny" – „People's Voice", oraz „organ teoretyczny" – „Red Flag".

– Tej placówce bezpieczeństwo zapewniają przydzielone kadry – poinformował mnie Michael Laski, kiedy zagadnęłam go o łóżka. – Dysponują niewielkim arsenałem: kilkoma strzelbami i paroma innymi przedmiotami.

Tyle zabezpieczeń może zastanawiać, jeśli wziąć pod uwagę faktyczne działania członków kadr, a te sprowadzają się – poza sprzedażą „People's Voice" i prób zorganizowania Ludowych Zbrojnych Grup Obrony – w znacznej mierze do doskonalenia własnej ideologii, do tropienia „błędów i odchyleń" we własnych szeregach.

– To, co robimy, niektórym może się wydać stratą czasu – stwierdził Michael Laski znienacka. – Jeśli ktoś nie ma własnej ideologii, może się zastanawiać, co takiego Partia ma do zaoferowania. Otóż nie ma do zaoferowania niczego. Trzydzieści, może czterdzieści lat przedkładania jej

interesów ponad wszystko inne. Pobicia. Więzienie. Na wysokim szczeblu także ryzyko śmierci w zamachu.

To oczywiście wspaniała oferta. Świat, który stworzył dla siebie Michael Laski, to świat pełen labiryntowych zawiłości i nieskazitelnej jasności, świat, któremu sens nadają nie tylko wzniosły cel, ale także zewnętrzne i wewnętrzne zagrożenia, intrygi oraz partyjny aparat, świat niezmiennie uporządkowany, w którym nic nie jest bez znaczenia. Pozwólcie, że opowiem wam o innej wizycie w Workers' International. Wcześniej tego dnia marksiści-leniniści sprzedawali „People's Voice" na ulicach i teraz Michael Laski oraz troje innych członków kadr zasiedli właśnie do obliczenia wpływów czynności tak uroczystej jak zebranie udziałowców banku Morgana.

– Panie… towarzyszu… Simmons… jaki był całkowity dochód? – zapytał Michael Laski.

– Dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt jeden centów.

– Zarobione w jakim czasie?

– Czterech godzin.

– Ile egzemplarzy gazety łącznie sprzedano?

– Siedemdziesiąt pięć.

– Średnia godzinowa?

– Dziewiętnaście.

– Średni datek?

– Trzynaście i pół centa.

– Najwyższy datek?

– Sześćdziesiąt centów.

– A najniższy?

– Cztery.

– Nie był to zbyt dobry dzień, towarzyszu Simmons. Jak to wyjaśnicie?

– W dzień przed wypłatą zapomóg i zasiłków dla bezrobotnych zawsze jest marnie.

– Bardzo dobrze, towarzyszu Simmons.

Rozumiecie teraz, czym jest świat Michaela Laskiego: to drobny, aczkolwiek ryzykowny triumf bytu nad nicością.

1967

Romaine 7000, Los Angeles 38

Romaine Street 7000 to adres w części Los Angeles dobrze znanej wielbicielom Raymonda Chandlera i Dashiella Hammetta – ciemna strona Hollywood rozciągająca się na południe od Sunset Boulevard, slums klasy średniej pełen „wzorcowych apartamentów na wynajem", magazynów i parterowych bliźniaków. Ponieważ nieopodal znajdują się studia Columbii i Desilu, i Samuela Goldwyna, wiele spośród zamieszkujących tę okolicę osób łączy jakaś luźna więź z przemysłem filmowym. Obrabiali kiedyś fotosy albo, dajmy na to, znali manikiurzystkę Jean Harlow. Budynek przy Romaine 7000 sam wygląda jak wyblakły plener filmowy – to pastelowy gmach z modernistycznymi detalami, z których obłazi farba, z oknami, które teraz zasłaniają albo deski, albo szkło zbrojone, a u wejścia pośród przykurzonych oleandrów leży gumowa wycieraczka z napisem PIĘKNIE WITAMY.

W rzeczywistości nikogo się tam nie wita, bo drzwi budynku przy Romaine 7000 należącego do Howarda Hughesa są zamknięte na cztery spusty. Fakt, że „centrum komunikacyjne" Hughesa znajduje się tu, w posępnym słońcu krainy Hammetta-Chandlera, stanowi jedną z tych okoliczności, które pozwalają ludziom uzasadniać ich podejrzenie, że oto życie jest istotnie scenariuszem filmowym. Imperium Hughesa to bowiem jedyny na świecie kompleks przemysłowy – na który w ciągu lat złożyły się produkcja maszyn, zagraniczne filie fabryk narzędzi wiertniczych, browar, dwie linie lotnicze, olbrzymie holdingi nieruchomości oraz duże studio filmowe – zarządzany przez człowieka, który za sprawą swojego *modus operandi* łudząco upodobnił się do bohatera *Wielkiego snu*.

Tak się składa, że mieszkam niedaleko Romaine 7000 i specjalnie przejeżdżam tamtędy od czasu do czasu; mam wrażenie, że te moje przejazdy mają w sobie coś z ducha odwiedzin wybrzeża Kornwalii przez badaczy legend arturiańskich. Interesują mnie folklor otaczający Howarda Hughesa, reakcje, jakie wywołuje w ludziach, określenia, po jakie sięgają,

kiedy o nim mówią. Pozwólcie, że podam przykład. Kilka tygodni temu jadłam lancz z dawną znajomą w hotelu Beverly Hills. Siedzieli tam także trzydziestoletnia kobieta, która wyszła bogato za mąż i która kiedyś była gwiazdką na kontrakcie w produkcjach Hughesa, oraz projektant kostiumów, który pracował przy masie jego filmów i do którego nadal przychodzi cotygodniowa wypłata z Romaine 7000 z tytułu niepisanej umowy stanowiącej, że nie będzie pracował dla nikogo innego. Od kilku lat kostiumograf nie robi nic poza realizowaniem tego cotygodniowego czeku. Siedzieli tak w słońcu – dawna gwiazdka i niegdysiejszy projektant u człowieka, który publicznie pojawia się ostatnio bodaj rzadziej niż Cień [31] – i rozmawiali o Hughesie. Ciekawiło ich, jak się miewa i dlaczego rok 1967 spędza na wykupywaniu Las Vegas.

– Nie powiesz mi, że jest tak, jak mówią: że kupił sobie cały Desert Inn tylko dlatego, żeby z powodu innych graczy nie wyprosili go z penthouse'u [32] – rozwodziła się eksgwiazdka, przesuwając palcem po brylancie wielkim jak Ritz. – To na pewno element jakiejś większej misji.

To określenie zostało użyte bezbłędnie. Jeżeli ktoś choćby tylko omiata wzrokiem prasę finansową, to wie, że Hughes nigdy nie zawiera „transakcji", nie prowadzi „negocjacji" – on realizuje „misje". Jak ujął to kiedyś magazyn „Fortune" w serii laurek na cześć Hughesa, jego naczelną misją było zawsze „zachowanie władzy właścicielskiej największej puli kapitału przemysłowego kontrolowanego przez jednego człowieka". W przypadku Hughesa nie można też mówić o „wspólnikach". On ma jedynie „przeciwników". Kiedy ci przeciwnicy „wydają się" zagrażać jego absolutnej kontroli, wówczas Hughes przedsiębierze jakieś kroki „bądź nie". To tego rodzaju zwroty – „wydają się" czy „bądź nie" – typowe dla sztuki reportażu biznesowego z Hughesem w roli głównej sugerowały szczególną naturę tej czy innej Hughesowskiej misji. A oto jak kroki takie mogą wyglądać bądź nie – w decydującym momencie Hughes może poinformować ostrzegawczo: „Przystawiliście mi pistolet do skroni". Jeżeli Hughes czegoś na pewno nie lubi, tym czymś jest właśnie pistolet przystawiony do skroni (ogólnie rzecz biorąc, rozumie przez to prośbę o pojawienie się na spotkaniu czy omówienie polityki działania) i co najmniej jeden prezes TWA – firmy, którą gdy prowadził ją Hughes, pod względem metod działania można było przyrównać jedynie do rządu Hondurasu – rozstał się po takim komunikacie ze stanowiskiem.

Podobnych historii jest cały bezlik, przekazywane z ust do ust nieskończoną ilość razy, wierni wymieniają się nimi jak wystrzępionymi, poblakłymi kartami z gwiazdami bejsbolu, aż w końcu opowieści stają się apokryfami. Choćby ta o fryzjerze Eddiem Alexandrze, sowicie opłacanym za pozostawanie „w gotowości o każdej porze dnia i nocy", w razie gdyby Hughes chciał się ostrzyc.

– Eddie, ja tylko sprawdzam – miał powiedzieć Hughes, kiedy zadzwonił do Alexandra o drugiej nad ranem. – Chciałem tylko sprawdzić, czy ciągle jesteś w gotowości.

Albo kiedy Convair chciało sprzedać trzysta czterdzieści samolotów transportowych Hughesa, a ten nalegał, by „dla zapewnienia tajności" misję omówić między północą a świtem, przy świetle latarki, na wysypisku śmieci w Palm Springs. Był i wieczór, kiedy ani z Hughesem, ani z Gregiem Bautzerem, jego ówczesnym prawnikiem, nie dało się skomunikować, podczas gdy w sali konferencyjnej Chemical Bank w Nowym Jorku trwało spotkanie dotyczące udzielenia TWA pożyczki w wysokości stu sześćdziesięciu pięciu milionów dolarów. Siedzieli tam ze swoimi stu sześćdziesięcioma milionami ludzie z dwóch największych firm ubezpieczeniowych i z dziewięciu najpotężniejszych banków w kraju, czekając – a była siódma wieczór ostatniego dnia, kiedy transakcja mogła zostać zawarta – na połączenie z Hughesem lub Bautzerem. Zamiast któregoś z nich po drugiej stronie słuchawki obecna była żona Bautzera, gwiazda filmowa Dana Wynter.

– Mam nadzieję, że odbierze je w jednocentówkach i rozsypie je sobie na nogi – miał powiedzieć makler z Wall Street, kiedy sześć lat później Hughes sprzedał TWA za pięćset czterdzieści sześć milionów dolarów.

Są i bardziej aktualne opowieści. Howard Hughes jest w drodze do Bostonu w przedziale Super Chief z obstawą z Bel Air Patrol. Howard Hughes przebywa w szpitalu Peter Bent Brigham. Howard Hughes przejmuje piąte piętro bostońskiego Ritza. Howard Hughes kupuje – bądź nie – trzydzieści siedem i pół procent akcji Columbia Pictures za pośrednictwem szwajcarskiego Banque de Paris. Howard Hughes zachorował. Howard Hughes nie żyje. Nie, Howard Hughes jest w Las Vegas i płaci trzynaście milionów dolarów za Desert Inn. Piętnaście za The Sands. Przekazuje sześć milionów stanowi Nevada na budowę uczelni medycznej. Negocjuje zakup rancz, Alamo Airways, terminalu lotniczego North Las Vegas, kolejnych rancz, reszty Stripu [33]. W lipcu 1967 roku

Howard Hughes jest już właścicielem największej liczby nieruchomości w hrabstwie Clark w Nevadzie.

– Howard lubi Las Vegas – tłumaczył kiedyś znajomy Hughesa – ponieważ lubi wiedzieć, że gdzieś na pewno znajdzie otwartą restaurację, w razie gdyby miał ochotę na kanapkę.

Dlaczego aż tak przepadamy za tymi historiami? Dlaczego opowiadamy je po wielokroć? Dlaczego uczyniliśmy ludowym bohaterem człowieka, który stanowi antytezę wszelkich naszych oficjalnych bohaterów – nawiedzonego milionera z Zachodu, za którym ciągnie się legenda desperacji i władzy i obraz białych tenisówek? Ale przecież postępujemy tak od zawsze. Nasi ulubieńcy i nasze ulubione opowieści są nimi nie za sprawą jakiejś właściwej im cnoty, lecz dlatego, że stanowią ilustrację czegoś, co sięga korzeniami głębiej, czegoś nienazwanego. „Bosy" Joe Jackson [34], Warren Gamaliel Harding [35], Titanic – „patrzcie, jak wielcy upadają". Charles Lindbergh, Scott i Zelda Fitzgeraldowie, Marilyn Monroe – „piękni i przeklęci". No i Howard Hughes. Fakt, że zrobiliśmy bohaterem akurat Hughesa, mówi nam coś interesującego o nas samych, coś, o czym ledwie się pamięta – że pieniądze i władzę w Ameryce zdobywa się nie w celu zdobycia rzeczy, które można za nie kupić, nie w celu zdobycia władzy dla niej samej (Amerykanie odczuwają zakłopotanie z powodu swojej własności, władza wprawia ich w poczucie winy, co trudno dostrzec Europejczykom za sprawą najprawdziwszego materializmu tych drugich, ich biegłości w korzystaniu z władzy), lecz dla zyskania absolutnej wolności osobistej, nieskrępowanej możliwości przemieszczania się, dla zapewnienia sobie prywatności. Właśnie to dążenie przez cały XIX wiek pchało Amerykę coraz dalej ku Pacyfikowi, ta tęsknota za możliwością znalezienia otwartej restauracji, w razie gdyby człowiekowi przyszła ochota na kanapkę, to pragnienie, by być panem swojego życia, by żyć na własnych zasadach.

Rzecz jasna, nie przyznajemy się do tego. Dążenie to niesie samobójcze konsekwencje w wymiarze społecznym, a ponieważ o tym wiemy, znaleźliśmy sposoby na to, by mówić jedno, a wierzyć w coś zupełnie innego. Dawno temu Lionel Trilling zwracał uwagę na, jak to określał, „zgubne rozdzielenie" pomiędzy „ideami pielęgnowanymi przez naszą wykształconą klasę o liberalnych poglądach a głębokimi rejonami wyobraźni". Pisał: „Chcę przez to powiedzieć tylko tyle, że nasza warstwa wykształcona zachowuje chętnie wyrażaną, jeśli cokolwiek umiarkowaną

rezerwę wobec motywu korzyści, wierzy w postęp, naukę, legislację w kwestiach socjalnych, planowanie i współpracę międzynarodową (…). Przekonania te przynoszą wielką chlubę tym, którzy je żywią. Mimo wszystko wymownym komentarzem – jeśli nie do naszych przekonań, to w każdym razie do sposobu, w jaki dajemy im wyraz – jest fakt, że żaden z pisarzy pierwszej wielkości nie zmierzył się z tymi ideami ani ze współbrzmiącymi z nimi emocjami w sposób, który zaowocowałby wielkim dziełem literackim". Oficjalnie podziwiamy ludzi, którzy uosabiają te idee. Podziwiamy postać Adlaia Stevensona [36], człowieka racjonalnego, oświeconego, człowieka, któremu obcy jest sposób działania zdradzający psychopatyczny rys. Z bogaczy podziwiamy Paula Melona, spadkobiercę fortuny i społecznika na europejską modłę. Zawsze istniała rozbieżność między naszymi oficjalnymi i nieoficjalnymi bohaterami. O Howardzie Hughesie nie sposób pomyśleć, nie dostrzegając tej, jak się zdaje, bezdennej przepaści między tym, co oficjalnie podziwiamy, a tym, czego potajemnie pragniemy, między – w szerszym znaczeniu – osobami, które wybieramy na mężów i żony, a tymi, które kochamy. W kraju, który wydaje się coraz bardziej cenić cnoty społeczne, Howard Hughes jest wciąż kimś nie tyle antyspołecznym, ile aspołecznym. Jest ostatnią osobą prywatną, wcieleniem marzenia, do którego przestaliśmy się przyznawać.

1967

California Dreaming

W każdy dzień pracujący o jedenastej przed południem – mniej więcej właśnie wtedy, gdy słońce upałem przepędza resztki mgły ze wzgórz nad Santa Barbara – piętnastu czy dwudziestu mężczyzn zbiera się w dawnej jadalni willi producenta koszul z oknami wychodzącymi na Ocean Spokojny i zaczyna kolejną sesję tego, co chętnie określają mianem „rozjaśniania kwestii zasadniczych". Jesteśmy w Centrum Studiów nad Instytucjami Demokratycznymi – współczesnej mutacji Funduszu dla Republiki [37], które od 1959 roku, kiedy to Fundusz zapłacił dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów za marmurową willę i czterdzieści jeden akrów eukaliptusa, stanowi przystań chętnie odwiedzaną przez osoby uważane przez przewodniczącego Centrum, Roberta M. Hutchinsa, za kontrowersyjne, inspirujące oraz – co być może najważniejsze – skłonne do współpracy czy też po prostu n a s z e.

– Jeżeli chcą tylko pracować nad własnymi rzeczami, to lepiej niech tu nie pukają – stwierdził Hutchins. – Jeżeli nie mają zamiaru pracować w grupie, to nie miejsce dla nich.

Osoby zaproszone do Centrum otrzymują gabinet (instytucja nie ma pokojów mieszkalnych) oraz pensję, której wysokość podobno odpowiada tym ujętym w siatce płac Uniwersytetu Kalifornijskiego. Proces przyjęcia zwykle przedstawia się jako „spowity tajemnicą", ale zawsze odnosi się do „ludzi, których znamy". Paul Hoffman, który swego czasu przewodniczył Fundacji Forda, a następnie dyrektorował Funduszowi dla Republiki, jest obecnie honorowym przewodniczącym Centrum; sporo czasu spędzają tam także syn Hoffmana oraz zięć Hutchinsa. Jest tu Rexford Tugwell, który w czasie New Dealu należał do „trustu mózgów" („A co w tym złego? – odparł mi pytaniem. – Gdyby nie było mnie tutaj, byłbym w domu spokojnej starości"), a także Harvey Wheeler, współautor powieści *Czerwona linia*. Bywa, że Centrum zaprasza kogoś ze względu na jego

immanentną wartość jako osoby szeroko rozpoznawalnej, na przykład biskupa Jamesa Pike'a.

– Jesteśmy grupą wysoko wykwalifikowanych ekspertów od *public relations* – wyjaśnia Harry Ashmore.

Harry Ashmore to stały bywalec Centrum, który Hutchinsa – czy też, jak w obecności osób z zewnątrz tytułuje się tu prezesa Centrum, doktora Hutchinsa – uważa za „naturalny zasób intelektualny". Oprócz rozjaśniania kwestii zasadniczych i podnoszenia na duchu Bennetta Cerfa [38] („Moja rozmowa z Paulem Hoffmanem na Wybrzeżu podniosła mnie na duchu tak bardzo, że nigdy jej nie zapomnę" – stwierdził Cerf jakiś czas temu) ci wysoko wykwalifikowani eksperci od *public relations* zbierają się co dzień na kilka godzin dyskusji zwykle dotyczącej jednego z ogólnych zagadnień, na którym w danym momencie Centrum się koncentruje, powiedzmy „Miasto" albo „Rodząca się konstytucja". Pisze się artykuły, czyta je, poprawia, czyta ponownie, a czasami w końcu ogłasza drukiem. Proces ten bywa określany przez osoby w nim uczestniczące jako „wskazywanie nam wszystkim drogi do lepszego rozumienia" albo „stosowanie ludzkiego rozumu do rozwiązywania złożonych problemów naszego hipernowoczesnego świata".

Od dawna ciekawi mnie retoryka Centrum, charakteryzująca się tą ektoplazmatyczną ogólnością, która zawsze upewnia mnie, że jestem na tropie nie lada gratki, autentycznego amerykańskiego kiczu – i w związku z tym jakiś czas temu zapisałam się na kilka sesji w Santa Barbara. Nie był to pod żadnym względem czas stracony. Centrum to najdoskonalej tubylczy fenomen kulturowy od czasu *Syntopikonu* Encyklopedii Britannica, który wyjaśnia „sto dwie wielkie idee Zachodu" i który również zawdzięczamy Robertowi Hutchinsowi, *pardon,* doktorowi Robertowi Hutchinsowi.

– Proszę czasem nie usiąść przez pomyłkę przy dużym stole – ostrzeżono mnie półgłosem podczas mojej pierwszej wizyty w Centrum. – Rozmowy, które się tam toczą, mają spory kaliber.

– Czy istnieją jakieś dowody na to, że życie w brutalnym świecie sprzyja rozkwitowi przemocy? – zapytał ktoś przy tym najważniejszym stole.

– Trudno to zmierzyć.

– Myślę, że to te westerny w telewizji.

– Jestem skłonny [pauza] przyznać tu rację.

Każde słowo wypowiadane w Centrum zostaje utrwalone na taśmie, a taśmy i broszury otrzymują nie tylko uczelnie i biblioteki, ale też tysiące

osób prywatnych. Wśród najlepiej sprzedających się broszur znalazły się *Władza ekonomiczna i wolne społeczeństwo* A. A. Berle'a juniora, *Związki i liderzy związków przez nie wybrani* Clarka Kerra, *Cybernacja. Cichy podbój* Donalda Michaela oraz *Społeczność strachu* Harrisona Browna. Centrum otrzymuje listy poparcia od siedemdziesięciu pięciu tysięcy czytelników rocznie, utwierdzające kierownictwo w przekonaniu, że wszystko, co się tu mówi i robi, przyczynia się w sposób mistyczny do wzrostu dobra wspólnego w kraju, a nawet na świecie. Nauczyciel z wiejskiej szkoły w Kolorado: „Korzystam z rozmaitych publikacji Centrum na moich lekcjach historii Stanów Zjednoczonych i współczesności. Mam wrażenie, że nie ma dziś w naszym kraju instytucji bardziej zaangażowanej w wartościową pracę najwyższych lotów niż Centrum". Pewna kalifornijska matka: „Teraz moja piętnastoletnia córka odkryła Wasze publikacje. Jestem zachwycona, bo to jedna z tych typowych nastolatek. Ale kiedy zwija się w kłębek na kanapie, żeby poczytać, to ma ze sobą Wasze broszurki".

Uwagę, że dostarczanie przydatnych artykułów na zajęcia ze współczesności w ósmej klasie i zapewnianie lektury typowym nastolatkom być może nie jest do końca równoznaczne z ustanawianiem „prawdziwej intelektualnej społeczności" (inny z celów Hutchinsa), przyjęto by w Centrum jako defetystyczne i niedemokratyczne czepialstwo.

– Ludzie mają prawo wiedzieć, co myślimy – usłyszałam.

W rzeczywistości to miejsce zażarcie antyintelektualne – zgryźliwe wyrażenia takie jak „jajogłowy" czy „wieża z kości słoniowej" padają tu z częstotliwością równą chyba jedynie tej, z jaką słyszy się je w szatni country clubu. Hutchins spieszy doprecyzować, że tym, co rozumie przez „intelektualną społeczność", nie jest społeczność, „której członkowie mają się za »intelektualistów«". Harry'ego Ashmore'a uwiera szczególnie myśl, że „ludzie interesu" mogą nie dostrzec „praktycznego pożytku" płynącego z działania Centrum. W tej kwestii Hutchins lubi powoływać się na Adlaia Stevensona: „O Centrum możemy myśleć w kategoriach swego rodzaju narodowej polisy ubezpieczeniowej, upewnia nas ono, że zasługujemy na coraz lepszą przyszłość".

Chociaż nasuwa się podejrzenie, iż ten pragmatyczny couéizm [39] w myśleniu większości kierownictwa Centrum przychodzi całkiem naturalnie, jest on też nieodzownym warunkiem jego przetrwania. W roku 1959 Fundusz dla Republiki przekazał na rzecz Centrum cztery miliony

dolarów, jakie pozostały mu z piętnastomilionowego grantu Fundacji Forda, ale donacja rozeszła się już dawno temu, a że nigdy nie było mowy o jakichkolwiek nowych pieniądzach od Forda, Centrum musi zarabiać samo na swoje funkcjonowanie. Kosztuje ono milion dolarów rocznie. Ten milion zapewniają wpłaty od około dwunastu tysięcy darczyńców, i dobrze, kiedy mogą myśleć o datku przekazanym Centrum nie jak o wsparciu dla jakichś wizjonerów, którzy nigdy nie spotkali ludzi wstających co dzień do pracy, lecz „jak o inwestycji (zwolnionej z podatku) w utrzymanie naszego opartego na wolności sposobu życia". Dobrze jest też przedstawić darczyńcy nieco przerysowany obraz zagrożeń czyhających na Centrum ze strony sił ciemności, w którym to działaniu Centrum zyskało tyleż nieocenionego, co niezamierzonego sojusznika w lokalnym oddziale John Birch Society [40] w Santa Barbara.

– Nie możemy pozwolić, żeby faszyści ich stąd wyparli – usłyszałam od wielbicielki Centrum.

Na dobrą sprawę nie trzeba nawet widma Birch Society, Hutchins opracował bowiem formułę będącą fundraisingowym odpowiednikiem *E = mc2*. Centrum działa, opierając się na tej samej zasadzie co wydawnictwa self-publishingowe. Osoby mogące przekazać Centrum duże sumy zaprasza się do uczestniczenia w „rozjaśnianiu kwestii zasadniczych". Dinah Shore [41], członkini-
-założycielka, będzie dyskutować o prawach obywatelskich z Bayardem Rustinem. Steve Allen [42] omówi kwestie „ideologii i interwencji" z senatorem Fulbrightem [43] i Arnoldem Toynbee'em [44], a Kirk Douglas, członek założyciel, wygłosi swój referat *Sztuka w społeczeństwie demokratycznym*. Paul Newman, występujący w roli „zaangażowanego obywatela", jest gotów rozmawiać o „Uniwersytecie w Ameryce" z doktorem Hutchinsem, sędzią Sądu Najwyższego Williamem O. Douglasem [45], Arnoldem Grantem, Rosemary Park [46] i innym „zaangażowanym obywatelem", Jackiem Lemmonem.

– Całkiem bezinteresownie – mówi Lemmon, zaciągając się fajką. – Wyłącznie dla zaspokojenia ciekawości… Nie wiem, ale chcę się dowiedzieć…

W tej chwili chce się dowiedzieć, o co chodzi w zamieszkach studentów, innym razem z kolei wyraża obawę, że kontrakty rządowe popsują „naukę dla samej nauki".

– Chodzi ci o to, że może dostaną grant na opracowanie jakiegoś nowego rodzaju plastiku – odzywa się zadumany Newman, a Lemmon podchwytuje:

– Co wtedy z humanistyką?

Wszyscy wracają do domów, pochlebiwszy sobie nawzajem, i Centrum odnosi zwycięstwo. W sumie co w tym złego? W któreś przedpołudnie rozmawiałam z żoną znacznego darczyńcy, kiedy czekałyśmy na tarasie na serwowane tam gotowe martini i na krótką pogawędkę z doktorem Hutchinsem.

– Te sesje to dla mojej głowy za wysoki pułap – zwierzyła mi się – ale kiedy z nich wychodzę, dosłownie unoszę się w powietrzu.

1967

Gody absurdu

Żeby zawrzeć małżeństwo w Las Vegas, w hrabstwie Clark w Nevadzie, panna młoda musi zeznać pod przysięgą, że ma osiemnaście lat, lub okazać zezwolenie rodziców, a pan młody, że ma lat dwadzieścia jeden, lub także okazać zezwolenie. I trzeba wysupłać pięć dolarów na certyfikat. (W niedziele i święta – piętnaście. Sąd hrabstwa Clark wystawia certyfikaty małżeństwa o każdej porze dnia i nocy, wyjątkiem są przerwy między południem a godziną pierwszą, między ósmą a dziewiątą wieczorem oraz między czwartą a piątą rano). Nie trzeba niczego więcej. Stan Nevada jako jedyny spośród Stanów Zjednoczonych nie wymaga przedstawienia wyników badania krwi, nie ma okresu oczekiwania na wystawienie dokumentu. Jadąc przez Mojave od strony Los Angeles, napotyka się – jeszcze pośród szczerej pustyni, jeszcze zanim światła Las Vegas zamajaczą na horyzoncie jak miraż – wyłaniające się z księżycowego krajobrazu zasiedlonego przez grzechotniki i jadłoszyn tablice, które głoszą: „BIERZECIE ŚLUB? Certyfikaty, bezpł. informacja pierwszy zjazd ze Strip”. Możliwe, że przemysł ślubny Las Vegas osiągnął zenit swojej wydajności operacyjnej między dziewiątą wieczór a północą 26 sierpnia 1965 roku – w ze wszech miar zwyczajny czwartek, który jednak za sprawą rozporządzenia prezydenta był ostatnim dniem, kiedy można było uzyskać zmianę kategorii poborowej na korzystniejszą z racji samego faktu zawarcia małżeństwa. Tej nocy mężem i żoną w imieniu hrabstwa Clark i stanu Nevada zostało ogłoszonych sto siedemdziesiąt jeden par, w tym sześćdziesiąt siedem przez tego samego sędziego pokoju Jamesa A. Brennana. Pan Brennan udzielił jednego ślubu w hotelu Dunes, a pozostałych sześćdziesięciu sześciu w swoim biurze, inkasując po osiem dolarów od każdej pary. Jedna z panien młodych pożyczyła swój welon sześciu innym.

– Zszedłem z pięciu minut do trzech – powie później Brennan o swoim osiągnięciu. – Mogłem zaślubić ich masowo, ale to ludzie, a nie bydło.

Ludzie oczekują czegoś lepszego, kiedy się pobierają.

To, czego właściwie oczekują ludzie pobierający się w Las Vegas – jakie, w najogólniejszym sensie, są ich „nadzieje” – wydaje się czymś osobliwym i wewnętrznie sprzecznym. Las Vegas to najbardziej ekstremalne i alegoryczne z amerykańskich centrów osadnictwa, dziwaczne i piękne w swojej sprzedajności i przywiązaniu do natychmiastowej gratyfikacji, miejsce, w którym ton nadają gangsterzy i *call girls* oraz obsługa damskich toalet z poppersami azotynu amylu [47] w kieszeniach uniformów. Prawie każdy zauważa, że w Las Vegas nie istnieje „czas”, nie ma dnia ani nocy, przeszłości ani przyszłości (choć żadne z kasyn Las Vegas nie posunęło się w zacieraniu zwykłego poczucia czasu tak daleko jak Harold’s Club w Reno, które przez moment wypuszczało nieregularnie odbijane na powielaczu „biuletyny” z wiadomościami ze świata na zewnątrz); człowiek nie ma tu także osadzonego w logice poczucia, gdzie się znajduje. Stoi na autostradzie w środku rozległej, nieprzyjaznej pustyni i patrzy na wysokie na osiem stóp migające napisy STARDUST albo CAESAR’S PALACE. Dobrze, ale czy to cokolwiek wyjaśnia? To geograficzne nieprawdopodobieństwo wzmacnia przeczucie, że to, co się tu dzieje, nie ma związku z „prawdziwym” życiem; miasta Nevady takie jak Reno czy Carson to miasta rancza, miasta Zachodu, miejsca, za którymi stoi jakiś historyczny imperatyw. Las Vegas natomiast istnieje jak gdyby tylko w oku patrzącego. To wszystko sprawia, że jest miejscem niezwykle inspirującym i ciekawym, niemniej dziwi chęć, by właśnie tam przywdziać satynową suknię ślubną Priscilla of Boston w kolorze écru ze wstawkami z koronki chantilly, zwężanymi rękawami i odpinanym trenem.

A jednak biznes ślubny Las Vegas zdaje się odwoływać właśnie do tego impulsu. „Szczerze i godnie od 1954”, reklamuje się jedna z kaplic ślubnych. Jest ich w Las Vegas dziewiętnaście, wszystkie zaciekle ze sobą rywalizują, a każda z nich oferuje lepsze, szybsze i – jak należałoby sądzić – bardziej szczere usługi od konkurencji: „U nas najlepsze zdjęcia”, „Wasz ślub na płycie gramofonowej”, „Uroczystość przy świetle świec”, „Kwatery na miesiąc miodowy”, „Bezpłatny transport motel–sąd–kaplica–motel”, „Ceremonie kościelne i cywilne”, „Garderoby, Kwiaty, Obrączki, Zapowiedzi, Wolni świadkowie, Dużo miejsc parkingowych”. Te usługi, jak niemal wszystkie inne w Las Vegas („Sauna”, „Realizacja czeków z wypłatą”, „Futra z szynszyli – sprzedaż i wypożyczanie”), dostępne są przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przez siedem dni w tygodniu, co

najwyraźniej wynika z przekonania, że małżeństwo, podobnie jak kości, to gra, w którą się wchodzi, kiedy czuje się sprzyjającą passę.

Ale najdziwniejsze w tych kaplicach przy Stripie – z ich studniami szczęścia i oknami z witrażami z bibuły, ze sztucznymi buwardiami – jest fakt, że ich działalność to w znacznej mierze wcale nie kwestia zwykłej wygody, obsługi późnonocnych romansów tancerek z klubów i młodocianych Crosbych. Oczywiście tak też bywa. (Pewnej nocy w Las Vegas, około jedenastej, byłam świadkiem, jak z takiej kaplicy wytoczyła się panna młoda w pomarańczowej spódniczce mini, z kaskadą ognistoczerwonych włosów, w towarzystwie pana młodego, który wyglądał całkiem jak jednorazowy siostrzeniec z filmów w rodzaju *Miami Syndicate* [48]. „Muszę załatwić dzieci – kwiliła. – Muszę odebrać opiekunkę, muszę zdążyć na występy o północy”. „Jedno, co musisz – powiedział pan młody, otwierając drzwi cadillaca deville coupé i przyglądając się, jak tamta mości się na siedzeniu – to wytrzeźwieć”). Las Vegas oferuje jednak coś więcej niż tylko „wygodę”. Sprzedaje „sympatyczne momenty”, odbitkę rzeczywistego rytuału, dzieciom, które nie wiedzą, jak inaczej mogłyby go sobie zorganizować, jak wszystko przygotować, by było „tak jak trzeba”. Przez cały dzień i wieczór na Stripie spotyka się uczestników pełnoprawnych wesel, czekających w ostrym świetle latarń na przejściu dla pieszych, stojących niepewnie na parkingu hotelu The Frontier, kiedy fotograf wynajęty przez The Little Church of the West („Miejsce, gdzie ślub biorą gwiazdy”) poświadcza w kaplicy wydarzenie, robiąc zdjęcie: panna młoda ma welon i satynowe balerinki, pan młody zazwyczaj białą marynarkę. Towarzyszą im czasem osoba albo dwie z obstawy, siostra albo najlepsza przyjaciółka we wściekle różowej kreacji z *peau de soie*, woalka, bukiecik goździków. Organista zagra *When I Fall in Love It Will Be Forever*, a potem jeszcze kilka taktów z *Lohengrina*. Matka zapłacze; ojczym, którego uwiera jego rola, zaprosi hostessę na wspólny toast w The Sands. Dziewczyna odmówi z profesjonalnym uśmiechem – jej uwaga jest już skierowana na następną grupę, oczekującą na zewnątrz. Jedna panna młoda wychodzi, następna wchodzi, a na drzwiach kaplicy znowu pojawia się tabliczka: „Prosimy poczekać – trwa ślub”.

Kiedy byłam w Las Vegas ostatnim razem, siedziałam w restauracji przy Stripie stolik w stolik z takimi weselnikami. Ślub dopiero co się odbył; panna młoda nadal miała na sobie ślubną sukienkę, jej matka korsażyk.

Znudzony kelner nalał po kilka łyków różowego szampana („na koszt firmy”) wszystkim oprócz panny młodej, której wiek na to nie pozwalał.

– Przyda ci się coś mocniejszego. – Jej ojciec uraczył świeżo upieczonego zięcia topornym dowcipem.

Rytualne żarty na temat nocy poślubnej miały tu w sobie coś z postawy Wolterowskiego Panglossa, zważywszy na widoczną kilkumiesięczną ciążę panny młodej. Przy następnej kolejce różowego szampana, tym razem już odpłatnego, młoda żona zaczęła płakać.

– Było dokładnie tak sympatycznie – wyszlochała – jak się spodziewałam, tak, jak marzyłam.

1967

Dryfując do Betlejem

Wszystko było w rozpadzie. Wokół roztaczał się kraj zawiadomień o upadłości i ogłoszeń o licytacjach oraz spowszedniałych doniesień o przypadkowych zabójstwach, kraj dzieci, które gdzieś przepadły, porzuconych domów i wandali, robiących błędy nawet w czteroliterowych słowach, które bazgrali na murach. Kraj, w którym na porządku dziennym były zniknięcia całych rodzin znaczących swój szlak czekami bez pokrycia i nakazami konfiskaty mienia. Nieletni dryfowali od jednego rozprutego miasta do drugiego, pozbywając się przeszłości i przyszłości na podobieństwo węży zrzucających skórę – dzieci, których nigdy nie nauczono i które już się nie nauczą zasad gier spajających niegdyś społeczeństwo. Zaginięcia osób. Zaginięcia dzieci. Zaginięcia rodziców. Ci, co pozostali, apatycznie wypełniali zgłoszenia o zaginięciu bliskich, po czym sami ruszali w drogę.

Ten kraj to nie jakieś państwo ogarnięte powszechną rewolucją. To nie kraj oblegany przez nieprzyjaciela. To Stany Zjednoczone Ameryki chłodną późną wiosną 1967 roku, gdy rynek był stabilny, PKB wysokie, a rzesza elokwentnych osób sprawiała wrażenie zaangażowanych w realizację społecznie wzniosłych celów, i mogła to być wiosna wspaniałych nadziei i możliwości dla kraju, tyle że tak się nie stało. Tak się nie stało i coraz więcej ludzi miało tego przykrą świadomość. Jasne wydawało się tylko to, że w pewnym momencie wykonaliśmy sami na sobie aborcję i spapraliśmy sprawę, a ponieważ nic innego nie wydawało się tak istotne, postanowiłam pojechać do San Francisco. To w San Francisco ujawniał się społeczny krwotok. To w San Francisco gromadziły się zaginione dzieci i nazywały siebie „hipisami”. Kiedy tamtej zimnej wiosny 1967 roku ruszałam do San Francisco, nie byłam pewna, czego właściwie chcę się tam dowiedzieć, więc zatrzymałam się w mieście na jakiś czas i zawarłam kilka znajomości.

Tablica na Haight Street w San Francisco:

W ostatnią Wielkanoc
Mój Christopher Robin nie wrócił na noc.
Dziesiątego kwietnia dzwonił,
Potem słuch zaginął o nim.
Ponoć już, już szedł z roboty,
Nie widziałam go już potem.

Jeśli go na Haight spotkacie,
Powiedzcie mu, by do mnie wracał.
Niech się stawi na wezwanie,
Mniejsza o to, w jakim stanie.
Jeśli mu brakuje chleba,
przyślę, ile mu potrzeba.

Jeśli czekam nie na darmo,
Proszę choć o kartkę marną.
Jeśli jeszcze gdzieś tam dycha,
Przekażcie mu, że tu usycham.
Muszę wiedzieć, gdzie on jest,
Bo ja tak go kocham fest!

Serdeczności
Marla

Marla Pence
12702 NE Multnoma
Portland, Ore. 97230
503/252-2720

Poszukuję kogoś, kogo nazywają Deadeye, i dowiaduję się, że tego popołudnia jest na Ulicy i coś załatwia, więc się za nim rozglądam; udaję, że czytam plakietki w Psychedelic Shop na Haight Street, kiedy jakiś dzieciak, szesnasto- czy siedemnastolatek, wchodzi i siada na podłodze obok mnie.

– Czego szukasz? – pyta.

Odpowiadam, że w sumie niczego.

– Od trzech dni jestem w innym świecie – informuje.

Mówi mi, że bierze metę do żyły, o czym sama zdążyłam się już przekonać, bo nawet nie ukrył pod rękawami śladów po igle. Przyjechał z Los Angeles ileś tam tygodni temu, nie pamięta ile, a teraz zawija się do

Nowego Jorku, jeżeli uda mu się złapać okazję. Pokazuję mu ogłoszenie z ofertą podwozu do Chicago. Zastanawia się, gdzie leży Chicago. Pytam, skąd jest.

– Stąd – mówi.

– Ale wcześniej skąd przyjechałeś?

– San Jose, Chula Vista, niee-em. Matka siedzi w Chula Vista.

Po paru dniach wpadam na niego w parku Golden Gate w czasie koncertu The Grateful Dead. Pytam, czy znalazł już kogoś, kto jedzie do Nowego Jorku.

– Nowy Jork jest ponoć słaby – słyszę w odpowiedzi.

Tego dnia Deadeye nie pojawia się na Ulicy, więc ktoś sugeruje, że może znajdę go na chacie. Jest trzecia po południu i Deadeye śpi. Ktoś inny śpi na kanapie w salonie, jakaś dziewczyna śpi na podłodze pod plakatem z Allenem Ginsbergiem, a kilka innych dziewczyn w piżamach robi sobie kawę rozpuszczalną. Jedna z nich przedstawia mnie znajomemu z kanapy, który podaje mi rękę, ale nie wstaje, bo jest goły. Deadeye i ja mamy wspólnego znajomego, ale Deadeye nie wspomina jego nazwiska w obecności pozostałych. Mówi: „facet, z którym rozmawiałaś” albo „facet, o którym wcześniej mówiłem”. Facet jest gliniarzem.

W pokoju jest za gorąco, a dziewczyna na podłodze jest chora. Deadeye mówi, że przespała już dobę.

– O coś cię zapytam – wtrąca. – Chcesz trawę?

Odpowiadam, że muszę się zawijać.

– Jakbyś chciała – ponawia Deadeye – to jest twoja.

Deadeye jeździł z Aniołami po Los Angeles i okolicach, ale to było kilka lat temu.

– W tej chwili – mówi – staram się zbudować taką odjechaną grupę religijną, Młodociani Ewangeliści.

Don i Max chcą wyjść dokądś na kolację, ale Don jada wyłącznie makrobiotycznie, więc ponownie kończymy w Japantown. Max opowiada mi, jak żyje w wolności od dawnych drobnomieszczańskich freudowskich kompleksów.

– Od kilku miesięcy mam babkę, no i powiedzmy, że ona przyrządza mi na kolację coś specjalnego, a ja przychodzę spóźniony o trzy dni i mówię jej, że posuwam inną dziunię, no i ona może trochę pokrzyczy, pokrzyczy,

ale mówię jej: „Kochanie, taki właśnie jestem”, i wtedy się śmieje, no i przyznaje: „Taki właśnie jesteś, Max”.

Według Maxa to działa w obie strony.

– No bo jak ona przyjdzie i powie mi, że chce posuwać, nie wiem, może Dona, to ja mówię „Okej, kochanie, to twoja faza”.

Max patrzy na swoje życie jako triumf nad rozmaitymi „nie”. Wśród „nie”, którym powiedział „tak” przed ukończeniem dwudziestego pierwszego roku życia, były pejotl, alkohol, meskalina i metamfetamina. Trzy lata jechał na mecie w Nowym Jorku i Tangerze, potem odkrył kwas. Pejotlu po raz pierwszy spróbował, kiedy mieszkał w internacie dla chłopców w Arkansas – pojechał raz nad Zatokę, gdzie spotkał „indiańskiego szczyla, który właśnie ćpał takie jedno »nie«”.

– Potem w każdy weekend, w który zdołałem się urwać, jechałem stopem siedemset mil do Brownsville w Teksasie, żeby skombinować pejotl. Na ulicy w Brownsville chodził po trzydzieści centów za pączek – wspomina.

Max przewinął się przez większość szkół i modnych klinik we wschodniej części Ameryki, bo jego standardowym sposobem radzenia sobie z nudą jest zostawiać wszystko za sobą. Przykład: w Nowym Jorku Max był w szpitalu i „pielęgniarka z nocnej zmiany to była spoko bambuska, a po południu terapię mieliśmy z ciekawą dziunią z Izraela, ale rano nie bardzo było co robić, więc zrezygnowałem”.

Pijemy jeszcze trochę zielonej herbaty i rozważamy, czyby się nie wybrać do Malakoff Diggins [49] w hrabstwie Nevada, bo jacyś ludzie zakładają tam komunę i Max jest zdania, że byłoby dziko wrzucić kwasa w odkrywce. Mówi, żebyśmy wyjechali w przyszłym tygodniu albo w następnym, albo w ogóle kiedyś, zanim jego sprawa wejdzie na wokandę. Prawie każdy, kogo poznaję w San Francisco, musi się stawić w nieodległej przyszłości w sądzie. Nigdy nie pytam dlaczego.

Wciąż mnie ciekawi, jak Max pozbył się swoich drobnomieszczańskich freudowskich zahamowań, i pytam go, czy teraz czuje się w pełni wolny.

– Nieee… – Wzdycha. – Mam kwas.

Max wrzuca 250- albo 350-mikrogramową tabletkę co sześć albo siedem dni.

Max i Don wypalają w aucie wspólnego jointa, po czym jedziemy do North Beach sprawdzić, czy Otto, który ma tam tymczasową robotę, pojechałby do Malakoff Diggins. Otto nagania ludziom jakichś inżynierów

elektroników. Inżynierowie przyglądają się naszemu przybyciu z zainteresowaniem – to dlatego, myślę, że Max ma dzwony i indiańską opaskę. Max z trudem toleruje heteroseksualnych inżynierów i ich freudowskie zahamowania.

– Popatrz na nich – mówi. – Będą krzyczeć „ciota”, a potem przyjeżdżają po kryjomu do Haight-Ashbury i próbują wyrwać hipiskę, bo ta się dupczy.

Nie udaje się nam zapytać Otta o Malakoff Diggins, ponieważ chce mi opowiedzieć o czternastolatce, którą zwinęli wczoraj w Parku.

– Szła sobie po prostu przez Park – relacjonuje Otto. – Pełna kultura, w torbie podręczniki, a tu jak jej nie zwiną gliniarze, spisali ją i zrobili jej kontrolę osobistą. Czternastolatce. Osobistą. – I dodaje: – Zjazd po kwasie to mogła być naprawdę krzywa faza.

Nazajutrz po południu dzwonię do Otta, żeby sprawdzić, czy mógłby się skontaktować z tamtą czternastolatką. Okazuje się, że jest uwiązana przy próbach do licealnego przedstawienia *Czarnoksiężnika z krainy Oz*.

– Droga z żółtej cegły – mówi Otto.

Cały dzień wymiotował. Uważa, że to przez kokainę z pszenicą, którą od kogoś dostał.

Wokół grup rockowych zawsze kręcą się młode dziewczęta – te same, które wcześniej kręciły się wokół saksofonistów, dziewczęta, które żywią się popularnością, aurą władzy i seksu, którą zespół wokół siebie roztacza, kiedy gra – właśnie takie trzy dziewczyny spotykam tego popołudnia w Sausalito podczas próby The Grateful Dead. Wszystkie ładne, a dwie z nich mają jeszcze dziecięce krągłości; jedna tańczy sama z zamkniętymi oczami.

Pytam pozostałe dwie, czym się zajmują.

– W sumie to tak po prostu wpadam tu dość często – mówi jedna.

– Ja to w sumie ten, no, znam The Dead – stwierdza druga.

Ta, która „w sumie zna The Dead”, zaczyna kroić bagietkę na ławie pianina. Chłopaki robią przerwę i jeden z nich opowiada, jak grali w Cheetah w Los Angeles, tam gdzie kiedyś była Aragon Ballroom [50].

– Piliśmy piwo tam, gdzie siadał Lawrence Welk [51] – mówi Jerry Garcia [52].

Dziewczynka, która tańczyła sama, chichocze.

– Za dużo – mówi cicho.

Oczy ma wciąż zamknięte.

Ktoś mi powiedział, że jadąc na spotkanie z dzieciakami na gigancie, powinnam zgarnąć po drodze kilka hamburgerów i butelek coli, więc tak zrobiłam, i teraz jemy je razem w Parku: ja, piętnastoletnia Debbie i szesnastoletni Jeff. Debbie i Jeff uciekli dwanaście dni temu – wyszli ze szkoły w któreś przedpołudnie, mając w kieszeniach sto dolarów na nich dwoje. Ponieważ Debbie jest oficjalnie poszukiwana – miała dozór kuratorski, odkąd matka zabrała ją na komisariat i zgłosiła, że nie ma na nią żadnego wpływu wychowawczego – właśnie wyszli z mieszkania znajomej na zewnątrz dopiero drugi raz od przyjazdu do San Francisco. Za pierwszym poszli do hotelu Fairmont i jeździli windą zewnętrzną, trzy razy w górę i trzy raz na dół.

– Wow – mówi Jeff i to w zasadzie wszystko, co ma na ten temat do powiedzenia.

Pytam, dlaczego uciekli.

– Rodzice kazali mi chodzić do kościoła – słyszę od Debbie. – I nie pozwalali mi się nosić tak, jak chciałam. W siódmej klasie miałam najdłuższe spódnice, w ósmej było lepiej, ale też słabo.

– Twoja matka była nieźle upierdliwa – przyznaje Jeff.

– Nie lubili Jeffa. Nie lubili moich przyjaciółek. Ojciec uważał, że jestem łatwa, i mi to powiedział. Miałam średnią trzy coś i powiedział, że będę się mogła umawiać dopiero, jak ją poprawię, i to też mnie wpieniało.

– Z mojej matki to była po prostu taka prawdziwa amerykańska sucz – mówi Jeff. – Bardzo czepiała się o włosy. Buty też się jej nie podobały. To było nieźle odjechane.

– Powiedz jej o pracach domowych – przerywa mu Debbie.

– Miałem na przykład prace domowe. W weekend nie mogłem wyjść, dopóki nie wyprasowałem wszystkich koszul na następny tydzień. Odjechane. Wow.

Debbie chichocze i kręci głową.

– Ten rok będzie dziki.

– Normalnie damy się porwać temu wszystkiemu – mówi Jeff. – Wszystko się może wydarzyć, nie zaplanujesz tego z wyprzedzeniem. Najpierw znajdziemy robotę, potem chatę. Potem… nie wiem.

Jeff kończy frytki i przez chwilę zastanawia się, jaką pracę mógłby wykonywać.

– Zawsze miałem frajdę na zajęciach z obróbki metalu, spawanie, te sprawy.

Sugeruję, że może w takim razie samochody.

– Nie kręci mnie za bardzo mechanika – stwierdza. – W każdym razie nie da się planować z wyprzedzeniem.

– Ja mogłabym pracować jako opiekunka dziecka – mówi Debbie. – Albo ekspedientka w mydle i powidle.

– Zawsze gadasz o pracy w mydle i powidle – wtrąca się Jeff.

– To dlatego, że już tam pracowałam.

Debbie zamiast pilnika korzysta z paska i zamszowej kurtki. Jest rozdrażniona, bo wyszczerbiła sobie paznokieć, a ja nie mam w aucie zmywacza. Obiecuję zawieźć ją do przyjaciółki, żeby mogła poprawić manikiur, ale coś nie daje mi spokoju i wreszcie o to pytam, ociągając się z przekręceniem kluczyka w stacyjce. Proszę ich, żeby pomyśleli o dzieciństwie i powiedzieli mi, kim wtedy chcieli być, jak dorosną, jak wtedy widzieli przyszłość.

Jeff wyrzuca przez okno butelkę po coca-coli.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedyś o tym myślał – mówi.

– Pamiętam, że kiedyś chciałam być weterynarką – mówi Debbie. – Ale teraz bardziej widzę siebie pracującą w czymś artystycznym albo jako modelka, albo kosmetyczka. Jakoś tak.

Sporo słyszę o pewnym glinie, oficerze Arthurze Gerransie, którego nazwisko stało się na Ulicy synonimem fanatyzmu.

– To nasz oficer Krupke [53] – zdradził mi kiedyś Max.

Max nie pała sympatią do oficera Gerransa, ponieważ oficer Gerrans aresztował go po imprezie Human Be-In [54] ostatniej zimy, tej wielkiej Human Be-In w parku Golden Gate, na której dwadzieścia tysięcy osób otworzyło się na odlot, za darmo, no, może dziesięć tysięcy, w każdym razie było ich ileś tam; oficer Gerrans przyskrzynił już chyba każdego w Dzielnicy. Przypuszczalnie w celu zapobieżenia kultowi jednostki Gerrans został niedawno przeniesiony, więc spotykam się z nim nie na komisariacie przy Parku, tylko w komendzie głównej przy Greenwich Avenue.

Jesteśmy w pokoju przesłuchań i przesłuchuję w nim oficera Gerransa. To młody blondyn, który ma się na baczności, więc się nie spieszę. Pytam, jakie jego zdaniem są „główne problemy” Haight.

Oficer Gerrans się namyśla.

– Powiedziałbym, że główne problemy… – zaczyna w końcu – że te główne problemy, z którymi mamy tam do czynienia, to narkotyki i nieletni. Nieletni i narkotyki, to by były te główne problemy.

Zapisuję.

– Chwileczkę – mówi oficer Gerrans i wychodzi z pokoju.

Kiedy wraca, informuje mnie, że nie mogę z nim rozmawiać bez zgody komendanta Thomasa Cahilla.

– A tymczasem – dodaje, wskazując notatnik, w którym zapisałam „główne problemy: nieletni, narkotyki" – zatrzymam te notatki.

Następnego dnia składam formalny wniosek o zgodę na rozmowę z oficerem Gerransem, a także z komendantem Cahillem. Po kilku dniach oddzwania do mnie jakiś sierżant.

– Mamy wreszcie stanowisko komendanta odnośnie do pani prośby – mówi. – I jest to zakaz rozmów.

Pytam, dlaczego rozmowa z oficerem Gerransem jest objęta zakazem.

– Oficer Gerrans bierze udział w toczących się rozprawach sądowych.

Pytam, dlaczego rozmowa z komendantem Cahillem jest objęta zakazem.

– Komendant ma pilne sprawy służbowe.

Pytam, czy mogłabym rozmawiać z kimkolwiek z policji.

– Nie – odpowiada sierżant. – Na ten moment nie.

Był to mój ostatni oficjalny kontakt z Wydziałem Policji San Francisco.

Razem z Norrisem stoję gdzieś w parku Panhandle i Norris mówi, jak ugadał z kimś ze znajomych, że zabierze mnie do Big Sur. Odpowiadam, że tak naprawdę to wolałabym pobyć z nim, jego żoną i resztą towarzystwa u nich w domu. Norris stwierdza, że byłoby dużo prościej, gdybym wrzuciła kwasa. Ja na to, że jestem niestabilna.

– No dobra, mniejsza z tym, bierz trawę – mówi, wciskając mi ją w dłoń.

Pewnego dnia pyta, ile mam lat. Odpowiadam, że trzydzieści dwa. Chwilę to trwa, ale Norris staje na wysokości zadania.

– Nie przejmuj się – mówi w końcu. – Są też starzy hipisi.

To całkiem miły wieczór, w trakcie którego nic specjalnego się nie dzieje; Max przyprowadza do Magazynu swoją babkę, Sharon. Magazyn, gdzie

Don mieszka z nieokreśloną liczbą innych ludzi, to właściwie nie magazyn, tylko garaż hotelu przeznaczonego do rozbiórki. Formuła Magazynu to „teatr totalny”, niekończący się happening, a ja zawsze dobrze się tu odnajduję. To, co stało się w Magazynie przed dziesięcioma minutami, i to, co stanie się w nim za pół godziny od teraz, prędko ulatuje z pamięci. Zwykle ktoś robi coś ciekawego, na przykład pracuje nad pokazem świetlnym, no i jest tu cała masa interesujących przedmiotów, na przykład stary turystyczny chevrolet przekształcony w łóżko czy olbrzymia amerykańska flaga łopocząca w cieniu, a także pękaty fotel podwieszony pod sufitem jak huśtawka – chodzi w tym ponoć o znalezienie się na haju na skutek deprywacji sensorycznej.

Jednym z powodów, dla których lubię Magazyn, jest to, że przebywa tu teraz dziecko imieniem Michael. Jego matka, Sue Ann, to słodka mikra dziewczyna, która jest wiecznie zajęta w kuchni gotowaniem wodorostów albo wypiekiem makrobiotycznego chleba. Michael w tym czasie bawi się kadzidełkami albo starym tamburynem, albo konikiem na biegunach, z którego odłazi farba. Siedział właśnie na tym odrapanym z farby koniku, kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy – chłopczyk miał jasnoblond włosy, był bardzo blady i bardzo brudny. Tamtego popołudnia jedynym źródłem światła w Magazynie był niebieski teatralny jupiter i Michael wyglądał, jakby kąpał się w tym świetle, cicho gaworząc do drewnianego bujaka. Michael ma trzy lata. To bystre dziecko, ale jeszcze nie mówi.

Akurat tego wieczoru Michael próbuje zapalić kadzidełka, a przez dom przewija się zwykła liczba osób – wszyscy dryfują w stronę pokoju Dona, gdzie siadają na łóżku i podają sobie jointy. Kiedy zjawia się Sharon, jest bardzo podekscytowana.

– Don – krzyczy prawie bez tchu. – Skołowaliśmy dziś DOM [55]!

Pamiętajcie, że w tym momencie DOM to nie byle co; nikt jeszcze nie wiedział, co to za substancja, i była ona względnie (ale tylko względnie) trudna do dostania. Sharon jest blondynką, zadbaną i prawdopodobnie siedemnastoletnią, choć co do tego ostatniego Max nieco kluczy, ponieważ jego sprawa w sądzie wchodzi na wokandę za miesiąc czy coś koło tego i chłopak nie chce mieć jeszcze na dokładkę uwiedzenia nieletniej. Rodzice Sharon mieszkali osobno, kiedy ostatni raz miała z nimi kontakt. Nie tęskni za szkołą ani w zasadzie za niczym ze swojej przeszłości, poza młodszym bratem.

– Chcę go przebudzić – zwierzyła mi się pewnego dnia. – Ma czternaście lat, to idealny wiek. Wiem, do którego ogólniaka chodzi, i któregoś dnia po prostu po niego przyjadę.

Czas płynie, a ja gubię wątek, a kiedy go odnajduję, Max coś mówi o tym, „jakie to piękne, jak Sharon myje naczynia".

– No, to jest piękne – potwierdza Sharon. – Wszystko jest. No bo patrzysz na ten niebieski kleks z detergentu, jak ścieka po talerzu, jak tłuszcz się rozstępuje, no, naprawdę możesz złapać na tym fazę.

Już niedługo, może w przyszłym miesiącu, może później, Max i Sharon zamierzają wyjechać do Afryki i do Indii, gdzie będą się utrzymywać z tego, co sami wyhodują.

– Bo wiesz, mam taki mały fundusz powierniczy – tłumaczy Max. – To się przydaje, bo dla glin i pograniczników to informacja, że jestem okej, ale generalnie to chodzi nam o życie z ziemi. Fazę i zioło możesz mieć w mieście, zgoda, ale my chcemy się dokądś wynieść i żyć organicznie.

– Korzonki i te sprawy – mówi Sharon, zapalając Michaelowi kolejne kadzidełko.

Matka Michaela wciąż jest w kuchni, gdzie gotuje wodorosty.

– Można je jeść.

Chyba w okolicach jedenastej przenosimy się z Magazynu do lokalu, który Max i Sharon dzielą z Tomem i Barbarą. Sharon cieszy się z powrotu do domu („Mam nadzieję, że skręciłaś nam w kuchni parę jointów z haszem", odzywa się do Barbary na powitanie), a każde z nich cieszy się, że może się pochwalić mieszkaniem, w którym jest pełno kwiatów i świec, i tkanin w jaskrawe wzory. Max i Sharon z Tomem i Barbarą porządnie upalają się haszem, wszyscy trochę tańczą, a potem wyświetlamy płynne projekcje, ustawiamy stroboskop i upalamy się do tego widoku każdy po kolei. Jest już późno, kiedy przychodzi ktoś imieniem Steve w towarzystwie ładnej, ciemnej dziewczyny. Byli na spotkaniu osób praktykujących zachodnią jogę, ale nie wyglądają, jakby chcieli o tym rozmawiać. Przez chwilę leżą na podłodze, aż nagle Steve się podnosi.

– Max – zaczyna. – Chcę powiedzieć jedno.

– To twoja faza – Max jest nieswój.

– Znalazłem miłość na kwasie. Ale ją straciłem. A teraz znowu ją znajduję. Na samej trawie.

Max mamrocze, że człowiek ma w karmie piekło i niebo.

– To mnie właśnie wpienia w sztuce psychodelicznej – stwierdza Steve.

– Co z tą sztuką psychodeliczną? – pyta Max. – Nie widziałem jakoś za dużo takiej sztuki.

Max leży na łóżku z Sharon, a nad nim pochyla się Steve.

– Luz, skarbie – mówi. – Wrzuć na luz.

Potem Steve siada i opowiada mi o pewnym lecie, kiedy studiował w szkole wzornictwa w Rhode Island i miał trzydzieści odlotów, ale przy tych ostatnich za każdym razem zaliczał krzywą fazę. Pytam, dlaczego było tak źle.

– Mógłbym ci powiedzieć, że to przez moje neurozy – odpowiada. – Ale chuj z tym.

Kilka dni później odwiedzam Steve'a w jego mieszkaniu. Nerwowo przemierza pokój, który służy mu za studio, i pokazuje swoje obrazy. Rozmowa jakoś się nie klei.

– Może zauważyłaś u Maxa, że coś jest na rzeczy – mówi znienacka.

Wygląda na to, że dziewczyna, którą przyprowadził Steve, ta ciemna, ładna, była kiedyś dziewczyną Maxa. Pojechała za nim do Tangeru, a teraz do San Francisco. Ale Max ma Sharon.

– Więc ona tu jakby pomieszkuje – kończy Steve.

Steve'a niepokoi mnóstwo rzeczy. Ma dwadzieścia trzy lata, wychował się w Wirginii i wyobraża sobie, że Kalifornia to początek końca.

– Czuję, że to jakiś obłęd – stwierdza i głos mu się obniża. – Ta laska mówi mi, że życie nie ma sensu, ale to nieważne, bo i tak zaraz nas nie będzie. Były takie chwile, kiedy miałem ochotę się spakować i ruszać z powrotem na Wschodnie Wybrzeże, tam przynajmniej miałem jakiś cel. Tam przynajmniej możesz mieć nadzieję, że coś się wydarzy. – Przypala mi papierosa, ręce mu się trzęsą. – Tutaj wiesz, że się nie wydarzy.

Pytam, co by to miało być.

– Nie wiem – odpowiada. – Coś. Cokolwiek.

Arthur Lisch rozmawia przez telefon, starając się sprzedać ludziom z VISTA [56] program dla Dzielnicy.

– Mamy tu już stan pogotowia – mówi do słuchawki i równocześnie próbuje uwolnić córkę, lat jeden i pół, z pęt kabla, w który się zaplątała. – Jeśli nie dostaniemy pomocy, nikt nie odpowiada za to, co się stanie. Mamy tu ludzi, którzy śpią na ulicach. Ludzi umierających z głodu. – Urywa, po

czym zaczyna znowu, tym razem podnosząc głos. – Dobra. Czyli sami to wybrali. I co z tego?

Zanim rzuca słuchawką, z jego opisu rekonstruuję sobie obraz życia na skraju parku Golden Gate w iście dickensowskich kategoriach, ale też jest to mój pierwszy kontakt z nawijką „jak-nie-to-szykujcie-się-na-zamieszki" Arthura Lischa. Arthur Lisch to taki jak gdyby lider diggersów – oficjalna mitologia Dzielnicy obsadza ich w roli grupy anonimowych dobrych gości, których kolektywnej głowy nie zaprząta żadna myśl poza tym, jak tu podać innym pomocną dłoń. Jeśli wierzyć tej oficjalnej mitologii, diggersi nie mają liderów, niemniej Arthur Lisch jest liderem. Jest przy tym etatowym pracownikiem Komitetu Służby Amerykańskiego Towarzystwa Przyjaciół [57] i mieszka z żoną Jane i dwojgiem ich małych dzieci w mieszkaniu z amfiladą, w którym tego akurat dnia krucho z organizacją. Przede wszystkim – bez przerwy dzwoni telefon. Arthur obiecuje pójść na posiedzenie w ratuszu. Arthur obiecuje, że wyśle Edwarda, bo „facet daje radę". Arthur obiecuje skombinować dobry zespół, może The Loading Zone, na darmowy koncert na żydowskim beneficie. Poza tym malutka płacze – nie przestanie, dopóki nie zjawi się Jane Lisch ze słoiczkiem „delikatnego makaronu z kurczakiem" Gerbera. Kolejnym elementem wprowadzającym zamęt jest człowiek imieniem Bob, który tylko siedzi w dużym pokoju i przygląda się swoim palcom u stóp. Najpierw patrzy na palce jednej stopy, potem na palce drugiej. Kilkakrotnie próbuję włączyć go do naszej rozmowy, zanim dociera do mnie, że zaliczył krzywą fazę. Co więcej, dwoje ludzi rąbie na kuchennej podłodze na kawałki coś, co wygląda jak tusza wołowa – Jane Lisch będzie mogła ugotować ją potem na codzienną diggerską akcję dokarmiania w Parku.

Arthur Lisch nie wygląda, jakby dostrzegał którąkolwiek z tych rozgrywających się wokół niego scen. Mówi dalej o scybernetyzowanych społeczeństwach i gwarantowanym dochodzie rocznym, i że jak nie, to szykujcie się na zamieszki na Ulicy.

Dzwonię do Lischów dzień czy dwa później i pytam o Arthura. Jane mówi, że mąż bierze prysznic u sąsiadów, bo w ich łazience ktoś właśnie dochodzi do siebie po krzywej fazie. Oprócz tego czekają jeszcze na psychiatrę, który ma obejrzeć Boba. A także na lekarza dla Edwarda, który niestety nie daje rady, bo rozłożył się na grypę. Jane sugeruje, że może powinnam pogadać z Chesterem Andersonem. Ale nie da mi jego numeru.

Chester Anderson to dziedzic pokolenia bitników, trzydziestokilkulatek, którego osobliwy mir na Dzielnicy bierze się stąd, że posiada powielacz, na którym odbija komunikaty podpisane „firma komunikacyjna”. Jeśli i w tym punkcie wierzyć oficjalnej mitologii Dzielnicy, firma komunikacyjna wydrukuje wszystko, co ktokolwiek ma do powiedzenia, ale w rzeczywistości Chester Anderson drukuje tylko to, co sam napisze, z czym się zgadza albo co uważa za niegroźną lub martwą materię. Jego oświadczenia, które piętrzą się w stosy i wiszą ponaklejane na witryny jak Haight Street długa, traktowane są z pewnym niepokojem na Dzielnicy i ze sporym zaciekawieniem przez osoby z zewnątrz, które studiują je, niczym obserwatorzy politykę Pekinu, pod kątem najdrobniejszych przesunięć niejasnych linii ideologicznych. Komunikat Andersona może być czymś konkretnym jak wsypanie kogoś, kto miał wystawiać glinom palaczy marihuany, a może być też w swojej wymowie bardziej ogólny:

> Ładna 16-letnia laska z klasy średniej wbija na Haight, żeby się przekonać, z czym to się je & daje się wyrwać 17-letniemu dilerowi, który przez cały dzień szprycuje ją spidem, 1. strzykawka po 2., potem daje jej 3000 mikro & opyla jej tymczasowo bezrobotne ciało towarzystwu na największy od przedwczorajszej nocy gwałt zbiorowy na Haight Street. Polityka i etyka ekstazy. Na Haight Street gwałt to chleb tak powszedni jak ściema. Dzieciaki głodują na Ulicy. Dusze i ciała kaleczy się na naszych oczach w miniaturowym wydaniu wojny wietnamskiej.

Ktoś (nie Jane Lisch) dał mi adres Chestera Andersona – mieszka na Arguello 443, ale okazuje się, że przy tej ulicy nie ma numeru 443. Dzwonię do żony faceta, od którego dostałam namiary, i słyszę od niej, że Anderson mieszka przy Arguello 742.

– Ale lepiej tam nie idź – radzi.

Mówię, że zadzwonię.

Ona na to:

– Tam nie ma telefonu, skąd wezmę numer.

– Czyli Arguello 742 – upewniam się.

– Nie – mówi. – Nie wiem. I nie jedź tam. A jeżeli pojedziesz, to nie powołuj się na mnie ani na mojego męża.

Jest żoną profesora zwyczajnego anglistyki w Koledżu Stanowym San Francisco. W sprawie Chestera Andersona postanawiam się na razie przyczaić.

Paranoja jest perfidna,
W twoje życie chce się wślizgnąć.

To z piosenki śpiewanej przez The Buffalo Springfield.

Perspektywa wyjazdu do Malakoff Diggins jakoś przestała być kusząca, ale Max mówi, że mogę wpaść do niego, po prostu posiedzieć, następnym razem, kiedy wrzuci kwasa. Tom też coś weźmie, być może Sharon, może też Barbara. Obecnie przez sześć czy siedem dni to niewykonalne, bo Max i Tom przebywają teraz w przestrzeni DOM. DOM nie jara ich jakoś na maksa, ale doceniają jej zalety.

– Nadal dysponujesz przodomózgowiem – tłumaczy Tom. – Na DOM mogę spoko pisać, ale na kwasie już nie.

Po raz pierwszy słyszę, że czegoś nie da się robić, będąc na kwasie, podobnie jak to, że Tom w ogóle pisze.

Otto ma się lepiej, ponieważ ustalił, że to nie przez kokainę z pszenicą się pochorował. To była ospa wietrzna, którą złapał, kiedy robił za opiekunkę dziecka dla Big Brother and the Holding Company w któryś wieczór, kiedy grali. Wpadam, żeby go odwiedzić i poznać Vicki, która od czasu do czasu śpiewa w kapeli o nazwie The Jook Savages i mieszka u Otta. Vicki przerwała naukę w liceum w Laguna Beach, bo „miała mononukleozę”, przyjechała kiedyś do San Francisco za The Grateful Dead i jest tu „na jakiś czas”. Jej rodzice są rozwiedzeni i dziewczyna nie widuje ojca, który pracuje dla telewizji w Nowym Jorku. Kilka miesięcy temu przyjechał, żeby zrobić dokument o Dzielnicy, i próbował ją znaleźć, ale mu się to nie udało. Potem wysłał do niej list na adres jej matki, w którym namawiał córkę do powrotu do szkoły. Vicki myśli, że może kiedyś wróci, ale w tej chwili nie widzi w tym większego sensu.

Zagryzamy tempurę w Japantown, Chet Helms i ja, i słucham jego spostrzeżeń. Jeszcze kilka lat temu Chet robił w życiu niewiele poza włóczeniem się na stopa, ale teraz prowadzi Avalon Ballroom i lata nad

biegunem północnym, żeby przypatrywać się londyńskiej scenie muzycznej, i wygłasza kwestie w rodzaju:

– Tylko gwoli ścisłości chciałbym ująć w kategorie aspekty religii prymitywnej tak, jak ją postrzegam.

Teraz mówi o Marshallu McLuhanie i o tym, jak to słowo drukowane jest skończone, już po nim, kaput.

– „The East Village Other” jest jedną z niewielu gazet w Ameryce, która jest na plusie – mówi. – Przeczytałem to w „Barron’s”.

W Panhandle ma grać dziś nowa kapela, ale coś jest nie tak ze wzmacniaczem, więc siedzę w słońcu i słucham rozmowy kilku dziewczyn, może siedemnastoletnich. Jedna z nich ma mocny makijaż, a druga lewisy i kowbojki. Buty nie wyglądają na atrybut efekciarskiej pozy; wyglądają tak, jakby ich właścicielka przyjechała w nich z rancza jakieś dwa tygodnie temu. Zastanawiam się, co ta dziewczyna tutaj robi, w Panhandle, próbując się zaprzyjaźnić z miastową, która traktuje ją jak gorszą, ale nie zastanawiam się długo, ponieważ jest niezbyt ładna i trochę niezgrabna, i mogę sobie wyobrazić, jak przez całą szkołę zbiorczą w tym miejscu, skąd pochodzi, nikt nie zabierze jej w sobotni wieczór do Reno na film w kinie dla zmotoryzowanych i piwo nad brzegiem rzeki – dlatego ucieka.

– Słyszałam coś takiego o papierowych jednodolarówkach – mówi teraz. – Jak ci się trafi taka, gdzie masz cztery jedynki w jednym rogu i cztery jedynki w drugim, jedziesz z nią do Dallas w Teksasie i dadzą ci za nią piętnaście dolców.

– Kto da? – pyta miastowa.

– Bo ja wiem.

– W dzisiejszym świecie istnieją tylko trzy liczące się dane. – To kolejne przemyślenie, jakim pewnego wieczoru podzielił się ze mną Chet Helms.

Byliśmy w klubie Avalon, świeciły kolorowe światła i duży stroboskop, i fluorescencyjne malowidła na ścianach; lokal pełen był licealnej młodzieży, która starała się wyglądać na przebudzoną. System nagłośnieniowy Avalonu emituje sto dwadzieścia sześć decybeli na odległość trzydziestu metrów od głośników, ale dla Cheta Helmsa dźwięk to po prostu tło, tak jak powietrze, i mówi ponad nim.

– Pierwsza to ta – stwierdził – że Bóg umarł wczoraj i prasa opublikowała już nekrolog. Po drugie, pięćdziesiąt procent populacji ma lub

będzie miało poniżej dwudziestu pięciu lat.

Jakiś chłopak potrząsnął tamburynem w naszym kierunku i Chet uśmiechnął się do niego życzliwie.

– Po trzecie, mają razem dwadzieścia miliardów dolarów, które gotowi są nieodpowiedzialnie wydać.

Przychodzi czwartek, któryś czwartek, i Max z Tomem, a także Sharon i może Barbara zamierzają wziąć kwas. Chcą go wrzucić około trzeciej. Barbara upiekła chleb, Max poszedł do Parku narwać świeżych kwiatów, a Sharon robi przywieszkę na drzwi, na której pisze: NIE PRZESZKADZAĆ, NIE DZWONIĆ, NIE PUKAĆ ANI NIE PRZESZKADZAĆ W ŻADEN INNY SPOSÓB. KOCHAMY WAS. Nie tak bym to ujęła, gdyby przyszło mi przyjmować departament zdrowia publicznego, który miał się tam zjawić w tym tygodniu, albo rozmawiać z którymś z kilkudziesięciu funkcjonariuszy tropiących narkotyki w okolicy, ale myślę sobie, że ta przywieszka Sharon to jej faza.

Kiedy tabliczka jest gotowa, Sharon robi się niespokojna.

– Mogę chociaż puścić nową płytę? – pyta Maxa.

– Tom i Barbara chcą z tym poczekać, aż będziemy na haju.

– Nudzi mnie takie siedzenie.

Max patrzy, jak Sharon się zrywa i wychodzi.

– To właśnie nazywa się drżączką spięciową – mówi.

Barbary nigdzie nie widać. Tom na przemian wchodzi i wychodzi.

– Wszystkie te niezliczone rzeczy, które musisz załatwić w ostatniej chwili… – mamrocze pod nosem.

– Kwas to delikatna sprawa – odzywa się po chwili Max.

Włącza stereo, potem wyłącza.

– Kiedy laska bierze kwas, to spoko, jeśli jest sama, ale jak z kimś mieszka, robi się nerwowo. A jeśli te półtorej godziny procesu przed zażyciem nie przebiega gładko… – Podnosi karalucha i przygląda mu się uważnie, potem dorzuca: – Oni się tam z Barbarą namawiają.

Wchodzą Sharon i Tom.

– Wkurwiona? – pyta Max Sharon.

Sharon nie odpowiada.

Max zwraca się do Toma:

– W porządku z nią?

– Taa.

– Możemy zjeść kwas? – Max jest spięty.

– Nie wiem, co ona ma w planach.

– A ty co masz w planach?

– To zależy od tego, co ona ma.

Tom skręca jointy, zaczynając od natarcia bletek żywicą konopną własnej produkcji. Idzie z jointami z powrotem do sypialni, a Sharon za nim.

– Takie rzeczy dzieją się za każdym razem, kiedy ludzie biorą kwas – mówi Max. Po chwili rozchmurza się i rozwija wokół tego stwierdzenia teorię. – Bo problem w tym, że niektórzy nie lubią wychodzić z siebie. Ty byś chyba nie chciała. Może wzięłabyś tylko ćwiartkę tabsa. Na ćwiartce tabsa ego nadal istnieje i ma pragnienia. Powiedzmy, że tym pragnieniem jest dymanie, a twoja babka czy twój facet są gdzieś w odlocie i nie chcą, żeby ich tykać, to wtedy masz na kwasie zjazd, możesz mieć potem chujowy nastrój całymi miesiącami.

Sharon wchodzi niespiesznym krokiem, uśmiecha się.

– Barbara może weźmie trochę kwasu, już nam wszystkim lepiej, zapaliliśmy po skręcie.

O wpół do czwartej tego popołudnia Max, Tom i Sharon włożyli sobie pod język po tabletce i usiedli razem w salonie w oczekiwaniu na błysk. Barbara została w sypialni, paląc haszysz. Przez następne cztery godziny w pokoju Barbary raz trzasnęło okno, a około wpół do szóstej było słychać jakieś dzieci kłócące się na ulicy. Zasłona wzdymała się podwiewana popołudniowym wiatrem. Kot podrapał beagle’a spoczywającego na kolanach Sharon. Jeśli nie liczyć muzyki sitarowej płynącej z głośników, w mieszkaniu panowała zupełna cisza i bezruch aż do wpół do ósmej, kiedy to Max stwierdził:

– Wow.

Na Haight Street zauważam Deadeye’a, kiedy wsiada do samochodu. Póki nie wyjedziemy z Ulicy, bardzo się stara nie rzucać w oczy. Deadeye chce mnie poznać ze swoją kobietą, ale najpierw opowie mi, jak się przekonał do pomagania ludziom.

– Więc żyłem sobie, taki młody twardziel na motocyklu – wspomina – i nagle widzę, że młodzi wcale nie muszą się włóczyć samotnie.

Deadeye ma przeszywające spojrzenie kaznodziei i posługuje się trzeźwą retoryką sprzedawcy samochodów. To modelowy produkt społeczeństwa. Staram się wytrzymać jego spojrzenie, ponieważ powiedział mi kiedyś, że potrafi odczytywać ludzki charakter z oczu, zwłaszcza jeśli właśnie wrzucił kwasa, a dziś wrzucił, około dziewiątej rano.

– Muszą tylko pamiętać jedno – ciągnie. – *Modlitwę Pańską*. Bo ona pomoże im na wiele sposobów.

Wyciąga z portfela wielokrotnie złożony list. Przysłała go dziewczynka, której pomógł. „Mój kochający bracie – brzmią pierwsze słowa – pomyślałam, że do ciebie napiszę, bo jestem częścią ciebie. Pamiętaj: kiedy odczuwasz szczęście, to ja też, kiedy odczuwasz…”

– Mam teraz taki plan – mówi Deadeye – żeby stworzyć miejsce, gdzie mogłaby przyjść osoba w każdym wieku, pobyć kilka dni, przegadać problemy. W każdym wieku. Ludzie w twoim wieku… oni też mają problemy.

Mówię, że takie miejsce będzie kosztować.

– Znalazłem sposób na zarabianie – zwierza się Deadeye. Przytuliłem wtedy na Ulicy wszystkiego coś z osiemdziesiąt pięć dolarów. Weź, miałem sto tabletek kwasu. Musiałem skądś wziąć dwadzieścia dolarów do wieczora, inaczej by nas wyrzucili z chaty, no, a że znałem kogoś z kwasem i kogoś, kto ten kwas chciał, to ich ze sobą spiknąłem.

> Odkąd mafia wzięła się do handlu LSD, jego ilość wzrosła, a jakość spadła (…). Historyk Arnold Toynbee bawił się w piątek wieczorem na swoich 78 urodzinach, pstrykając palcami i przytupując do muzyki The Quicksilver Messenger Service (…).

To wyimki z artykułu Herba Caena, wyczytane pewnego ranka wiosną 1967 roku, kiedy Zachód chylił się ku upadkowi.

Za mojego pobytu w San Francisco tabletka albo kapsułka LSD-25 kosztowała od trzech do pięciu dolarów, w zależności od sprzedającego i od dzielnicy. W Haight-Ashbury LSD było nieco tańsze niż w Fillmore, gdzie używano go rzadko, przeważnie jako wzmacniacza doznań seksualnych, i sprzedawali je tam dilerzy twardych narkotyków, na przykład heroiny, inaczej „heleny”. Bardzo dużo kwasu zaprawiano methedrine, sprzedawaną pod tą nazwą handlową pochodną metamfetaminy, ponieważ stymuluje ona

„efekt błysku”, którego nie daje kwas niskiej jakości. Nikt nie wie, ile LSD tak naprawdę jest w tabletce, ale przyjęło się uważać, że standardową jazdę odbywa się na dwustu pięćdziesięciu mikrogramach. Trawa chodziła po dziesięć dolarów za dekiel i pięć za pudełko po zapałkach. Hasz uchodził za „dobro luksusowe”. Wszelkie pochodne amfetaminy, inaczej „speed” – benzedrine, dexedrine, a zwłaszcza methedrine – późną wiosną stały się znacznie popularniejsze niż na jej początku. Niektórzy upatrywali tego stanu rzeczy w obecności Kartelu; inni w ogólnej degeneracji sceny, dopływach gangów i młodszych „niedzielnych” albo „plastikowych” hipisów, gustujących w pochodnych amfetaminy, które dawały iluzję sprawczości i władzy. Tam, gdzie bierze się methedrine, tam zwykle dostępna jest też heroina, a to dlatego, że – jak mi powiedziano – „na kryształe możesz zajebiście mocno odlecieć, a heleną możesz się potem sprowadzić z haju”.

Kobieta Deadeye’a, Gerry, wita nas na progu ich miejscówki. To dorodna, serdeczna dziewczyna, która w wakacje zawsze jeździła jako pomoc psychologiczna na obozy harcerek, pracowała „w opiece społecznej” na Uniwersytecie Waszyngtońskim, a kiedy uznała, że „jeszcze się nie nażyła”, przyjechała do San Francisco.

– W sumie to w Seattle było strasznie gorąco – dodaje. – Pierwszej nocy po przyjeździe zatrzymałam się u dziewuchy spotkanej w The Blue Unicorn. Wyglądałam na taką, co dopiero przyjechała, miałam plecak i manatki.

Potem Gerry mieszkała w domu prowadzonym przez diggersów i tam poznała Deadeye’a.

– Trochę trwało, zanim się tu odnalazłam, więc jeszcze nie pracowałam za wiele.

Pytam ją, czym się zajmuje.

– Generalnie to jestem poetką – mówi – ale zaraz po przyjeździe ukradli mi gitarę i to mnie trochę przystopowało.

– Przynieś to, co piszesz – rozkazuje Deadeye. – Pokaż jej.

Gerry się opiera, potem jednak idzie do sypialni i wraca z kilkoma zeszytami zapełnionymi wierszami. Kartkuję je, ale Deadeye nie przestaje opowiadać o pomaganiu ludziom.

– Każdego dzieciaka, co bierze speeda – mówi – każdego takiego postaram się od tego odciągnąć. Z ich punktu widzenia jedyne korzyści są

takie, że nie muszą się martwić o miejsce do spania ani o jedzenie.

– Ani o seks – dodaje Gerry.

– Prawda. Kiedy ćpiesz metę, nie potrzeba ci niczego.

– To może prowadzić do twardych prochów – podejmuje Gerry. – Weź takiego przeciętnego wciągacza mety, wystarczy, że zaczął brać do żyły, to teraz łatwo będzie mógł sobie powiedzieć, a co tam, wciągnijmy trochę hery.

Przez cały czas patrzę na wiersze Gerry. To wiersze bardzo młodej dziewczyny, każdy napisany starannym pismem i zakończony zawijasem. Poranki w nich są różanobarwne, nieba srebrzyste. Kiedy Gerry pisze w swoich zeszytach o „kryształe", bynajmniej nie ma na myśli mety.

– Musisz wrócić do pisania – mówi czule Deadeye, ale Gerry to ignoruje.

Opowiada, jak ktoś wczoraj ją nagabywał:

– Zwyczajnie do mnie podszedł na Ulicy, zaproponował sześćset dolarów, jeśli pojadę z nim do Reno i to zrobię.

– Nie jesteś jedyną, do której podbijał – komentuje Deadeye.

– Jeśli jakaś laska chce z nim iść, to spoko – ciągnie Gerry. – Ale mnie niech nie knoci fazy.

Opróżnia puszkę po tuńczyku służącą nam za popielnicę i podchodzi do dziewczyny, która śpi na podłodze, żeby na nią zerknąć. To ta sama dziewczyna, która spała na podłodze w czasie mojej pierwszej wizyty u Deadeye'a. Choruje już ponad tydzień, dziesięć dni.

– Normalnie, kiedy ktoś tak do mnie podbija na Ulicy – mówi Gerry – pytam się go, czy nie ma drobnych.

Kiedy nazajutrz widziałam się z Gerry w Parku, zagadnęłam ją o tamtą chorą dziewczynę. Gerry radośnie poinformowała mnie, że dziewczyna trafiła do szpitala z zapaleniem płuc.

Max opowiada mi, jak poznali się z Sharon.

– Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy na Haight Street, to był błysk. Ale normalnie błysk. Więc zacząłem z nią jakąś rozmowę o jej koralikach, rozumiesz, ale przecież nie obchodziły mnie jej koraliki.

Sharon mieszkała w domu, w którym mieszkał też znajomy Maxa, i właśnie tam – zanosząc temu znajomemu banany – Max spotkał ją drugi raz.

– To było w czasie wielkiej bańki bananowej [58]. Siebie i te skórki od banana musiałem im praktycznie wciskać do gardeł. Sharon i ja byliśmy jak dzieci: paliliśmy ciągle banany i gapiliśmy się na siebie, i paliliśmy więcej bananów, i znowuśmy się na siebie gapili.

Ale Max się wahał. Po pierwsze myślał, że Sharon to dziewczyna jego kumpla.

– Po drugie, to nie wiedziałem, czy w ogóle chcę się wiązać z jakąś laską.

Ale następnym razem, kiedy tam zajrzał, Sharon była na kwasie.

– No i wszyscy zaczęli krzyczeć: „Przyszedł gość od bananów!”. – Sharon wchodzi mu w słowo. – No i się zajarałam.

– Mieszkała w tym pomylonym domu – ciągnie Max. – Był tam jeden dzieciak, który cały czas wrzeszczał. Przez cały odlot ćwiczył tylko wrzaski. Tego było za wiele. Max ciągle trzymał się od Sharon trochę na dystans.

– Ale wtedy zaproponowała mi tabletkę i już wiedziałem.

Max poszedł do kuchni i wrócił z tabletką, zastanawiając się, czy ją wziąć.

– I wtedy postanowiłem za tym pójść, i już. Bo kiedy wrzucisz kwasa z kimś, do kogo coś czujesz, widzisz, jak cały świat roztapia się temu komuś w oczach.

– To silniejsze niż wszystko na świecie – wyjaśnia Sharon.

– Nic tego nie zniszczy – mówi Max. – Dopóki trwa.

Rozlane mleko
Kochana gdzieś daleko (…)
Nadziei nie mam już
Żadnego z moich snów… [59]

To słowa piosenki, którą słyszałam co rano zimną późną wiosną 1967 roku na falach KFRC, rozgłośni dzieci kwiatów, w San Francisco.

Deadeye i Gerry mówią mi, że zamierzają się pobrać. Pastor Kościoła episkopalnego obiecał odprawić ślub w parku Golden Gate, na uroczystości ma zagrać kilka rockowych kapel – „coś dla całej społeczności”. Brat Gerry też się żeni, w Seattle.

– To nawet ciekawe – zamyśla się Gerry. – Bo wiesz, jego to będzie tradycyjne, przepisowe wesele i to będzie taki kontrast z naszym.

– Na jego ślub będę musiał założyć krawat – mówi Deadeye.

– Zgadza się – potwierdza Gerry.

– Rodzice Gerry przyjechali mnie poznać, ale nie byli na mnie gotowi – stwierdza filozoficznie Deadeye.

– W końcu dali nam jednak błogosławieństwo – odpowiada ona. – No, w pewnym sensie.

– Podeszli do mnie i jej ojciec powiedział: „Opiekuj się nią” – wspomina Deadeye. – A jej matka: „Nie pozwól, żeby trafiła do więzienia”.

Barbara upiekła makrobiotyczną szarlotkę, którą właśnie wspólnie jemy: Tom, Max, ona i ja. Barbara opowiada mi, jak nauczyła się znajdować szczęście w „tej kobiecej czynności”. Pojechała z Tomem mieszkać gdzieś wśród Indian i chociaż z początku z trudem znosiła zepchnięcie jej wraz z innymi kobietami na bok i wykluczenie z rozmów z mężczyznami, szybko odkryła sedno.

– To na tym polegała cała faza – mówi.

Barbara jest teraz w kobiecej podróży ku wyzbyciu się prawie wszystkiego. Kiedy ona i Tom, i Max z Sharon potrzebują pieniędzy, Barbara bierze jakąś dorywczą pracę jako modelka albo przedszkolanka, ale niechętnie zarabia więcej niż dziesięć czy dwadzieścia dolarów tygodniowo. Przeważnie zajmuje się domem i piecze.

– Robić coś, czym okazujesz swoją miłość w ten sposób, to chyba najpiękniejsza rzecz na świecie – mówi.

Ilekroć słucham o „kobiecej podróży”, a zdarza się to często, sporo myślę o haśle „Najlepsze wyrazy miłości to z piekarnika pyszności” [60] i mistyce kobiecości [61], i zastanawiam się, jak też ludziom udaje się nieświadomie służyć wartościom, które na poziomie świadomości zdecydowanie odrzucają. Nie mówię o tym jednak Barbarze.

Dzień jest całkiem ładny, jadę sobie Ulicą i na światłach spotykam Barbarę.

Pyta, co robię.

– Tak sobie jeżdżę.

– Luz – stwierdza.

Zauważam, że mamy piękny dzień.

– Luz – przyznaje mi rację.

Pyta, czy do nich wpadnę.

– Jakoś wkrótce – mówię.

– Luz – słyszę w odpowiedzi.

Pytam, czy nie chce się przejechać do Parku, ale jest zbyt zajęta. Wyszła kupić wełnę do swojego krosna.

Arthur Lisch, ilekroć mnie ostatnimi czasy widzi, robi się strasznie nerwowy, ponieważ zgodnie z ogłoszonym w tym tygodniu stanowiskiem diggersi nie rozmawiają z „trucicielami z mediów”, czyli między innymi ze mną. Tak więc nadal nie mam dojścia do Chestera Andersona, aż któregoś dnia w Panhandle natykam się na chłopaka, który twierdzi, że jest „współpracownikiem” Chestera. Ma na sobie czarną pelerynę, czarny filcowy kapelusz, fioletoworóżową bluzę Job’s Daughters [62] i ciemne okulary; mówi, że nazywa się Claude Hayward, ale mniejsza o to, ponieważ w myślach nazywam go po prostu Łącznikiem. Łącznik proponuje, że mnie „sprawdzi”.

Zdejmuję ciemne okulary, żeby mógł widzieć moje oczy. On zostaje w swoich.

– Ile ci płacą za produkcję takiej medialnej toksyny? – pyta na początek.

Zakładam z powrotem ciemne okulary.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, o co chodzi – mówi Łącznik i macha kciukiem w stronę towarzyszącego mi fotografa. – Spław go i wyjdź na Ulicę. Nie bierz pieniędzy. Nie przydadzą ci się.

Sięga między poły peleryny i wydobywa z nich odbitą na powielaczu ulotkę zapowiadającą serię zajęć w Otwartym Składzie diggersów, zatytułowanych *Jak uniknąć puszki, gangbangów, chorób wenerycznych, gwałtu, ciąży, pobić i głodu*.

– Powinnaś przyjść – poleca Łącznik. – To ci będzie potrzebne.

Mówię, że może, ale że tymczasem chciałabym porozmawiać z Chesterem Andersonem.

– Jeżeli w ogóle postanowimy się z tobą skontaktować – mówi Łącznik – to zrobimy to raz-dwa.

Później jeszcze będzie mnie obserwował w Parku, ale nigdy nie zadzwoni na numer, który mu podałam.

Zmierzcha się i jest zimno, i za wcześnie, by szukać Deadeye’a w The Blue Unicorn, więc naciskam dzwonek do domu Maxa. Drzwi otwiera Barbara.

– Max i Tom umówili się z kimś w jakichś interesach – mówi. – Możesz przyjść trochę później?

Mocno się głowię, próbując sobie wyobrazić interesy, w jakich to Max i Tom się z kimś umawiają, ale kilka dni później w Parku już wszystko wiem.

– Hej – zagaja Max. – Wybacz, że cię wtedy nie wpuściliśmy, ale trwały interesy.

Tym razem łapię.

– Mamy świetny towar – mówi i zaczyna tłumaczyć.

Tego popołudnia co trzecia osoba w Parku wygląda jak funkcjonariusz z wydziału antynarkotykowego, więc próbuję zmienić temat. Potem sugeruję Maxowi, że gdy będzie na zewnątrz, powinien się bardziej pilnować.

– Słuchaj, jestem bardzo ostrożny – mówi. – Pewności nigdy za wiele.

Zdążyłam już nawiązać nieoficjalny, objęty zakazem rozmów kontakt z Wydziałem Policji San Francisco. Wygląda to tak, że ten gliniarz i ja spotykamy się jak w jakichś filmach kryminalnych, powiedzmy, że siedzę na trybunie na meczu bejsbolu, a on się dosiada i wymieniamy ostrożne ogólniki. Właściwie nie ma między nami przepływu informacji, ale po pewnym czasie zaczynamy się nawet jakby lubić.

– Te dzieciaki nie są zbyt bystre – mówi mi akurat tego dnia. – Powiedzą ci, że zawsze wypatrzą tajniaka, będą ci nawet opowiadać, „jakim wozem jeździ”. Nie mają na myśli tajniaków, tylko cywilnych, którzy po prostu jeżdżą nieoznakowanymi wozami, jak ja. Tajniaka nie rozpoznają. Tajniak nie jeździ czarnym fordem z krótkofalówką.

Opowiada mi o tajniaku, którego odwołali z Dzielnicy, bo podejrzewano, że się za bardzo wystawia, że jest zbyt rozpoznawalny. Przenieśli go do wydziału antynarkotykowego, a potem przez pomyłkę od razu wysłali z powrotem na Dzielnicę jako tajniaka.

Gliniarz obraca w ręku kluczyki.

– Chcesz wiedzieć, jak bystre są te dzieciaki? – pyta w końcu. – Facet w pierwszym tygodniu założył czterdzieści trzy sprawy.

The Jook Savages zamierza urządzić imprezę z okazji Pierwszego Maja w Larkspur, więc odwiedzam w przelocie Magazyn, a Don i Sue Ann stwierdzają, że fajnie byłoby się tam wybrać, bo trzyletni synek Sue Ann, Michael, nie był ostatnio nigdzie poza domem. Powietrze jest łagodne, Golden Gate stoi w podświetlonej zachodem słońca mgiełce, a Don pyta

Sue Ann, ile smaków potrafi wyczuć w jednym ziarenku ryżu, na co ona mówi Donowi, że może powinna nauczyć się gotować *yang*, może w Magazynie wszyscy są za bardzo *yin*. Ja natomiast próbuję nauczyć Michaela śpiewać *Frère Jacques*. Każdy z nas ma swoją fazę i droga upływa nam przyjemnie. Co wychodzi nam na dobre, ponieważ u Jook Savages nie zastajemy nikogo, nawet Jook Savages. Po powrocie Sue Ann postanawia przyrządzić coś z mnóstwa jabłek, które zalegają po całym Magazynie, Don zaczyna działać przy swoim pokazie świetlnym, a ja wpadam na chwilę do Maxa.

– Niewidziani – komentuje historię z Larkspur. – Ktoś myśli, że czadowo by było przebudzić pięć setek ludzi pierwszego dnia maja, no i by było, tylko że oni przebudzili się ostatniego kwietnia, więc nie ma żadnej sprawy. Jak coś się dzieje, to się dzieje i już. Jak nie, to nie. Kogo to obchodzi. Nikogo.

Jakiś dzieciak z aparatem na zębach gra na gitarze i przechwala się, że dostał ostatnią DOM od samego Pana O., a ktoś inny rozprawia o tym, jak w ciągu najbliższego miesiąca wycieknie do obiegu pięć gramów kwasu, i widać, że tego popołudnia w redakcji „San Francisco Oracle” w zasadzie nic się nie dzieje. Przy rajzbrecie siedzi chłopak, kreśląc symbole nieskończoności, jakie rysują ludzie na speedzie, tamten w aparacie ortodontycznym go obserwuje.

– *I’m gonna shoot my wo-man* – podśpiewuje cicho. – *She been with a-noth-er man*.

Ktoś rozpracowuje numerologię mojego imienia, a także imienia fotografa, który mi towarzyszy. Jego numery oznaczają samą biel i morze („Gdybym miała zrobić ci koraliki, byłyby głównie białe”, słyszy), ale przy moich pojawia się podwójny symbol śmierci. Nic ciekawego się tu już raczej nie wydarzy tego wieczoru, więc pada propozycja, żeby się wybrać do Japantown i poszukać faceta imieniem Sandy, który zaprowadzi nas do świątyni zen.

Na macie z trawy u Sandy’ego siedzi czterech chłopców i mężczyzna w średnim wieku, sącząc anyżkową herbatę i przyglądając się Sandy’emu, jak czyta *Nie jesteś celem* Laury Huxley.

Siadamy i częstujemy się herbatą.

– Medytacja daje nam przebudzenie – mówi Sandy.

Ma ogoloną głowę i twarz cherubinka, jaką zwykle widuje się w gazetach na fotografiach wielokrotnych morderców. Siedzący obok mnie mężczyzna w średnim wieku, który ma na imię George, budzi mój niepokój, ponieważ wszedł w trans i gapi się na mnie niewidzącym wzrokiem.

Czuję, że powoli mam dość – albo George nie żyje, albo to raczej my wszyscy – kiedy dzwoni telefon.

– To do George'a – informuje Sandy. – George, telefon. George!

Ktoś macha George'owi przed oczami ręką i ten w końcu się podnosi, pochyla i rusza na piętach w kierunku drzwi.

– Chyba wezmę herbatę George'a – mówi ktoś. – George… wracasz do nas?

George zatrzymuje się w drzwiach i patrzy na nas wszystkich po kolei.

– Za chwilę – warczy.

Czy wiecie, kim jest pierwszy i wieczny
podróżnik przez ten wszechświat?
Pierwszy, którego szalone wibracje
Chwytają te kosmiczne superstacje?
Bo pieśń, którą światu dał,
Planet rój wprowadza w szał…
Ale powiem wam, nim uznacie, że mąci mi się w głowie,
Że Narada Muni zowie się ten człowiek.
Razem!
HARE KRYSZNA, HARE KRYSZNA
KRYSZNA KRYSZNA, HARE HARE
HARE RAMA, HARE RAMA
RAMA RAMA, HARE HARE

To piosenka krysznaicka. Słowa: Howard Wheeler, muzyka Michael Grant.

Może odlot jest nie w zen, ale w Krysznie, dlatego składam wizytę Michaelowi Grantowi, prominentnemu uczniowi Bhaktiwedanty Swamiego Prabhupady w San Francisco. Zastaję Granta w domu razem z jego szwagrem i żoną, ładną dziewczyną w kaszmirowym golfie, z czerwonym znakiem kasty na czole.

– Jestem związany ze Swamim jakoś od zeszłego lipca – mówi Michael. – To było tak, że Swami przyleciał tu z Indii i zamieszkał w tej

aśramie na północy Nowego Jorku. Trzymał się na uboczu i dużo melorecytował. To trwało kilka miesięcy. Dosyć szybko pomogłem mu otworzyć miejscówkę w Nowym Jorku. Teraz to ruch międzynarodowy, który rozpowszechniamy, nauczając tej recytacji.

Michael przesuwa w palcach czerwone drewniane koraliki i spostrzegam, że jako jedyna spośród obecnych w pomieszczeniu mam na nogach buty.

– Szerzy się jak pożar.

– Gdyby każdy nucił – odzywa się szwagier, nie byłoby problemów z policją czy z innymi.

– Ginsberg nazywa tę recytację ekstazą, ale Swami mówi, że to nie do końca to samo. – Michael przechodzi przez pokój, żeby poprawić portret małego Kryszny. – Wielka szkoda, że nie spotkasz się ze Swamim – dodaje. – Jest teraz w Nowym Jorku.

– Ekstaza to w ogóle nie jest właściwe słowo – mówi szwagier, który cały czas nad tym myśli. – Bo wtedy wyobrażasz sobie jakąś… przyziemną ekstazę.

Następnego dnia wpadam do Maxa i Sharon i zastaję ich w łóżku na paleniu porannego haszu. Sharon zdradziła mi kiedyś, że pół blanta czegoś, choćby trawy, sprawia, że wstawanie o poranku jest piękne. Pytam Maxa, jak się zapatruje na Krysznę.

– Możesz odlecieć, nucąc mantry – stwierdza. – Ale ja osiągam świętość na kwasie.

Max podaje skręta Sharon i opada na łóżko.

– Szkoda, że nie mogłaś się zobaczyć ze Swamim – mówi. – Swami to było przebudzenie.

> Każdy, komu się wydaje, że w tym wszystkim chodzi tylko o prochy, ten trzyma głowę w worku. To ruch społeczny, na wskroś romantyczny, taki, jakie zawsze dochodzą do głosu w czasach rzeczywistego kryzysu społecznego. Motywy wiecznie się powtarzają. Powrót do niewinności. Powoływanie się na dawniejsze autorytety i siłę spajającą. Misteria krwi. Tęsknota za transcendencją, za oczyszczeniem. Tu masz cechy, przez które, jak pokazuje historia, romantyzm ładuje się w tarapaty, staje się

łupem autorytaryzmu. Kiedy pojawi się słuszny kierunek. Jak myślisz, ile potrwa, zanim do tego dojdzie?

Takie pytanie zadał mi psychiatra z San Francisco.

W czasie mojego pobytu w San Francisco polityczny potencjał tego, co nazywano wówczas ruchem, właśnie się klarował. Dla rewolucyjnego trzonu diggersów, których każdy talent do działań partyzanckich zaprzęgnięty był teraz w pracę na rzecz otwartych konfrontacji i stworzenia stanu letniego pogotowia, potencjał ten był zawsze jasno dostrzegalny, tak jak i dla wielu tradycyjnie myślących lekarzy, duchownych i socjologów, którzy mieli okazję pracować na Dzielnicy. I mogło się to bardzo szybko stać jasne dla każdej osoby postronnej, która zadała sobie trud rozszyfrowania komunikatów Chestera Andersona pisanych w poetyce wezwań do działania albo wypatrywania prowodyrów potyczek ulicznych, nadających teraz ton życiu Dzielnicy. Nie trzeba było być analitykiem życia politycznego, żeby to dostrzec; dostrzegali to chłopcy z kapel rockowych, ponieważ często byli tam, gdzie się to działo.

– W Parku pod sceną zawsze jest ze dwudziestu, trzydziestu ludzi gotowych porwać tłum w jakąś bojówkarską jazdę – poskarżył mi się jeden z członków The Dead.

Osobliwe piękno tego politycznego potencjału – przynajmniej w odbiorze aktywistów – tkwiło jednak w tym, że nie był on bynajmniej jasny dla większości mieszkańców Dzielnicy, być może dlatego, że owe nieliczne siedemnastolatki, które są politycznymi realistami, na ogół nie obierają sobie romantycznego idealizmu na styl życia. Nie był on też jasny dla prasy, która odpowiednio do kompetencji nadal donosiła o „fenomenie hipisów” w kategoriach trochę liczniejszego kampusowego wypadu po majtki [63], awangardy artystycznej, której przewodniczą tacy prominentni stali bywalcy YMHA [64] jak Allen Ginsberg, albo rozważnego protestu, nie tak znowu różnego od decyzji o zasileniu szeregów Korpusu Pokoju [65], w sprzeciwie wobec kultury, która stworzyła folię do pakowania żywności i wojnę w Wietnamie. Ta ostatnia narracja spod znaku „oni próbują nam coś powiedzieć” osiągnęła apogeum w artykule numeru „Time”, który odkrywczo informował, że hipisi „gardzą pieniędzmi – nazywają je »chlebem«”, i stanowi najbardziej niezwykłe, choć niezamierzone,

świadectwo nieodwołalnej utraty zdolności pokoleń do odczytywania wzajemnych sygnałów.

Ponieważ sygnałów, które prasa zdolna była odczytać, nie kalały treści świadczące o możliwościach politycznych, napięcia Dzielnicy uszły ich uwadze, nawet w okresie, kiedy na Haight Street było tak rojno od obserwatorów „Life'a", „Looku" i CBS, że przeważnie obserwowali siebie nawzajem. Obserwatorzy wierzyli mniej lub bardziej w wersję opowiadaną im przez te dzieci: że są pokoleniem, które wypisało się z działania politycznego, że są poza igrzyskami władzy, że Nowa Lewica to tylko jeszcze jeden egoistyczny popis. *Ergo*: w Haight-Ashbury naprawdę nie było aktywistów, a to, co działo się każdej niedzieli, to spontaniczne demonstracje, ponieważ, jak twierdzą diggersi, policja jest brutalna, niepełnoletni nie mają praw, a zbiegłych z domu pozbawia się prawa do samostanowienia i ludzie umierają z głodu na Haight Street w miniaturowym wydaniu wojny wietnamskiej.

Rzecz jasna, aktywiści (nie ci, którzy okopali się na swoich pozycjach, ale ci, których stosunek do rewolucji wyrażał się w pomysłowym anarchizmie) już dawno temu pojęli tę rzeczywistość, która wciąż umykała dziennikarzom – że patrzymy na coś istotnego. Patrzymy na desperacką próbę, jaką garstka żałośnie słabo przygotowanych dzieci podjęła w celu stworzenia społeczności w warunkach społecznej próżni. Zobaczywszy raz te dzieci, nie mogliśmy dłużej nie dostrzegać tej próżni, udawać, że atomizację społeczeństwa da się odwrócić. To nie był tradycyjny bunt pokoleniowy. Jakoś między rokiem 1945 a 1967 nie zadbaliśmy o to, by przekazać tym dzieciom reguły gry, w którą przyszło nam grać. Może sami przestaliśmy wierzyć w te reguły, może straciliśmy pewność w sens gry. Może po prostu zabrakło odpowiedniej liczby osób mogących przekazać te reguły. Te dzieci dorastały poza siecią kuzynów i babek ciotecznych, zaprzyjaźnionych z rodziną lekarzy i sąsiadów, obok których mieszka się całe życie, a którzy wyrażali i egzekwowali wartości tego społeczeństwa. To dzieci, które sporo się przeprowadzały – „San Jose, Chula Vista, teraz tu". Nie tyle buntują się przeciw temu społeczeństwu, ile go nie znają i potrafią tylko komunikować mu, co sądzą o najbardziej medialnych kwestiach, w których ono samo siebie kwestionuje – „Wietnam", „folia do żywności", „pigułki na otyłość", „bomba atomowa".

Oddają mu dokładnie to, co dostają. Ponieważ nie wierzą w słowa (słowa są dla „matryc drukarskich", mówi im Chester Anderson, a myśl, do

której wyrażenia potrzeba słów, to tylko jeszcze jeden z tych egoistycznych popisów), jedyne słownictwo, w jakim są biegli, to frazesy tego społeczeństwa. Ja jakoś nadal skłaniam się ku poglądowi, że zdolność myślenia za siebie zależy od stopnia opanowania języka, i myśl o dzieciach, które gdy chcą powiedzieć, że ich ojciec i matka nie mieszkają razem, mówią z automatu, że są „z rozbitej rodziny", nie napawa mnie optymizmem. Mają po szesnaście lat, piętnaście, czternaście – armia dzieci w oczekiwaniu na właściwe słowa.

Peter Berg zna mnóstwo słów.

– Czy jest tu gdzieś Peter Berg? – pytam.

– Może jest.

– Ty jesteś Peter Berg?

– No.

Powodem, dla którego Peter Berg nie kwapi się do wymiany ze mną zbyt wielu słów, jest fakt, że dwa spośród tych licznych znanych układają się w wyrażenie „trucizna medialna". Peter Berg nosi w uchu złoty kolczyk i jest bodaj jedyną osobą na Dzielnicy, która tym złotym kolczykiem budzi trudną do określenia grozę. Należy do działającej w San Francisco Trupy Mimów, z której szeregów wyszli założyciele Frontu Wyzwolenia Artystów, dla „tych, którzy pragną łączyć pasję tworzenia ze społeczno-politycznym zaangażowaniem". To z Trupy Mimów wyewoluowali diggersi, w czasie zamieszek w Hunters Point w 1966 roku [66], kiedy dobrym pomysłem wydawało się rozdawanie jedzenia i robienie kukiełkowych teatrzyków wyśmiewających Gwardię Narodową. Razem z Arthurem Lischem Peter Berg należy do nieoficjalnego kierownictwa diggersów i to on w zasadzie wymyślił i przedstawił mediom wizję napływu do San Francisco dwustu tysięcy zubożałych nastolatków latem 1967 roku. W jedynej rozmowie, jaką z nim odbywam, Peter Berg przypisuje mi odpowiedzialność za podpisy pod zdjęciami Henriego Cartiera-Bressona z Kuby w „Life", ale lubię obserwować go przy pracy w Parku.

W Panhandle śpiewa Janis Joplin z Big Brother, niemal każdy jest na haju i między trzecią a szóstą zapowiada się całkiem miłe niedzielne popołudnie, przy czym są to trzy godziny, które według aktywistów mają być tymi w całym tygodniu, kiedy w Haight-Ashbury można się niezawodnie czegoś spodziewać. No i kogo widzą moje oczy, jeśli nie Petera Berga? Jest z żoną i szóstką czy siódemką innych osób, razem z Łącznikiem,

współpracownikiem Chestera Andersona, a pierwszym, co uderza w ich wyglądzie, jest to, że mają poczernione twarze.

Mówię Maxowi i Sharon, że niektórzy członkowie Trupy Mimów chyba poczernili twarze.

– To teatr uliczny – zapewnia mnie Sharon. – To na pewno coś mocno w pytę.

Mimowie podchodzą nieco bliżej i widać, że robią jeszcze inne dziwaczne rzeczy. Choćby to, że pukają ludzi po głowach plastikowymi pałkami policyjnymi ze sklepu z badziewiem, a do tego zawiesili sobie na plecach transparenty. TO WIELE RAZY WAS ZGWAŁCILI, MORDECZKI? albo KTO UKRADŁ MUZYKĘ CHUCKA BERRY'EGO?, tego typu teksty. No i jeszcze rozdają ulotki firmy komunikacyjnej takiej treści:

> & tego lata tysiące nie-białych jebańców z nie-przedmieść będą chciały wiedzieć czemuście porzucili coś czego oni mieć nie mogą & jak wam to uszło na sucho & żeście niby nie cioty z włosami aż potąd & chcą haight street tak czy owak. JAK TEGO NIE WIECIE, W SIERPNIU NA HAIGHT STREET BĘDZIE JUŻ CMENTARZ.

Max czyta ulotkę i wstaje.

– Czuję złe wibracje – mówi i razem z Sharon opuszczają park.

Ja muszę zostać, ponieważ szukam Otta, więc kieruję się w stronę kręgu, który Trupa Mimów stworzyła wokół jakiegoś Murzyna [67]. Peter Berg mówi, że jakby kto pytał, to jest to teatr uliczny, i stwierdzam, że kurtyna jest akurat w górze, ponieważ właśnie teraz poszturchują czarnego pałkami. Poszturchują i szczerzą zęby, i kołyszą się na piętach, i czekają.

– Zaczyna mnie to drażnić – mówi Murzyn. – Zaraz się wścieknę.

Teraz wokół stoi już kilkoro czarnych, czytają transparenty i przyglądają się zajściu.

– Dopiero zaczyna cię to drażnić, co? – pyta jeden z członków Trupy Mimów. – Nie sądzisz, że już najwyższa pora?

– Facet, nikt nie ukradł muzy Chucka Berry'ego – mówi inny czarny przyglądający się transparentom. – Muzyka Chucka Berry'ego należy do wszystkich.

– Ta? – pyta uczerniona dziewczyna. – Niby jakich „wszystkich"?

– No – mówi tamten, zbity z tropu. – No wszystkich. W Ameryce.

– W A-meryce – drze się dziewczyna z poczernioną twarzą. – On nam będzie mówił o A-meryce.

– Słuchaj – mówi bezradnie chłopak. – Posłuchaj mnie.

– Co takiego Ameryka zrobiła dla ciebie? – drwi dziewczyna. – Te białe dzieciaki, one mogą siedzieć w Parku całe lato i słuchać muzy, którą ukradły, bo ich dziani starzy przysyłają im pieniądze. A tobie ktoś przysyła pieniądze?

– Słuchajcie – mówi Murzyn, podnosząc głos. – Wy coś tutaj szykujecie, to nie jest w porządku…

– No to powiedz nam, co jest w porządku, czarny chłopcze – wchodzi mu w słowo dziewczyna.

Najmłodszy członek ucharakteryzowanej grupy, poważny wysoki syneczek, na oko dziewiętnasto-, dwudziestoletni, trzyma się trochę na uboczu tej sytuacji. Częstuję go jabłkiem i pytam, co się dzieje.

– No – zaczyna – ja tu jestem nowy, dopiero zaczynam to zgłębiać, ale widać, że kapitaliści przejmują Dzielnicę i właśnie to Peter… to… zapytaj Petera.

Nie zapytałam Petera. Zajście trwało chwilę. Ale akurat w tę niedzielę między trzecią a szóstą wszyscy byli zbyt ujarani, pogoda zbyt ładna, a gangi z Hunters Point, które zwykle pojawiają się w niedzielne popołudnia między trzecią a szóstą, tym razem zjawiły się jednak już w sobotę, więc nie wywiązała się żadna akcja. Czekając na Otta, zagadnęłam pewną dziewuszkę, trochę znajomą, co o tym myśli.

– To jakaś dzika rzecz, mówią na to teatr uliczny – odparła.

Powiedziałam, że zastanawiam się, czy nie było w tym jakichś podtekstów politycznych. Miała siedemnaście lat i przez chwilę obracała moje pytanie w głowie, by w końcu przypomnieć sobie parę usłyszanych gdzieś słów.

– Może to ma coś wspólnego z tymi z John Birch – odparła.

Kiedy wreszcie znajduję Otta, słyszę od niego:

– Mam na chacie coś, co cię rozwali.

A kiedy tam docieramy, widzę na podłodze salonu dziecko w marynarskiej kurteczce, czytające komiks. Dziewczynka oblizuje wargi w skupieniu, a jedyną dziwną rzeczą w jej wyglądzie są usta pociągnięte białą szminką.

– Pięć lat – mówi Otto. – Na kwasie.

Pięciolatka ma na imię Susan i mówi mi, że chodzi do Przedszkola na Haju. Mieszka z mamą i innymi ludźmi, niedawno przeszła odrę, na święta chce rowerek, a rzeczy, które lubi szczególnie, to coca-cola, lody, Marty z The Jefferson Airplane, Bob z The Grateful Dead i plaża. Pamięta, jak raz dawno temu była na plaży, i żałuje, że nie miała wiaderka. Matka od roku daje jej kwas i pejotl. Susan nazywa to nawalaniem się.

Zaczynam pytać, czy inne dzieci w Przedszkolu na Haju też „się nawalają", ale waham się przy doborze kluczowych słów.

– Chodzi jej o to, czy inne dzieci w twojej grupie też mają przebudzenia, czy się nawalają – tłumaczy dziewczynce znajoma jej matki, która przyprowadziła ją do Otta.

– Tylko Sally i Anne – mówi Susan.

– A Lia? – dopytuje znajoma jej matki.

– Lia nie chodzi do Przedszkola na Haju.

Trzylatek Sue Ann, Michael, wzniecił dziś rano pożar, kiedy jeszcze wszyscy spali, ale Don go ugasił i obyło się bez wielkich szkód. Michael oparzył sobie jednak rękę i to pewnie tłumaczy, dlaczego Sue Ann zareagowała tak nerwowo, kiedy zobaczyła go, jak żuje kabel.

– Przecież się usmażysz! – wrzasnęła.

Na miejscu byli jedynie Don i ktoś, kto zatrzymał się u nich w drodze do komuny w górach Santa Lucia – nie zauważyli, jak Sue Ann krzyczy na Michaela, ponieważ znajdowali się w kuchni, próbując wydostać spod podłogi bardzo dobry marokański hasz, który wpadł tam przez wyrwę po desce uszkodzonej w pożarze.

1967

II Zapiski osobiste

O prowadzeniu notatnika

„»Ta cała Estelle – zanotowałam – to częściowo przez nią George Sharp i ja jesteśmy w separacji«. *Brudny szlafrok z chińskiej krepy, bar hotelowy, dworzec w Wilmington, 9:45 rano w poniedziałek w sierpniu*”.

Zapisek znajduje się w moim notatniku, stąd wniosek, że ma on dla mnie jakieś znaczenie. Przyglądam mu się dłuższą chwilę. Z początku mam tylko najogólniejsze wyobrażenie o tym, co mogłam robić w poniedziałkowy ranek w sierpniu w barze naprzeciwko Dworca Pensylwańskiego w Wilmington w Delaware (czekałam na pociąg? pociąg właśnie mi uciekł? rok 1960? 1961? dlaczego Wilmington?), ale pamiętam, że tam byłam. Kobieta w brudnym szlafroku z krepy zeszła z pokoju do baru na piwo, a barman już wcześniej poznał powód, dla którego George Sharp i ona pozostawali w separacji.

– Zgadza się – powiedział i dalej wycierał podłogę. – Już mi to pani mówiła.

Na drugim końcu kontuaru siedzi dziewczyna. Mówi, głośno i wyraźnie, nie do mężczyzny obok niej, lecz do kota, który leży w trójkącie światła wpadającego przez otwarte okno. Dziewczyna ma na sobie jedwabną sukienkę w szkocką kratę ze sklepu Peck & Peck, w której pruje się rąbek.

Oto co to znaczy: dziewczyna była na Eastern Shore, a teraz wraca do miasta i zostawia tego faceta obok niej; wszystko, co widzi przed sobą, to lepkie letnie chodniki i rozmowy międzymiastowe o trzeciej nad ranem, z powodu których będzie leżeć bezsenna, a potem spać otumaniona przez wszystkie pozostałe parne poranki sierpnia (1960? 1961?). Ponieważ prosto z pociągu musi iść na lancz w Nowym Jorku, chciałaby mieć agrafkę, żeby nią złapać rąbek jedwabnej sukienki w szkocką kratę, i chciałaby też móc zapomnieć o rąbku i lanczu i pozostać w chłodnym wnętrzu baru, które pachnie środkiem odkażającym i słodem, i zaprzyjaźnić się z kobietą w szlafroku z chińskiej krepy. Trochę sobie współczuje i chce porównać jej Estelle ze swoją. O to w tym wszystkim chodziło.

Dlaczego to zapisałam? Żeby zapamiętać, to oczywiste, tylko co właściwie chciałam zapamiętać? Jak wiele z tego faktycznie miało miejsce? Czy w ogóle cokolwiek? Po co właściwie prowadzę zeszyt z zapiskami? Łatwo jest się samej oszukiwać przy każdym z tych wpisów. Impuls notowania jest osobliwie natrętny, nie do pojęcia dla tych, którym się on nie udziela, przydatny tylko w rzadkich razach, tylko po fakcie, tak jak każde natręctwo, które próbuje siebie uzasadnić. Przypuszczam, że ma swój początek, o ile go ma, w kołysce. Chociaż czułam przymus zapisywania, odkąd skończyłam pięć lat, wątpię, czy najdzie on kiedykolwiek moją córkę, bo jest wyjątkowo pogodnym i ufnym dzieckiem, zachwycającym się życiem dokładnie takim, jakim się jej ono przedstawia, dzieckiem wolnym od lęku zasypiania i wolnym od lęku budzenia się. Ci, którzy prowadzą osobiste notatniki, to całkiem odmienny gatunek, samotni i z uporem urządzający rzeczywistość po swojemu, niespokojni malkontenci, dzieci najwyraźniej przy narodzinach dotknięte jakimś przeczuciem czy stratą.

Moim pierwszym notatnikiem był blok Big Five, podarowany mi przez matkę wraz z praktyczną sugestią, bym przestała marudzić i nauczyła się zajmować sobą, zapisując swoje myśli. Kilka lat temu oddała mi ten blok; pierwszy wpis to relacja o kobiecie, która była pewna, że zamarza w arktyczną noc, by z pierwszym brzaskiem przekonać się, że zabłądziła na Saharę, gdzie jeszcze przed lanczem zginie od upału. Nie mam pojęcia, jakimi drogami poruszał się umysł pięciolatki, że wyprodukował tak natarczywie „ironiczną” i egzotyczną historię, choć z pewnością przejawia się tu pewna skłonność do popadania ze skrajności w skrajność, która prześladowała mnie po dorosłość. Być może gdybym miała zainteresowania analityczne, uznałabym tę historię za prawdziwszą niż cokolwiek, co mogłabym opowiedzieć o przyjęciu urodzinowym Donalda Johnsona czy tym dniu, kiedy kuzynka Brenda wsypała koci żwirek do akwarium.

Zatem celem prowadzenia przeze mnie notatnika nigdy nie było ani nadal nie jest posiadanie dokładnego, wiernego faktom zapisu tego, co w danym momencie robiłam lub myślałam. To wymagałoby całkowicie innego bodźca, dokumentalistycznego podejścia do rzeczywistości, którego czasami zazdroszczę innym, bo sama go nie posiadam. Moje próby prowadzenia dziennika zawsze kończyły się niepowodzeniem; mój stosunek do życia codziennego plasuje się gdzieś pomiędzy rażąco

niedbałym a najzwyczajniej roztargnionym, a tych parę razów, kiedy próbowałam sumiennie notować wydarzenia dnia, dopadła mnie taka nuda, że efekty w najlepszym razie robią wrażenie zagadkowych. Co to za „wyjście do sklepów, pisanie tekstu na maszynie, kolacja z E., przygnębiona”? Wyjście do jakich sklepów? Jaki tekst pisałam? Kim jest E.? Czy to osoba E. była przygnębiona, czy może ja? Kogo to obchodzi?

W rzeczy samej zarzuciłam całkowicie tego rodzaju bezsensowne wpisy; opowiadam natomiast, jak niektórzy by to określili, kłamstwa. „To zwyczajna nieprawda”, często słyszę od członków rodziny, kiedy zderzają się z moim wspomnieniem jakiegoś wydarzenia, w którym wspólnie uczestniczyliśmy. „To nie było twoje przyjęcie, pająk nie był czarną wdową, to w ogóle nie było tak”. Jest bardzo możliwe, że mają rację, nie dość bowiem, że zawsze sprawiało mi kłopot odróżnianie tego, co się wydarzało, od tego, co tylko mogłoby się wydarzyć, to jeszcze wciąż nie jestem przekonana, czy – biorąc pod uwagę moje potrzeby – takie rozróżnienie ma jakąś wartość. Krab, którego w moim wspomnieniu obieraliśmy przy obiedzie tego dnia, kiedy ojciec wrócił z Detroit w 1945 roku, to z pewnością ozdobna haftka wpleciona przeze mnie w tkaninę tamtego dnia, by nadać opisowi pozory rzeczywistości; miałam dziesięć lat i dzisiaj nie pamiętałabym już kraba. Wydarzenia dnia nie obracały się wokół kraba rozbieranego ze skorupy. A jednak to dzięki temu fikcyjnemu krabowi znowu widzę to popołudnie, film z domu puszczany o wiele za często, ojciec dźwigający prezenty, szlochające dziecko, ćwiczenie z rodzinnej miłości i winy. A w każdym razie mnie tak się to przedstawiało. Na podobnej zasadzie tamtego sierpnia w Vermont ani razu nie spadł śnieg; być może wiatr nocą wcale nie zawodził, wzniecając zadymki, i nikt inny nie czuł, jak grunt twardnieje, a lato umarło, jeszcze kiedy udawaliśmy w najlepsze, że się nim upajamy, ale mnie tak się to właśnie przedstawiało, i równie dobrze śnieg mógłby wtedy padać, być może spadł, spadł naprawdę.

Tak mi się to przedstawiało – w tym stwierdzeniu jesteśmy bliżej prawdy o notatniku. Czasami łudzę sama siebie co do powodu jego prowadzenia, wyobrażam sobie, że zachowywanie wszystkiego, co się zaobserwowało, ma w sobie coś z cnoty gospodarności. Zobacz, ile trzeba, i zapisz, nakazuję sobie, a wtedy któregoś poranka, kiedy świat będzie się wydawał wyzuty z zachwytu, któregoś dnia, kiedy będę tylko markować robienie tego, co powinnam, czyli pisanie – tego przegranego poranka

otworzę notatnik i tam znajdę wszystko, zapomnianą relację wraz z nagromadzonymi odsetkami, przeprawę za opłatą do tamtego świata: dialogi podsłuchane w hotelach i windach, i ten przy ladzie szatni w Pavillon (mężczyzna w średnim wieku pokazuje swój żeton innemu ze słowami: „Taki miałem numer w drużynie futbolowej”); parodie Bettiny Aptheker [68] i Benjamina Sonnenberga [69], i Teddy’ego („Mr. Acapulco”) Stauffera [70]; pełne detali anegdoty o fanatykach tenisa, niespełnionych modelkach czy spadkobierczyniach greckich fortun frachtowych, z których jednej zawdzięczam ważną lekcję (mogłam ją odebrać u F. Scotta Fitzgeralda, ale być może każde z nas musi osobiście spotkać nieziemsko bogatych), bo kiedy zjawiłam się, celem przeprowadzenia wywiadu, w jej wypełnionym orchideami salonie drugiego dnia śnieżycy paraliżującej Nowy Jork, zapytała, czy na zewnątrz pada śnieg.

Innymi słowy, wyobrażam sobie, że notatnik dotyczy innych ludzi. Tyle że oczywiście tak nie jest. Nic mnie tak naprawdę nie obchodzi, co jeden obcy powiedział innemu przy ladzie szatni w Pavillon; tak naprawdę podejrzewam, że tekst „Taki miałem numer w drużynie futbolowej” przemówił nie tyle do mojej własnej wyobraźni, ile do wspomnienia czegoś, co niegdyś przeczytałam; możliwe, że było to *Osiemdziesiąt jardów* Irwina Shawa. Podobnie nie zależy mi na kobiecie w brudnym szlafroku z chińskiej krepy z baru w Wilmington. Moja gra toczy się o tę niewspomnianą na kartkach dziewczynę w jedwabnej sukience w kratę. Pamiętaj, jak to było być mną.

To coś, do czego niełatwo jest się przyznać. Etyka, w której się nas wychowuje, zakłada, że inni, dowolni inni, wszyscy inni, są z definicji bardziej interesujący od nas; sztuka niewychylania się jest nam wpajana tak konsekwentnie, że stąd krok już tylko do usunięcia się w cień. („Nie zapominaj, że jesteś najmniej ważną osobą w pokoju”, guwernantka Jessiki Mitford [71] syczała jej do ucha przed każdym wydarzeniem towarzyskim; przekopiowałam je do swojego notatnika, ponieważ dopiero od niedawna jestem w stanie wejść do jakiegoś pomieszczenia wolna od dźwięku podobnych fraz odzywających się w moim uchu wewnętrznym). Tylko osobom bardzo młodym i bardzo starym wolno opowiadać przy śniadaniu, co im się śniło, rozwodzić się nad sobą, wcinać się ze wspomnieniami pikników na plaży, ulubionych letnich sukienek w kwiaty i tęczaków w strumieniu nieopodal Colorado Springs. Od reszty z nas słusznie

oczekuje się udawania zaciekawienia ulubionymi sukienkami innych ludzi i ich wspomnieniami o pstrągach.

I tak też czynimy. Ale zdradzają nas nasze zeszyty z zapiskami, bo jak sumiennie byśmy nie odnotowywali tego, co widzimy dookoła, wspólnym mianownikiem naszych obserwacji jest zawsze, w sposób przejrzysty i bezwstydny, owo nieprzejednane „ja". Nie mówimy tu o tym rodzaju notatnika, którego zawartość powstaje z jasnym wskazaniem, że będzie przedmiotem publicznej konsumpcji, o koncepcie strukturalnym służącym powiązaniu ze sobą szeregu błyskotliwych *pensées*; mówimy o czymś prywatnym, o skrawkach sznurka umysłu zbyt krótkich, by dały się wykorzystać, o niedbałej i niekonsekwentnej zbieraninie zrozumiałej tylko dla jej twórczyni.

Bywa też, że i twórczyni ma kłopoty ze zrozumieniem znaczenia. I tak na przykład na pozór nic mi po zachowanej na resztę życia wiedzy, że w roku 1964 na każdej mili kwadratowej Nowego Jorku osiadło siedemset dwadzieścia ton sadzy, a jednak czytam o tym w swoim notatniku pod nagłówkiem „FAKT". Nie potrzebuję też tak naprawdę pamiętać, że Ambrose Bierce [72] lubił zapisywać imię i nazwisko Lelanda Stanforda [73] jako „£eland $tanford" ani że „na Kubie wytworne kobiety niemal zawsze noszą się na czarno", zważywszy na minimalny potencjał praktycznego wykorzystania tej wskazówki modowej. I czy istotność poniższych notatek nie wydaje się w najlepszym razie znikoma?

W piwnicy sądu hrabstwa Inyo w Independence w Kalifornii, gdzie mieści się muzeum, do mandaryńskiej szaty przypięto karteczkę: „Tę MANDARYŃSKĄ SZATĘ często zakładała pani Minnie S. Brooks podczas pogadanek o jej KOLEKCJI DZBANKÓW DO HERBATY".

Ruda kobieta wysiadająca z auta przed hotelem Beverly Wilshire, etola z szynszyli, walizki Vuittona ometkowane:

PANI LOU FOX
HOTEL SAHARA
VEGAS

No, może nie całkiem znikoma. Pani Minnie S. Brooks i jej „mandaryńska szata” przenoszą mnie do dzieciństwa, bo chociaż nigdy nie poznałam pani Brooks, a hrabstwo Inyo odwiedziłam po raz pierwszy, mając trzydzieści lat, to dorastałam właśnie w takim świecie, w domach zagraconych pozostałościami po Indianach, drobinami rudy złota i ambry i pamiątkami, które ciocia Mercy Farnsworth przywiozła z Orientu. Tamten świat dzieli przepaść od świata pani Lou Fox, świata w którym wszyscy dziś żyjemy, i czy nie jest to coś, o czym warto pamiętać? Dlaczego pani Minnie S. Brooks nie miałaby mi pomóc w pamiętaniu, kim jestem? A pani Lou Fox – kim nie jestem?

Ale niekiedy istota rzeczy jest trudniejsza do dostrzeżenia. Co dokładnie miałam w głowie, kiedy zapisywałam, że czyjś ojciec wydawał sześćset pięćdziesiąt dolarów miesięcznie na oświetlenie domu nad rzeką Hudson, w którym mieszkał przed krachem? Jak zamierzałam wykorzystać cytat z Jimmy’ego Hoffy [74]: „Może i mam wady, ale omylność nie jest jedną z nich”? I chociaż ciekawi mnie, gdzie dziewczyny, które jeżdżą z ludźmi z Kartelu, chodzą do fryzjera, kiedy bawią na Zachodnim Wybrzeżu, to czy kiedykolwiek należycie wykorzystam tę wiedzę? Czy nie lepiej wyszłabym na tym, gdybym po prostu przekazała ją Johnowi O’Harze [75]? Co w moim notatniku robi przepis na kiszoną kapustę? Jaka sroczka prowadzi ten notatnik? „Przyszedł na świat tej nocy, kiedy zatonął Titanic”. To ładne zdanie i nawet sobie przypominam, kto je wypowiedział, ale czy w życiu nie brzmi ono lepiej, niż brzmiałoby w prozie?

Ale, oczywiście, nie w tym rzecz, żebym kiedykolwiek miała użyć tego zdania, ale w tym, żebym pamiętała kobietę, z której ust padło, i popołudnie, kiedy je usłyszałam. Siedziałyśmy na tarasie w jej domu nad morzem i dopijałyśmy wino pozostałe z obiadu, starając się wykorzystać resztki słońca, słońca zimy w Kalifornii. Kobieta, której mąż urodził się w noc zatonięcia Titanica, zamierzała wynająć dom i wrócić do dzieci w Paryżu. Pamiętam, że dom kosztował tysiąc dolarów miesięcznie i bardzo chciałam, by było mnie na niego stać.

– Kiedyś będzie – odparła gospodyni leniwym głosem. – Kiedyś to wszystko do ciebie przyjdzie.

Tam, w słońcu, na jej tarasie wiara w „kiedyś” nie przedstawiała większych trudności, ale później po południu złapał mnie lekki kac, a po drodze do supermarketu przejechałam czarnego węża i kiedy usłyszałam,

jak kasjerka wyjaśnia facetowi przede mną, dlaczego w końcu się rozwodzi, opadła mnie niewytłumaczalna trwoga.

– Nie dał mi wyboru – powtarzała kobieta, uderzając w przyciski na kasie. – Ma z nią siedmiomiesięczne dziecko, nie dał mi wyboru.

Chciałabym wierzyć, że strach, który wtedy poczułam, wywołany był kondycją ludzką, ale oczywiście bałam się o siebie, dlatego że pragnęłam dziecka, lecz go nie miałam, i pragnęłam domu na wynajem za tysiąc dolarów miesięcznie, a także dlatego, że męczył mnie kac.

Wszystko to powraca. Być może trudno dostrzec jakąś wartość w zetknięciu się znowu ze sobą w takim nastroju, ja jednak ją dostrzegam. Myślę, że dobrze jest uznawać istnienie ludzi, którymi kiedyś byliśmy, niezależnie od tego, czy ich towarzystwo jest nam miłe, czy nie. W przeciwnym razie zjawiają się niezapowiadani o czwartej nad ranem którejś fatalnej nocy, domagając się, by im powiedzieć, kto ich opuścił, zdradził, kto im to wynagrodzi. Zbyt szybko zapominamy to, co wydawało się nam niemożliwe do zapomnienia. Zapominamy zarówno miłości, jak i zdrady, to, co szeptaliśmy i co krzyczeliśmy, zapominamy, kim byliśmy. Zdążyłam już stracić kontakt z kilkoma osobami, którymi byłam; jedna z nich, siedemnastoletnia dziewczyna, nie stanowi wielkiego zagrożenia, chociaż czuję pewną ciekawość na myśl o tym, jak by to było znowu siedzieć na grobli i pić wódkę z sokiem pomarańczowym, słuchając w radiu samochodowym Lesa Paula i Mary Ford i ich ech śpiewających *How High the Moon*. (O to chodzi, te sceny są wciąż ze mną, ale siebie samej nie uważam już za obecną, nie potrafiłabym już choćby zaimprowizować dialogu). Inna osoba, dwudziestotrzylatka, martwi mnie bardziej. Zawsze przysparzała mnóstwo kłopotów i podejrzewam, że będzie się pojawiać wtedy, kiedy najmniej miałabym ochotę ją oglądać, w za długich spódnicach – dziewczyna tak nieśmiała, że aż irytująca, wieczna pokrzywdzona, zawsze gotowa rzucać oskarżenia, z mnóstwem małostkowych zranień i historii, których nie życzę sobie już więcej słyszeć, zasmucająca mnie i równocześnie doprowadzająca do gniewu swoją wrażliwością i ignorancją, zjawa tym bardziej zawzięta, że długo odpychana.

Tak więc to dobry pomysł, żeby pozostawać w kontakcie, i podejrzewam, że to właśnie do pozostawania w kontakcie ogranicza się celowość prowadzenia notatników. I każde z nas może liczyć tylko na siebie przy odczytywaniu znaczenia tych linijek – wasze notatniki nigdy nie

przyjdą z pomocą mnie ani mój wam. „To co tam nowego w branży whisky?” Co mogłoby to znaczyć dla was? Dla mnie oznacza to blondynkę w kostiumie kąpielowym Pucciego, siedzącą z kilkoma grubymi facetami przy basenie hotelu Beverly Hills. Zbliża się jeszcze jeden mężczyzna i wszyscy chwilę przyglądają się sobie nawzajem w milczeniu. „To co tam nowego w branży whisky?”, pyta wreszcie jeden z grubych facetów na zasadzie przywitania, a blondynka wstaje, napręża stopę i zanurza ją w basenie, nie spuszczając wzroku z *cabanii*, w której Baby Pignatari rozmawia przez telefon. I to by było już wszystko, gdyby nie fakt, że kilka lat później zobaczyłam tę blondynkę, jak wychodzi od Saksa na Piątej Alei w Nowym Jorku; zwracała uwagę swoją kalifornijską karnacją, obfitym futrem z norek. W porywistym wietrze tego dnia wyglądała na starą i nieodwracalnie zmęczoną i nawet skórki norek nie wyglądały na wyprawione według wzoru obowiązującego tamtego sezonu ani też w sposób, w jaki ona by sobie tego życzyła, i taka jest puenta tej historii. Przez jakiś czas po tym niechętnie spoglądałam w lustro, a moje oczy prześlizgiwały się po stronach gazet, wyłuskując tylko doniesienia o zgonach, ofiarach raka, przedwczesnych zawałach, o samobójstwach, i przestałam jeździć kolejką z Lexington Avenue, ponieważ po raz pierwszy spostrzegłam, że wszyscy nieznajomi, których widuję od lat – facet z psem przewodnikiem, stara panna, która czytywała co dzień ogłoszenia drobne, gruba dziewczyna, która zawsze wysiadała ze mną na Grand Central – wyglądają starzej niż kiedyś.

Wszystko to powraca. Nawet tamten przepis na kiszoną kapustę, nawet on przywołuje tamte chwile. Kiedy po raz pierwszy ją ugotowałam, byłam na Fire Island, padało i wypiliśmy dużo burbona, i jedliśmy kapustę, i poszliśmy spać o dziesiątej, a ja słuchałam deszczu i szumu Atlantyku, i czułam się bezpieczna. Zeszłej nocy znowu ugotowałam kiszoną kapustę i bynajmniej nie poczułam się przez to bezpieczniej, ale to już, jak mówią, inna historia.

1966

O szacunku do siebie samej

Pewnego razu podczas pory suchej napisałam wielkimi literami na dwóch stronach notatnika, że niewinność kończy się z chwilą, gdy człowiek zostaje odarty ze złudzenia, że lubi siebie. A chociaż teraz, kilka lat później, zdumiewa mnie, że umysł, który kłóci się sam ze sobą, potrafi mimo to zdać drobiazgowy rachunek z każdego ze swoich drgnień, przypominam sobie z zawstydzającą jasnością smak tamtych popiołów. Chodziło o źle ulokowany szacunek do siebie samej.

Nie przyjęto mnie do Phi Beta Kappa [76]. Klęska ta nie mogła być chyba bardziej przewidywalna i jednoznaczna (po prostu moje oceny były za niskie), ale wyprowadziła mnie z równowagi; do tamtego momentu jakoś zwykłam uważać się za kogoś w rodzaju akademickiego Raskolnikowa, osobliwie wolnego od związków przyczynowo-skutkowych, w które uwikłani są inni. Chociaż nawet pozbawiona poczucia humoru dziewiętnastolatka, jaką wówczas byłam, musiała przyznać, że całej sytuacji daleko jest do rangi tragedii, to jednak wraz z dniem, w którym nie dostałam się do Phi Beta Kappa, coś się skończyło – niewinność być może dobrze to określa. Odtąd nie towarzyszyło mi już przekonanie, że zawsze będą się dla mnie zapalać zielone światła; nie towarzyszyła mi już ta przyjemna pewność, że te dosyć bierne cnoty, które w dzieciństwie zjednywały mi aprobatę, z automatu zagwarantują mi nie tylko wstęp do Phi Beta Kappa, ale też szczęście, szacunek oraz miłość uczciwego mężczyzny; straciłam tę rozczulającą wiarę w totemiczną moc dobrych manier, czystych włosów i kompetencji potwierdzonych testem Stanforda-Bineta. Z takimi wątpliwymi amuletami wiązałam poczucie własnej wartości i tamtego dnia stanęłam naprzeciw siebie z lękliwą konsternacją osoby, która spotkała wampira i nie ma przy sobie krucyfiksu.

Chociaż mimowolna konfrontacja to niewdzięczna sprawa, pod pewnymi względami bliska próbie przekroczenia granicy na pożyczonych papierach, dziś wydaje mi się ona niezbędnym warunkiem rozpoczęcia

budowy szacunku dla samej siebie. Samooszustwo to najtrudniejszy rodzaj oszustwa, jakkolwiek by je przedstawiano w większości naszych truizmów. Sztuczki, którymi ogrywamy innych, niczego nie zdziałają w tym bardzo dobrze oświetlonym zaułku, w którym człowiek widuje się z samym sobą. Tutaj na nic zdadzą się ujmujące uśmiechy, zręcznie nakreślone listy dobrych intencji. Człowiek umiejętnie, acz na próżno tasuje swoje znaczone karty – uprzejmość wyświadczoną z nie najszlachetniejszych pobudek, pozorny triumf, który nie kosztował go prawdziwego wysiłku, rzekomo heroiczny czyn, na który zdobył się z obawy przed wyjściem na tchórza. Nieprzyjemna prawda jest taka, że szacunek do samego siebie nie ma nic wspólnego z aprobatą uzyskiwaną od innych – tych w końcu nietrudno jest zwodzić; nie ma też nic wspólnego z dobrą reputacją, która jak Rhett Butler wyjaśnił Scarlett O'Harze, jest czymś, bez czego ludzie odważni mogą się obejść.

Z kolei obchodzić się bez szacunku do samej siebie to pozostawać mimowolną widownią niekończącego się dokumentu, który drobiazgowo ewidencjonuje wszystkie nasze niedociągnięcia, te prawdziwe i te wyobrażone, do którego z każdym kolejnym seansem doklejane są nowe ujęcia. „Oto szklanka, którą rozbiłaś w gniewie, oto otarcie na twarzy X"; „patrz teraz, zaraz będzie, ten wieczór, kiedy Y wrócił z Houston, patrz, jak to partolisz". Żyć bez szacunku do samej siebie to leżeć którejś nocy i nie móc zmrużyć oka, bez nadziei na ratunek w postaci ciepłego mleka, fenobarbitalu czy śpiącej ręki na posłaniu obok, zliczając grzechy popełnione uczynkiem i zaniedbaniem, przypadki niedochowania wiary, subtelnie złamane obietnice, dary zmarnowane bezpowrotnie z lenistwa, tchórzostwa czy niedbalstwa. Jakkolwiek długo byśmy to odwlekali, w końcu kładziemy się w tym znanym z niewygody łóżku, które sami sobie posłaliśmy. To, czy się w nim wyśpimy, zależy, rzecz jasna, od tego, czy odnosimy się do samych siebie z szacunkiem.

Obstawać przy tym, że jacyś ludzie (dość zresztą trudni do wyobrażenia), którzy „przecież nie mogliby siebie samych szanować", śpią, jak widać, najzupełniej smacznie, to kompletnie nie dostrzegać sedna sprawy, tak jak nie dostrzegają go ci, którzy sądzą, że szacunek do siebie musi mieć coś wspólnego z tym, że w pewnym momencie nasza bielizna przestaje być spinana agrafką. Powszechny przesąd utożsamia szacunek do siebie z jakimś talizmanem przeciw wężom, czymś, co utrzymuje tych, którzy go posiadają, w jakimś nieskażonym Edenie, z dala od obcych łóżek,

niejednoznacznych rozmów i ogólnie kłopotów. Bynajmniej. Nie ma on nic wspólnego z powierzchnią rzeczywistości, lecz dotyczy odrębnego spokoju, pewnego osobistego pogodzenia. Chociaż nierozważny, zmierzający do samobójstwa Julian English ze *Spotkania w Samarze* i lekkomyślna, chronicznie nieuczciwa Jordan Baker z *Wielkiego Gatsby'ego* wydają się równie niedorzecznymi pretendentami do miana osób darzących się szacunkiem, to Jordan Baker była taką właśnie osobą, w przeciwieństwie do Juliana Englisha. Kierując się tym geniuszem przystosowania, częściej spotykanym u kobiet niż u mężczyzn, Jordan sprawdziła siebie, zdobyła sobie spokój, unikała zagrożeń mogących go zmącić.

– Nie znoszę ludzi nieostrożnych – oświadczyła Nickowi Carrawayowi. – Trzeba dwojga, żeby doszło do wypadku [77].

Podobnie jak Jordan Baker, ludzie traktujący siebie samych z szacunkiem, mają odwagę popełniać błędy. Wiedzą, że wszystko ma swoją cenę. Jeżeli dopuszczą się cudzołóstwa, nie biegną później, w przypływie wyrzutów sumienia, prosić osobę pokrzywdzoną o rozgrzeszenie; nie skarżą się też przesadnie na niesprawiedliwość pozwu o zdradę małżeńską, na niezasłużony wstyd, jaki je spotyka. W skrócie, osoby, które mają szacunek dla siebie samych, wykazują się pewną odpornością, odwagą moralną; przejawiają charakter – cechę, którą wprawdzie pochwala się w abstrakcyjnych rozważaniach, a która czasami traci na popularności w porównaniu z cnotami, co do których dużo szybciej się zgadzamy. To, że na ogół myślimy o charakterze w kontekście niełądnych dzieci i amerykańskich senatorów, którzy przegrali – najlepiej jeszcze w prawyborach – w wyścigu o reelekcję, jest pewną miarą jej podupadającego prestiżu. Niemniej charakter, czyli gotowość przyjęcia odpowiedzialności za własne życie, jest źródłem, z którego czerpie się szacunek do samej siebie.

Szacunek do samych siebie to coś, o czym nasi dziadowie i babki wiedzieli wszystko, niezależnie od tego, czy sami go posiadali. Zaszczepiono im za młodu pewną dyscyplinę, poczucie, że życie polega na robieniu rzeczy, na które nieszczególnie ma się ochotę, na odsuwaniu na bok lęków i wątpliwości, na wyborze między natychmiastową korzyścią a perspektywą większej korzyści, choćby niematerialnej. Dla XIX wieku czymś godnym podziwu, ale w żadnym wypadku nie czymś niespotykanym, było zachowanie Chińskiego Gordona [78], który wdział czysty biały garnitur

i bronił Chartumu przeciw siłom Mahdiego; nie doszukiwano się niesprawiedliwości w tym, że drogę do bezpłatnej ziemi w Kalifornii okupiono śmiercią, brudem i trudem. W dzienniku pisanym zimą 1846 roku dziesięcioletnia emigrantka Narcissa Cornwall zanotowała chłodno: „Ojciec był zajęty lekturą i nie zauważył, że dom zapełnia się nieznanymi Indianami, dopóki matka o tym nie wspomniała". Nawet jeśli nie ma się pojęcia, co takiego powiedziała matka, trudno wyjść z podziwu dla całego zajścia: czytający ojciec, napływający Indianie, matka dobierająca słowa, które nie wzbudzą trwogi, dziecko, które skrupulatnie notuje całe zajście i dodaje na marginesie, że akurat ci Indianie, „szczęśliwie dla nas", nie byli wrogo nastawieni. Indianie stanowili po prostu część pejzażu codzienności.

W takim czy innym wcieleniu, jacyś Indianie zawsze są obecni. Dotykamy tu kwestii uznania, że wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, ma też swoją cenę. Ludzie, którzy szanują samych siebie, liczą się z tym, że Indianie mogą się okazać wrogo nastawieni, że przedsięwzięcie nie wypali, że romans może nie okazać się tym, w którym „każdy dzień to święto, bo jesteśmy sobie poślubieni". Są gotowi zainwestować coś z siebie; nie muszą wcale grać, ale kiedy już grają, znają swoje szanse.

Tego rodzaju szacunek do siebie to pewna dyscyplina, nawyk umysłowy, coś, czego nie da się zasymulować, ale co można rozwinąć, wyćwiczyć, wyegzekwować od siebie. Ktoś mi kiedyś poradził, żebym na zasadzie antidotum na płacz umieszczała głowę w papierowej torbie. Tak się składa, że istnieje solidny fizjologiczny powód przemawiający za takim postępowaniem, coś, co ma związek z tlenem, ale już sam efekt psychologiczny jest nie do przecenienia: niezmiernie trudno nadal wyobrażać sobie siebie jako Cathy z *Wichrowych Wzgórz* z głową w torbie z Food Fair. Na podobnej zasadzie można polecić wszelkie drobne dyscyplinujące zabiegi, same w sobie nieistotne; wyobraźcie sobie trwanie w uniesieniu – pełnym żalu czy pełnym żaru, nieważne – pod zimnym prysznicem.

Ale te drobne zabiegi samodyscypliny mają wartość tylko o tyle, o ile są odzwierciedleniem poważniejszej dyscypliny. Powiedzieć, że bitwę pod Waterloo wygrano na boiskach Eton, to nie to samo, co twierdzić, że Napoleona uratowałby krótki kurs krykieta; wydawanie wystawnych kolacji w lesie deszczowym nie miałoby sensu, gdyby światło świec pełgające na lianach nie przywoływało głębszych, bardziej trwałych aktów dyscypliny,

wartości zaszczepionych dużo wcześniej. To swego rodzaju rytuał, który pomaga nam pamiętać, kim i czym jesteśmy. Żeby można to było pamiętać, wpierw trzeba to wiedzieć.

Posiadać to poczucie własnej wewnętrznej wartości, które stanowi o szacunku do samego siebie, to na dobrą sprawę mieć wszystko: zdolność dokonywania rozróżnień, kochania i pozostawania obojętnym. Być go pozbawionym to tkwić w osobistym zamknięciu, być paradoksalnie niezdolnym ani do miłości, ani do obojętności. Jeżeli nie szanujemy samych siebie, jesteśmy z jednej strony zmuszeni pogardzać tymi, którzy są tak ograniczeni, że się z nami zadają, tak mało spostrzegawczy, że pozostają ślepi na naszą fatalną słabość. A z drugiej – dziwnie ulegli wobec każdej napotkanej osoby, gotowi uczynić zadość jej fałszywym wyobrażeniom na nasz temat (nasz ogląd siebie jest bowiem nie do utrzymania). Schlebiamy sobie, uważając ten wewnętrzny przymus zadowalania innych za atrakcyjną cechę – przyczynek do wyobrażonej empatii, dowód na naszą gotowość dawania. Oczywiście, będę Francescą, jeśli jesteś Paolem [79], będę Helen Keller [80], jeśli tylko spotkam jakąś Anne Sullivan [81] – żadne oczekiwanie nie będzie dla nas zbyt niedorzeczne, żadna rola zbyt absurdalna. Zdani na łaskę tych, którymi potrafimy tylko pogardzać, odgrywamy role skazane na porażkę, jeszcze zanim w nie wejdziemy, a każda klęska przynosi nową rozpacz spowodowaną koniecznością odgadywania i spełniania kolejnego oczekiwania, jakie się nam stawia.

To zjawisko bywa określane mianem „samoalienacji”. W jej zaawansowanych stadiach przestajemy odbierać telefon, ponieważ ktoś mógłby czegoś chcieć; myśl, że moglibyśmy powiedzieć „nie” i nie utonąć w samooskarżeniach, nie stanowi w tej grze opcji. Każde spotkanie niesie ze sobą zbyt duże wymagania, szarga nerwy, wyczerpuje rezerwy woli, a widmo jakiegoś drobiazgu w rodzaju listu zostawionego bez odpowiedzi budzi tak nieproporcjonalnie wielkie poczucie winy, że odpisanie na niego przestaje wchodzić w rachubę. Uświadamianie nam faktycznej wagi listów, na które się nie odpisało, uwalnianie nas od balastu cudzych oczekiwań, przywracanie nas nam samym – w tym właśnie tkwi wielka, niezwykła moc szacunku do samych siebie. Bez niego człowiek w końcu orientuje się, że znalazł się pod ścianą – ucieka, żeby odnaleźć siebie, i odkrywa, że nikogo nie ma w domu.

1961

Ten potwór nadal siedzi mi w głowie

Jakoś na początku akcji filmu o potworach, skądinąd nie bardzo pamiętnego (nawet nie potrafię przypomnieć sobie tytułu), opowiadającego o mechanicznym człowieku, który dochodzi po dnie East River aż na wysokość Czterdziestej Dziewiątej Ulicy, po czym wynurza się, by zniszczyć budynek ONZ, bohaterka przechadza się po gruntach swojej wiejskiej posiadłości, kiedy ów mechaniczny potwór wyskakuje z jeziora i usiłuje uprowadzić jej dziecko. (Właściwie to wiemy, że potwór chce się tylko zaprzyjaźnić z dziewczynką, ale młoda matka, która zapewne widziała nieco mniej filmów o potworach niż my, nie jest tego świadoma. Scena wprowadza tragizm i wzmaga dramatyzm). Później wieczorem, kiedy bohaterka siedzi na werandzie i rozmyśla nad zdarzeniami dnia, podchodzi do niej jej brat [82], nabija fajkę i pyta:

– Toniemy w zadumie, Deborah?

Deborah uśmiecha się boleśnie.

– To nic takiego, Jim – mówi. – Tylko ten potwór nadal siedzi mi w głowie.

Ten potwór nadal siedzi mi w głowie. To przydatna kwestia, która też często przychodzi mi na myśl, kiedy wyłapuję ton, w jakim bardzo wiele osób pisze lub wypowiada się na temat Hollywood. W powszechnej wyobraźni amerykański przemysł filmowy przedstawia sobą swego rodzaju mechanicznego potwora, zaprogramowanego w celu zduszenia i zniszczenia wszystkiego, co tylko w ludzkiej duszy interesujące, zajmujące i „twórcze”. Sam przymiotnik „hollywoodzki” od dawna funkcjonuje w znaczeniu pejoratywnym i konotującym coś, co określa się jako „System”, a słowo to wypowiada się z tą samą złowrogą emfazą, z jaką James Cagney [83] mówił kiedyś o „Syndykacie”. System nie tylko dławi talent, ale też zatruwa duszę, na co dowodem ma być cała gęstwina opowieści. Wystarczy tylko słowem wspomnieć o Hollywood, a będzie nam przypomniany umierający w Malibu Scott Fitzgerald, opuszczony przez

wszystkich oprócz Sheili Graham [84], chałturzący pisaniem filmów o weekendach w dawnym koledżu (pracował też nad *Ostatnim z wielkich*, ale o tym historie te jakoś milczą); tresuje się nas do wspominania, jak najbardziej błyskotliwe umysły gnuśniały przy basenie hotelu Garden of Allah w oczekiwaniu na telefon z Thalberg Building [85]. (Na dobrą sprawę trzeba porządnie romantycznej wrażliwości, żeby widzieć takie rzeczy jak to, że atmosfera w Garden of Allah pod względem podstępnie toksycznego wpływu przewyższała tę panującą w Algonquin, albo powody, dla których Thalberg Building i Metro-Goldwyn-Mayer były bardziej szkodliwie moralnie niż Graybar Building [86] i „Vanity Fair". Edmund Wilson [87], który w ten rodzaj wrażliwości jest wyposażony, wyraził kiedyś przypuszczenie, że ma to coś wspólnego z pogodą. Może i ma).

Hollywood Wielki Niszczyciel. Ta wizja była zasadniczo efektem romantyzacji i Hollywood szybko podjęło wysiłki, by ją utrwalić: oto Jack Palance w roli gwiazdora filmowego zamordowanego przez System w *Wielkim nożu*; oto Judy Garland i James Mason (a wcześniej także Jane Gaynor i Fredric March), których życie zostaje zniszczone przez System czy raczej Studio (oba określenia na dobrą sprawę stosowano wymiennie w czasach, kiedy Hollywood rządziły dawne wielkie studia [88]) w *Narodzinach gwiazdy*. Obecnie zepsucie, korupcja i ograniczające praktyki Hollywood mają już na tyle ugruntowaną pozycję wśród społecznych artykułów wiary Amerykanów – że byłam tylko lekko zaskoczona, kiedy nie tak dawno młody scenarzysta oświadczył, iż Hollywood go „rujnuje".

– Jako pisarza – dodał.

„Jako pisarz" w ciągu dekady w Nowym Jorku napisał jedną powieść komediową (nie mylić z „komiczną"), trochę artykułów w gazetach będących recenzjami powieści komediowych innych pisarzy i układał przez kilka lat podpisy pod obrazkami w magazynie ilustrowanym.

Tak. Nic w tym dziwnego, że widmo Hollywood Wielkiego Niszczyciela nadal krąży wśród chałturzącej inteligencji średniego szczebla (potwór ten czai się, jak rozumiem, gdzieś na pustkowiu między Thalia a MOMA) albo przynajmniej tych jej przedstawicieli, którzy jeszcze nie dostrzegli, że wśród ludzi z „Cahiers du Cinéma" [89] Hollywood cieszy się statusem *chic*. (Ci, którzy to dostrzegli, przyjęli równie skrajne stanowisko, spekulując bez końca, o co chodziło Vincentemu Minellemu w *Spotkajmy*

się w St. Louis, uczęszczając na seminaria o Nicholasie Rayu [90], tego typu rzeczy). Dziwne natomiast jest to, że potwór ten nadal krąży po samym Hollywood – a Hollywood przecież wie lepiej, jak się sprawy mają, wie, że potwora, zmarłego z przyczyn naturalnych, pogrzebano już ileś lat temu. Zaplecze wytwórni Fox to obecnie kompleks biurowców o nazwie Century City; Paramount nie kręci już czterdziestu filmów rocznie, lecz *Bonanzę*. To, co kiedyś było Studiem, to dzisiaj spółka produkcyjna i nie ostał się nawet Garden of Allah. Praktycznie każdy kręcony dziś film to produkcja niezależna – czy nie o to właśnie nam kiedyś chodziło? Czy nie w tym upatrywaliśmy kiedyś rewolucji w kinie amerykańskim? Nadeszło milenium, era „mniej licznych, za to lepszych" obrazów, i co dostajemy? Mamy mniej filmów, ale niekoniecznie są lepsze. Zapytajcie tych z Hollywood dlaczego, a wówczas ludzie Hollywood uciekną się do szemrania o potworze. W Hollywood, stwierdzą, nie dało się pracować „uczciwie". Pewne rzeczy to uniemożliwiały. Studia czy to, co z nich zostało, udaremniają każde ich marzenie. Finansjera spiskuje przeciw nim. Nowy Jork podprowadza im kopie taśm, zanim jeszcze skończą montować. Ograniczają ich banały. Coś jest nie tak z „klimatem intelektualnym". Gdyby tylko dano im nieco swobody, gdyby tylko pozwolono im mówić własnym głosem…

Gdyby. Te deklaracje mają w sobie optymizm cechujący narzeczeństwo, bo wychodzą z założenia Rousseau, że myślenie większości ludzi, jeśli pozostawić ich samym sobie, nie wyraża się w banałach, lecz oryginalnych i błyskotliwych refleksjach; że większość indywidualnych głosów, jeśli ich wysłuchać, okazuje się głosami piękna i mądrości. Myślę, że zgodzimy się co do tego, że powieść jest nic niewarta, jeżeli nie jest wyrazem indywidualnego głosu, jednostkowego oglądu doświadczenia – a ile w tych tysiącach publikowanych rokrocznie takich, które byłyby dobre lub choćby interesujące? Wątpię, czy można oczekiwać czegoś więcej po branży filmowej. Ludzie faktycznie dysponujący interesującym indywidualnym głosem już od jakiegoś czasu robią filmy, w których ten głos słychać; myślę o *Ameryce, Ameryce* Elii Kazana, a także – ze znacznie mniejszą dozą entuzjazmu wobec głosu – o *Doktorze Strangelove* Stanleya Kubricka.

Ale nie tylko „interesujące" głosy mają teraz sposobność wybrzmieć. „Life" cytował wypowiedź Johna Frankenheimera: „O Hollywood nie da się już powiedzieć »Branża«. Dzisiaj mamy szansę przenosić na taśmę nasze osobiste fantazje". Wśród osobistych fantazji samego

Frankenheimera znalazły się *Wszystkie mu ulegają*, z którego to filmu dowiedzieliśmy się, kiedy Frankenheimer zrobił przebitkę na łabędzie majaczące na tafli jeziora – że Warren Beatty i Eva Marie Saint się kochają, a także *Siedem dni w maju*, który w swoim błędnym rozumieniu tego, jak amerykańska elita władzy myśli, mówi i działa (jeśli dobrze pamiętam, filmowy senator z Kalifornii prowadził rolls-royce'a), sprawiał wrażenie fantazji w najbardziej klinicznym rozumieniu tego słowa. Carl Foreman, który nim otrzymał szansę przeniesienia na taśmę osobistych fantazji, pracował przy kilku bardzo dobrych (jak na swój gatunek) filmach – *W samo południe* i *Działach Nawarony* – później napisał i wyreżyserował, jak to określił, swoją „autorską wypowiedź": *Zwycięzców*, zjawisko, z którego zdaje się płynąć wniosek, że co dwie głowy, to nie jedna, ale pod warunkiem, że te dwie głowy to nie jedna i ta sama głowa Foremana.

Jeden problem polega na tym, że amerykańscy reżyserzy, z nielicznymi wyjątkami, nie bardzo interesują się stylem; w głębi duszy są dydaktyczni. Wystarczy ich spytać, jak zamierzają wykorzystać swoją absolutną wolność, swoją szansę na autorską wypowiedź, a wezmą na warsztat „kwestię", „problem". „Kwestie", za które się zabierają, nie stanowią już rzeczywistych problemów, o ile kiedykolwiek nimi były; myślę jednak, że błędem jest łączyć to z jakąś wyrachowaną sprzedajnością, świadomym asekuranctwem. (Przypomina mi się scenarzysta, który dopiero co odkrył karły – chociaż z pewnością, jak my wszyscy, pamięta czasy, w których karły pojawiały się na stronach z opowiadaniami co znamienitszych magazynów ilustrowanych mniej więcej równie często jak Suzy Parker [91] na ich stronach reklamowych. Ów scenarzysta widzi w karłach symbol anomii współczesnego człowieka. Widać tu pewne zapóźnienie w oglądzie kultury). Nazwijmy to – owo pozorne kalkulowanie, które „kwestie" stanowią dziś bezpieczny temat – raczej brakiem wyobraźni, intelektualnym niedbalstwem, które pod pewnymi względami wynika z przychylnego odbioru publiczności, rzeszy recenzentów i pewnych osób, które powinny mieć więcej rozumu. *Wyrok w Norymberdze* Stanleya Kramera, nakręcony w roku 1961, był nieustraszonym potępieniem nie autorytaryzmu jako takiego, nie samych procesów, nie rozmaitych kwestii moralnych i sądowych związanych z trybunałem, lecz potworności, jakich dopuścili się naziści, co do których panuje już pewien konsensus, a w każdym razie tak by się mogło wydawać. (Być może pamiętacie, że *Wyrok w Norymberdze* Akademia Filmowa nagrodziła Oscarem, którego scenarzysta Abby Mann

przyjął w imieniu „wszystkich intelektualistów”). Później Kramer i Abby Mann współpracowali przy *Statku szaleńców*, w którym zawarli „nieco więcej współczucia i humoru” i którego fabułę osadzili w latach 1931–1933, by tym silniej mógł wybrzmieć ich stanowczy sprzeciw wobec działań Partii Narodowosocjalistycznej. *Zwycięzcy* Foremana w nieskończoność stawiają nam przed oczami morał, że wojna zwycięża zwycięzców na równi ze zwyciężonymi, pogląd bynajmniej nie radykalny. (Foreman to reżyser, który z początku sprawia wrażenie, jakby miał nieco stylu, ale wrażenie to jest całkowicie nieuzasadnione i wynika głównie z nieustannego przywoływania przez niego starych efektów Eisensteina). O *Doktorze Strangelove* Stanleya Kubricka, który odznaczał się jakimś stylem, trudno powiedzieć, by był filmem niepoprawnie oryginalnym; rzadko robiono tyle szumu o tak niewiele. John Simon na łamach magazynu „The New Leader” orzekł, że „tym, co godne największego podziwu” w *Doktorze Strangelove* było to, jak „nie przepuścił niczemu, co establishment traktuje poważnie: wojnie atomowej, rządowi, wojsku, stosunkom międzynarodowym, heroizmowi, seksowi i reszcie”. Nie wiem, kto według Johna Simona wchodzi w skład establishmentu, ale jeśli wyliczając wstecz od „i reszty” wyrywkowo przeanalizujemy tę listę, okaże się, że seks to nasz najpewniejszy społeczny repertuar żartów; *Raz, dwa, trzy* Billy’ego Wildera było odlotową (patrz „Variety”) parodią stosunków międzynarodowych; wojsko jako gag pojawia się nawet u Phila Silversa z jego sierżantem Bilko [92]; a jeśli „rząd” jest czymś, co dla amerykańskiego establishmentu przenigdy nie stanowi tematu żartów, to najwidoczniej tylko ja trafiam w telewizji w porze największej oglądalności na jakieś porządnie konspiracyjne materiały. I resztę. *Doktor Strangelove* był w gruncie rzeczy gagiem na jedną linijkę na temat różnicy między wojną jądrową a wszystkimi innymi wojnami. Do czasu, kiedy George Scott wygłosił kwestię: „Pomyślałem, że przejdę się do dowództwa”, a Sterling Hayden: „Wygląda na to, że szykuje się wojna”, i bombowiec Strategic Air Command wyruszył w kierunku radzieckich celów w takt melodii *When Johnny Comes Marching Again*, Kubrick grał już na całego fugę na ten temat i powinien był zacząć odliczać minuty do chwili, kiedy będziemy mieli dość.

Oglądamy zatem dzieła kilku ciekawych umysłów; i znacznie liczniejszych mniej interesujących. Sytuacja w Europie niewiele się różni od naszej. Wśród Włochów Antonioni tworzy piękne, inteligentne,

misternie i subtelnie skonstruowane obrazy, których siła tkwi całkowicie w ich strukturze; z kolei Visconti ma mniej wyczucia formy niż ktokolwiek ze współcześnie reżyserujących. Można by równie dobrze oglądać serię fotosów nieposzeregowanych w żadnym wyraźnym porządku, jak w jego *Lamparcie*. Federica Felliniego i Ingmara Bergmana łączą porażająca inteligencja wizualna i przytłaczająco banalny pogląd na ludzkie doświadczenie; Alain Resnais w *Zeszłego roku w Marienbadzie* i *Muriel* zaprezentował styl tak natrętny, że odnosiło się wrażenie oglądania zasłony dymnej przesłaniającej próżnię. Jeżeli idzie o przekonanie, że filmy europejskie są na ogół bardziej oryginalne od amerykańskich, nikt, kto widział *Boccaccio ‘70*, już nigdy potem nie był w stanie łączyć słowa „formuła” z określeniem „hollywoodzka” na zasadzie czysto automatycznej.

Tak. Z pewną pomocą ze strony zagranicy teraz wszyscy w Hollywood jesteśmy już dorośli i czas, byśmy wyruszyli w świat samodzielnie. Nie znajdujemy się już w uścisku potwora; Columbią nie dowodzi już Harry Cohn, o którym mówiono, że zawiaduje studiem jak obozem koncentracyjnym. To, czy jakiś obraz otrzyma pieczęć kodeksu przyzwoitości [93], nie ma już większego wpływu na sprzedaż biletów. Nigdy więcej godziny policyjnej, nigdy więcej Tatusia, wszystko dozwolone. Niektórym z nas ten permisywizm wcale nie przypadł do gustu; niektórzy chcieliby widzieć „powody”, dla których nasze filmy nie są tak dobre, jak w naszym głębokim przekonaniu mogłyby być. Nie tak dawno spotkałam producenta, który poskarżył mi się na trudności w pracy w rzeczywistości Systemu, bo tak to zrozumiałam, choć nie użył akurat tego słowa. Mówił, że bardzo chciałby zrobić adaptację pewnego opowiadania Charlesa Jacksona.

– Naprawdę doskonała rzecz – powiedział. – Obawiam się, że nie do ruszenia. To o masturbacji.

1964

O moralności

Przebywam akurat w Dolinie Śmierci, w pokoju motelu i parku przyczep Enterprise; jest lipiec i jest gorąco. Dokładnie czterdzieści osiem stopni Celsjusza. Jakoś nie udaje mi się zmusić klimatyzacji do pracy, ale że jest tu mała zamrażarka, mogę zawinąć kostki lodu w ręcznik i trzymać je przyłożone do karku. Z pomocą kostek lodu próbuję w jakiś abstrakcyjny sposób myśleć – ponieważ poprosił mnie o to „The American Scholar” – o „moralności”, słowie, do którego z każdym dniem mam coraz mniejsze zaufanie, mój umysł uparcie zbacza jednak w stronę konkretu.

Oto i pewne konkrety. Wczoraj o północy na drodze z Las Vegas do Death Valley Junction samochód wpadł na pobocze i dachował. Kierowca, bardzo młody i widocznie pijany, zginął na miejscu. Jego dziewczyna przeżyła, ale krwawiła z narządów wewnętrznych i znajdowała się w głębokim szoku. Dziś po południu rozmawiałam z pielęgniarką, która zabrała ją do najbliższego lekarza, sto osiemdziesiąt pięć mil przez dno Doliny, śmiertelnie niebezpieczną drogą przez trzy łańcuchy górskie. Pielęgniarka poinformowała mnie, że jej mąż, górnik w kopalni talku, do rana czuwał na szosie przy ciele chłopaka w oczekiwaniu na przyjazd koronera z Bishop za górami.

– Nie można po prostu zostawić ciała na drodze – stwierdziła. – To niemoralne.

W tym akurat wypadku słowo to nie wzbudziło we mnie nieufności, ponieważ kobieta miała na myśli coś bardzo określonego. Chciała przez to powiedzieć, że jeśli pozostawić zwłoki na pustyni choćby na parę minut, zbiegają się kojoty i pożerają mięso. Troska o to, by ciało nie zostało rozwłóczone przez kojoty, z pozoru może wyglądać na podyktowaną względami sentymentalnymi, jednak to rzecz jasna coś więcej: jedną z obietnic, jakie sobie nawzajem składamy, jest ta, że będziemy się starać zebrać naszych poległych i rannych, że zrobimy, co w naszej mocy, by nie zostawić naszych zabitych na pastwę kojotom. Jeżeli nauczono nas, że

obietnic się dotrzymuje – jeżeli, by ująć to najprościej, nasze wychowanie jest dostatecznie solidne – zostajemy przy ciele, w przeciwnym razie dręczą nas złe sny.

Oczywiście mówię o rodzaju kodeksu społecznego, który bywa nazywany „moralnością taboru", co zwykle ma pejoratywne zabarwienie. Bo też dokładnie o to tu chodzi. Jesteśmy tym, czego nauczyliśmy się jako dzieci, ze wszystkimi tego błogosławieństwami i przekleństwami. Moje własne dzieciństwo rozświetlały rozbłyski sugestywnych litanii zgryzot, jakie są udziałem tych, którzy nie dochowali wierności. Wyprawa Donnera-Reeda [94], której członkowie umierali z głodu, odrzuciła wszelkie efemerydy cywilizacji poza tym szczątkowym tabu, zasadą, że nikt nie zjada swoich najbliższych. Albo jayhawkersi [95], którzy zwaśnili się i rozdzielili nieopodal miejsca, w którym się dziś znajduję. Część z nich zginęła w górach Funeral, część z nich dalej na południe, w pobliżu Badwater, a większość pozostałych przy życiu na stokach pasma Panamint. Kobieta, która ocalała, nadała miejscu nazwę Dolina Śmierci. Ktoś powiedziałby, że jayhawkersów zgubiło lato na pustyni, a wyprawę Donnera zima w górach, okoliczności poza ludzką kontrolą; jednak zamiast tego nauczono nas, że w którymś momencie uchylili się przed obowiązkami, w jakiś sposób sprzeniewierzyli się elementarnym więzom lojalności – inaczej nie znaleźliby się bezradni pośród zimy w górach czy na pustyni latem, nie osunęliby się w zapiekłość, nie opuściliby jedni drugich, nie zawiedliby. Mówiąc krótko, słuchaliśmy tych historii przekazywanych nam jako „opowieści ku przestrodze", a jednak ich postulaty wydają mi się tym rozumieniem „moralności", które jako jedyne może przybrać wyłącznie formy skrajnie zakłamane.

Bardzo możliwe, że zdążyłam was już zniecierpliwić. Według was mówię o „moralności" tak prymitywnej, że ledwie zasługuje na to miano, o kodeksie, którego celem jest zapewnienie przetrwania, nie osiągnięcie idealnego dobra. Otóż to. Zwłaszcza tej nocy w tym miejscu, w krainie tak złowrogiej i strasznej, że mieszkać tutaj to jakby żyć wśród antymaterii, trudno jest uwierzyć w „dobro" jako wartość dostępną poznaniu. Pozwólcie, że wam opowiem, jak wygląda ta okolica dziś wieczorem. Nocą po pustyni krążą historie. Ktoś wsiada do pick-upa i jedzie kilkaset mil na piwo, i przywozi ze sobą wieści o tym, co dzieje się tam, skąd przyjechał. Potem jedzie jeszcze sto mil na kolejne piwo i przynosi historię z tamtego

wcześniejszego miejsca i jeszcze tamte z poprzedniego; to sieć utrzymywana przy życiu przez ludzi, których instynkt podpowiada im, że jeśli przestaną się przemieszczać nocami po pustyni, postradają resztki rozumu. Oto historia, która obiega pustynię dziś wieczorem: za granicą z Nevadą zastępcy szeryfa nurkują w jakichś podziemnych stawach, żeby wyłowić kilka ciał, które podobno znajdują się w kominie. Na miejscu jest wdowa po jednym z chłopaków, którzy utonęli; ma osiemnaście lat i jest w ciąży, i mówią, że nie rusza się znad dziury. Nurkowie schodzą pod wodę i wynurzają się, a ona po prostu tam stoi i wpatruje się w toń. Nurkują od dziesięciu dni, ale dotychczas nie znaleźli dna jaskiń ani ciał, ani żadnego ich śladu, tylko czerń całkiem pionowego szybu, otchłani ciągnącej się bez końca w dół, i jedną przezroczystą rybę, nigdzie niesklasyfikowaną. W tej dyżurnej historii dzisiejszego wieczoru jeden z nurków wciągnięty na górę miał wrzeszczeć bez ładu i składu, oszalały – tak że musieli go stamtąd zabrać, żeby wdowa nie słyszała – krzyczał o wodzie, która robi się coraz gorętsza, nie zimniejsza, w miarę schodzenia, o przebłyskującym świetle, o magmie, o podziemnych testach jądrowych.

Taki ton przybierają tutaj opowieści, a dziś wieczorem słyszę ich niemało. Po drugiej stronie drogi, w budynku Kościoła Wspólnoty Wiary, kilkadziesiąt starszych osób, które przyjechały tu mieszkać w przyczepach i umrzeć w słońcu, zebrało się na śpiewy modlitewne. Nie słyszę ich i nie mam ochoty słyszeć. Słyszę za to sporadyczne nawoływania kojotów i nieustanny refren *Baby the Rain Must Fall* dobiegający z szafy grającej w mieszczącym się po sąsiedzku Snake Room, a gdyby miały dołączyć do tego te głosy umierających, te głosy z Midwestu, które coś ściągnęło do tej księżycowej krainy na trudne do wyobrażenia atawistyczne rytuały, „skało wieków, rozstąp się” [96], zapewne sama postradałabym rozum. Co jakiś czas wyobrażam sobie, że słyszę grzechotnika, ale mąż uspokaja mnie, że to kran, szeleszcząca kartka, wiatr. Potem staje przy oknie i przelatuje latarką po wyschniętym praniu za oknem.

Co to oznacza? Nic, co można by okiełznać. Dziś wieczór powietrze tutaj przepełnia jakaś złowroga histeria, jakaś sugestia potwornego wypaczenia, jakie może spotkać każdą ludzką ideę. „Zaufałem swojemu sumieniu”. „Zrobiłem, co uważałem za słuszne”. Ilu szaleńców wypowiedziało te słowa i to właśnie miało na myśli? Ilu morderców? Wypowiadał je Klaus Fuchs [97] i wypowiadali je mężczyźni, którzy

dopuścili się masakry pod Mountain Meadows [98], i Alfred Rosenberg [99] też je wypowiadał. No i – jak przypominają nam na każdym kroku i cokolwiek arogancko ci, którzy chętnie wypowiadaliby je dzisiaj – wypowiadał je Jezus. Może wszyscy tak mówiliśmy i może wszyscy byliśmy w błędzie. Poza tym najbardziej prymitywnym poziomem – naszych zobowiązań względem tych, których kochamy – co może być bardziej aroganckiego od upierania się przy prymacie osobistego sumienia? („Powiedz – odparł rabin Danielowi Bellowi [100], gdy ten w dzieciństwie oświadczył, że nie wierzy w Boga – myślisz, że Boga to obchodzi?") Przynajmniej czasami świat jawi mi się jako obraz Hieronima Boscha; gdybym w takich chwilach podążała za własnym sumieniem, zaprowadziłoby mnie ono na pustynię z Marionem Faye'em, do miejsca, w którym stał w *Jelenim parku* i zwrócony na wschód ku Los Alamos modlił się, jak o deszcz, żeby to się wydarzyło: „Niech się stanie (…) i oczyści ziemię ze zgnilizny, smrodu i brudu, niech dotknie wszystko i wszystkich, byleby tylko nastąpiła ta przeraźliwa jasność i świat mógł zalśnić sterylną czystością w bieli martwego poranka" [101].

Rzecz jasna, odpowiecie, że nie mam prawa, choćbym miała taką moc, narzucać wam dyktatu tego nierozsądnego sumienia; podobnie i ja nie życzę sobie, byście wy narzucali mi wasze sumienie, nieważne jak byłoby ono rozsądne, jak bardzo oświecone. („Musimy mieć świadomość zagrożeń, które tkwią w naszych najbardziej wspaniałomyślnych pragnieniach – napisał kiedyś Lionel Trilling. – Swoisty paradoks naszej natury prowadzi nas, gdyśmy już uczynili bliźnich przedmiotami naszego oświeconego zainteresowania, do przemiany ich w przedmioty naszego współczucia, następnie naszej mądrości, a wreszcie naszego przymusu"). Stwierdzeniu, że etyka sumienia jest ze swej istoty podstępna, daleko do odkrywczości, lecz rzadkość, z jaką bywa ono wypowiadane, jest zaskakująca; nawet ci, którzy z nim występują, na ogół przechodzą niepokojąco ochoczo na stanowisko, że etyka sumienia jest niebezpieczna, jeśli posługiwać się nią w „złej" sprawie, godna zaś podziwu, jeśli w „słusznej".

Jak widzicie, zamierzam naprawdę upierać się przy twierdzeniu, że nie mamy sposobu rozstrzygnięcia – w kwestiach wykraczających poza sytuacje, do których ma zastosowanie tamta fundamentalna lojalność względem norm społecznych – co jest „słuszne", a co „niesłuszne", co

„dobre”, a co „złe”. Rozwodzę się nad tym dlatego, że najbardziej niepokojącym aspektem „moralności” wydaje mi się częstotliwość, z jaką słowo to się obecnie pojawia w prasie, w telewizji, w najbardziej powierzchownych rozmowach. Kwestie jawnej polityki władzy (lub przetrwania), całkiem neutralne kwestie polityki publicznej, niemalże wszelkie kwestie – wszystkie je obdziela się tymi spreparowanymi moralnymi brzemionami. Mamy tu do czynienia z czymś powierzchownym, z pewnym brakiem umiaru. Oczywiście wszyscy chcielibyśmy w coś „wierzyć”, znieczulić nasze prywatne poczucie winy zaangażowaniem w sprawy publiczne, zostawić za sobą nasze nieznośne ego; chcielibyśmy, być może, zamienić białą flagę porażki u siebie na nieustraszenie biały sztandar bojowy na wyjeździe. I oczywiście jest to uzasadnione; w ten sposób postępowano od niepamiętnych czasów, chcąc przeprowadzić jakąkolwiek zmianę. Ale uważam też, że jest to uzasadnione tylko o tyle, o ile nie oszukujemy samych siebie w kwestii tego, co robimy i z jakiego powodu. Uzasadnione tylko o tyle, o ile pamiętamy, że wszelkie spontanicznie zawiązywane komitety, wszelkie pikiety, wszelkie nieulękłe podpisy w „New York Timesie”, wszelkie narzędzia politycznej agitacji jak ich spektrum długie i szerokie nie stanowią *ipso facto* o cnocie autorów tych działań. Uzasadnione tylko o tyle, o ile uznajemy, że dążenie do jakiegoś celu jest być może wskazane, jest być może dobrym pomysłem, ale tak czy owak nie ma nic wspólnego z „moralnością”. Ponieważ kiedy wmówimy sobie, że chcemy albo potrzebujemy czegoś nie dlatego, że posiadanie tego stanowi dla nas konieczność z pragmatycznego punktu widzenia, lecz dlatego, że za naszym dążeniem stoi „imperatyw moralny”, wówczas zasilamy szeregi modnych szaleńców, a w kraju rozlega się cienki skowyt histerii, i wówczas lądujemy w niezłych opałach. I zdaje mi się, że już w nich tkwimy.

1965

O powrotach do domu

Jestem teraz w domu, żeby świętować pierwsze urodziny mojej córeczki. Mówiąc „w domu”, nie mam na myśli tego, w którym mieszkam z moim mężem i maleństwem w Los Angeles, lecz miejsce zamieszkiwane przez moją rodzinę, w Dolinie Kalifornijskiej. To zasadnicze, chociaż kłopotliwe rozróżnienie. Mąż przepada za moją rodziną, ale w jej domu czuje się niepewnie, ponieważ gdy tylko się tam znajdziemy, wracam do jej zwyczajów, a te są trudne, nieoczywiste, celowo stroniące od bezpośredniości, inne niż zwyczaje mojego męża. Mieszkamy w zakurzonych domach (K-U-R-Z, napisał kiedyś palcem na powierzchniach w całym domu, ale nikt tego nie zauważył), wypełnionych pamiątkami, które dla niego pozbawione są wartości (co mogłyby dla niego znaczyć kantońskie talerzyki deserowe? skąd miałby wiedzieć coś na temat wag probierczych, a gdyby wiedział, dlaczego miałyby go one obchodzić?), i można odnieść wrażenie, że rozmawiamy wyłącznie o znanych nam ludziach umieszczonych w szpitalach psychiatrycznych, o znanych nam ludziach, których ukarano mandatem za prowadzenie pod wpływem, no i o nieruchomościach, zwłaszcza o nieruchomościach, o ziemi, cenie za akr i o strefach zagospodarowania komercyjnego, i wycenach oraz o dostępie do autostrady. Brat nie pojmuje, że mój mąż nie jest w stanie dostrzec korzyści, jaką niesie ze sobą raczej prosta transakcja w obrocie nieruchomościami znana pod nazwą leasingu zwrotnego, podczas gdy mój mąż nie rozumie z kolei, dlaczego tak wiele osób, o których słucha u mojego ojca w domu, trafiło ostatnimi czasy do szpitala psychiatrycznego lub zostało ukaranych mandatem za prowadzenie pod wpływem. Nie rozumie też, że kiedy rozmawiamy o transakcjach leasingu zwrotnego i służebności gruntowej, to rozmawiamy szyfrem o rzeczach, które najbardziej lubimy: o żółtych polach i topolach, o rzekach, w których poziom wód wznosi się i opada, i o górskich drogach, zamykanych, kiedy spadnie duży śnieg. Nie rozumiemy się nawzajem, wypijamy jeszcze po

jednym i spoglądamy na ogień. Brat mówi o moim mężu w jego obecności „mąż Joan”. Małżeństwo to klasyczna zdrada.

Chociaż być może już nie. Czasami myślę, że ci z nas, którzy są dziś po trzydziestce, przyszli na świat jako ostatnie pokolenie, które ugina się pod brzemieniem „domu”, ostatnim, dla którego życie rodzinne to źródło napięcia i dramatu. Moja sytuacja rodzinna była w świetle wszelkich obiektywnych relacji „normalna” i „szczęśliwa”, a mimo to dobiegałam już trzydziestki, kiedy w końcu mogłam porozmawiać z członkiem mojej rodziny przez telefon i nie rozpłakać się po odłożeniu słuchawki. Nie kłóciliśmy się. Nie było problemów. A jednak jakiś bezimienny lęk cechował przepływy emocjonalne między mną a miejscem, z którego wyszłam. Pytanie o to, czy można powrócić do domu, stanowiło bardzo realny element sentymentalnego i w znacznej mierze literackiego bagażu, z którym go opuszczaliśmy w latach pięćdziesiątych; podejrzewam, że nie ma ono znaczenia dla dzieci urodzonych w kolejnych latach po drugiej wojnie światowej, która wszystko rozerwała. Parę tygodni temu w barze w San Francisco widziałam, jak ładna dziewczyna na amfetaminie zdejmuje ubranie i tańczy w konkursie „topless dla amatorek”. Nie odniosłam wrażenia, żeby przywiązywała do tego jakąś szczególną wagę, nie czułam efektu romantycznego upodlenia, „ciemnej podróży”, której z taką wytrwałością poszukiwało moje pokolenie. Ciekawe, co ta dziewczyna zrozumiałaby z, dajmy na to, *Zmierzchu długiego dnia*? Której z nas coś umyka?

Fakt, że tkwię w tej szczególnej nieprzystawalności, nigdy nie nabiera dla mnie tak ostrych konturów jak wtedy, gdy jestem w domu. Sparaliżowana neurotycznym odrętwieniem zrodzonym ze spotkania z własną przeszłością wychodzącą zewsząd, zza każdego węgła, czającą się w każdej komodzie, włóczę się bez celu po pokojach. Decyduję, że stawię jej czoła, i opróżniam szufladę, jej zawartość rozpościerając na łóżku. Strój kąpielowy, który zakładałam tamtego lata, gdy miałam siedemnaście lat. Odmowa z redakcji „The Nation”, fotografia lotnicza terenu pod centrum handlowe, którego mój ojciec nie zbudował w 1954 roku. Trzy filiżanki ozdobione ręcznie wzorami róż stulistnych i podpisane inicjałami „E. M.”, mojej babki. Listy odmowy z „The Nation” ani ręcznie malowane filiżanki z 1900 roku nie układają się w żadną historię z puentą. I podobnie żadnej odpowiedzi nie przynoszą migawki z młodości własnego dziadka, na których uwieczniono go, jak na nartach eksploruje okolice Przełęczy

Donnera w roku 1910. Wygładzam fotografię i zaglądam mu w twarz, w której dostrzegam swoją własną i jej nie dostrzegam. Zasuwam szufladę i wypijam jeszcze jedną filiżankę kawy z mamą. Dobrze się dogadujemy, weteranki wojny podjazdowej, której nigdy nie rozumiałyśmy.

Mijają dni. Z nikim się nie widuję. Zaczynam się lękać wieczornego telefonu od męża, nie tylko dlatego, że zaleje mnie wieściami na temat tego, co teraz wydaje mi się naszym odległym życiem w Los Angeles, ludzi, z którymi się widział, listów, z którymi trzeba się zapoznać, ale dlatego, że pyta, co porabiam, niepewnie sugeruje, że powinnam się zabierać, ruszać do San Francisco albo Berkeley. Zamiast tego ruszam przez rzekę na cmentarz rodzinny. Od czasu mojego ostatniego pobytu zdążył paść ofiarą wandali – płyty nagrobne leżą potłuczone, wywrócone w suchej trawie. Ponieważ kiedyś w trawie natrafiłam na grzechotnika, zostaję w samochodzie i słucham country-westernowej stacji radiowej. Potem jadę z ojcem na jego ranczo u podnóża gór. Człowiek, który trzyma pieczę nad jego bydłem, zaprasza nas na spęd, za tydzień, licząc od niedzieli, a chociaż wiem, że będę już wtedy w Los Angeles, mówię w ten niewyraźny sposób, w jaki rozmawia moja rodzina, że przyjadę. Po powrocie wspominam o potłuczonych nagrobkach na cmentarzu. Matka wzrusza ramionami.

Odwiedzam praciotki. Kilka z nich myśli, że jestem swoją kuzynką albo ich córką, która umarła młodo. Przywołujemy anegdotę o krewnym widzianym ostatnio w roku 1948 i pytają, czy nadal podoba mi się w Nowym Jorku. Od trzech lat mieszkam już w Los Angeles, ale odpowiadam, że tak. Maleństwu proponują syrop z szanty, a mnie wsuwają w rękę banknot jednodolarowy „na coś słodkiego”. Pytania urywają się, zanim zostaną dokończone, pozostają bez odpowiedzi, maleństwo wyciąga rączki do drobinek kurzu w snopie popołudniowego słońca.

Czas na przyjęcie urodzinowe małej: biały tort, lody o smaku truskawkowych pianek, butelka szampana pozostała po innym przyjęciu. Wieczorem, kiedy córeczka zaśnie, klękam przy jej łóżeczku i dotykam jej twarzy swoją, tam, gdzie dociska ją do szczebelków. Jest pogodnym i ufnym dzieckiem, nieprzygotowanym i nienawykłym do zasadzek życia rodzinnego i być może dobrze się składa, że nie mam jej do zaoferowania za wiele takiego życia. Chciałabym dać jej go więcej. Chciałabym jej obiecać, że będzie dorastać w towarzystwie kuzynostwa i rzek, i filiżanek jej babci, chciałabym przyrzec jej piknik nad brzegiem rzeki, na którym rozczochrana będzie jadła kurczaka w panierce, chciałabym podarować jej

na urodziny dom, ale dziś żyjemy inaczej i niczego podobnego obiecać jej nie mogę. Daję jej cymbałki i sukieneczkę z Madery i obiecuję opowiedzieć jakąś zabawną historię.

1967

III Siedem miejsc ducha

Zapiski córki tego kraju

Bardzo łatwo jest usiąść w barze, takim na przykład La Scala w Beverly Hills albo Ernie’s w San Francisco, i poddać się wszechobecnemu złudzeniu, że Kalifornię od Nowego Jorku dzieli tylko pięciogodzinny lot. Prawdą jest jedynie, że to La Scalę i Ernie’s dzieli od Nowego Jorku tylko pięciogodzinny lot. Kalifornia jest gdzie indziej.

Wielu ludzi na Wschodzie (albo „tam na Wschodzie”, jak mawiają w Kalifornii, choć akurat nie w La Scali i nie w Ernie’s) w to nie wierzy. Odwiedzili Los Angeles albo San Francisco, przejechali pod sekwoją i oglądali Pacyfik w połyskliwej glazurze popołudniowego słońca w okolicach Big Sur i towarzyszy im naturalne przekonanie, że oto naprawdę byli w Kalifornii. Otóż nie byli i prawdopodobnie nigdy nie będą, bo podróż do niej jest dłuższa i pod wieloma względami trudniejsza niż ta, w którą gotowi byliby wyruszyć, to jedna z tych podróży, w trakcie których cel chimerycznie majaczy na horyzoncie, ciągle znikając, ciągle się oddalając. Wiem o tej podróży to i owo, ponieważ pochodzę z Kalifornii, z rodziny czy też gromady rodzin, które zawsze mieszkały w dolinie Sacramento.

Możecie zaoponować, że żaden ród zamieszkujący dolinę Sacramento nie żyje tam na tyle długo, by móc uznać to za „od zawsze”. Typową cechą Kalifornijczyków jest jednak opowiadać o przeszłości z rozmachem, całkiem jak gdyby ta równocześnie zaczęła się, *tabula rasa*, i dobiegła szczęśliwego końca z dniem, w którym wozy pionierów ruszyły na zachód. *Eureka* – „Odkryłem” – głosi dewiza stanu. Taki obraz historii napełnia swoistą melancholią tych, którzy w niej uczestniczą; moje własne dzieciństwo upływało pod znakiem wszechobecnego przekonania, że moment chwały mamy dawno za sobą. Właściwie o tym chcę wam opowiedzieć – jak to jest pochodzić z miejsca takiego jak Sacramento. Gdyby udało mi się to wam wyjaśnić, mogłabym sprawić, że pojmiecie Kalifornię i być może coś jeszcze, bo Sacramento to Kalifornia,

a Kalifornia to miejsce, w którym mentalność boomu i swoiście czechowowskie poczucie utraty spotykają się ze sobą w stanie niespokojnego zawieszenia; w którym umysł nachodzi głęboko zagrzebany, lecz nieusuwalny niepokój o to, żeby sprawy ułożyły się tutaj dobrze, ponieważ tutaj, pod tym olbrzymim, wybielonym przez słońce niebem, kończy się nam kontynent.

W 1847 roku Sacramento ograniczało się do ogrodzonej osady z wypalanej cegły, Sutter's Fort, stojącej samotnie pośród prerii; odcięta od San Francisco i morza przez Góry Nadbrzeżne, a od reszty kontynentu przez Sierra Nevada, dolina Sacramento była prawdziwym morzem traw, traw tak wysokich, że wjechawszy w nie, człowiek mógł związać sobie jej osobne kępy nad siodłem. Rok później u podnóża Sierry odkryto złoto i raptem Sacramento było już miastem, miastem, którego mapę mógłby dziś wykreślić we śnie każdy kinomaniak – pylistym kolażem urzędów probierczych, kołodziejów i saloonów. Nazwijmy to fazą drugą. Potem przybyli osadnicy – farmerzy, ludzie, którzy od dwustu lat wędrowali na zachód wraz z granicą, dziwaczne niewydarzone potomstwo, które opuściło Wirginię, Kentucky, Missouri; uczynili Sacramento ośrodkiem rolniczym. Ponieważ ziemia dobrze rodziła, Sacramento stało się w końcu bogatym ośrodkiem rolniczym, a to oznaczało domy w mieście, dilerów Cadillaca, country club. Ten błogi sen Sacramento śniło aż po okolice roku 1950, kiedy coś się stało. A stało się to, że Sacramento zdało sobie sprawę, że nadciąga świat zewnętrzny, szybko i bezwzględnie. Z chwilą przebudzenia Sacramento utraciło, na dobre lub na złe, swój charakter – i częściowo o tym pragnę wam opowiedzieć.

Ale ta zmiana nie jest tym, co zapamiętałam w pierwszej kolejności. Pierwszą rzeczą, jaka mi się przypomina, jest to, jak ganiam z bokserem mojego brata po tych samych płaskich polach, które nasz prapradziadek obsiał, gdy były jeszcze dziewicze; przypominam sobie, jak pływam (aczkolwiek niepewnie, bo byłam niespokojnym dzieckiem, które bało się lejów krasowych i które bało się węży, i być może już wtedy zaczynałam błądzić) w tych samych rzekach, w których pływaliśmy od stulecia – w Sacramento, tak zasobnej w muł, że wystarczyło zanurzyć dłonie na kilka cali, i traciło się je sprzed oczu; w American, której nurt był przejrzysty i wartki, zasilany śniegiem topniejącym na stokach Sierry do lipca, kiedy to rzeka zwalniała, a na jej świeżo odsłoniętych kamieniach w słońcu

wygrzewały się grzechotniki. W Sacramento, American, czasami Cosumnes, bywało że w Feather. W tych rzekach co dzień topiły się nieostrożne dzieci; czytaliśmy o tym w gazetach, jak źle oszacowały nurt albo weszły w lej tam, gdzie American wpada do Sacramento, jak z hrabstwa Yolo ściągnięto braci Berrych do przeczesania rzeki, ale ciał nie odnaleziono.

– Były z daleka – wnioskowała z tych artykułów moja babcia. – Ich rodzice niepotrzebnie puszczali je nad rzekę. Letnicy z Omaha.

To starczało za morał, choć daleko mu było do wiarygodności – dzieci, które znaliśmy, też topiły się w tych rzekach.

Kiedy lato dobiegało końca – kiedy zamykano Targi Stanowe, a upały ustępowały, kiedy zerwano ostatnie pnącza chmielu rosnące wzdłuż traktu przechodzącego w H Street, a nocami w obniżeniach terenu zaczynały się podnosić niskie mgły gruntowe – wracaliśmy do nauki na pamięć „produktów naszych sąsiadów z Ameryki Łacińskiej" i odwiedzin naszych praciotek w niedziele, całych zastępów praciotek, przez niedziele idące w lata. Kiedy dziś myślę o tamtych zimach, myślę o żółtych liściach wiązów pozbijanych w rynsztokach przed episkopalną prokatedrą Świętej Trójcy przy M Street. W Sacramento naprawdę istnieją ludzie, którzy na M Street mówią Aleja Kapitolu, a Trójca doczekała się jednego z tych pozbawionych charakteru nowych budynków, ale możliwe, że w niedzielne poranki dzieci wciąż uczą się tam tego samego:

Pytanie: *Pod jakim względem Ziemia Święta jest podobna do doliny Sacramento?*

Odpowiedź: *Pod względem rodzajów i różnorodności płodów rolnych.*

I myślę o tym, jak rzeki przybierają, jak słucham radia, czekając na wiadomość o spodziewanej wysokości fali kulminacyjnej, i jak się zastanawiam, czy i kiedy, i gdzie tamy zostaną przerwane. W tamtych latach nie mieliśmy tylu tam. Kanały odprowadzające wodę się przepełniały i mężczyźni przez całą noc układali worki z piaskiem. Czasami w nocy gdzieś w górnym biegu dochodziło do przerwania wału; rano rozchodziła się pogłoska, że wysadzili go saperzy, żeby zmniejszyć napór na miasto.

Po deszczach przychodziła wiosna, na jakieś dziesięć dni; przemoknięte pola rozkwitały olśniewającą efemeryczną zielenią (w ciągu dwóch czy

trzech tygodni miały się stać żółte i suche jak języki ognia), a w branży nieruchomości następowało ożywienie. O tej porze roku do Carmel zjeżdżały babki wielu osób; o tej porze roku dziewczęta, które nie zdołały się dostać na studia do Stephens czy do Arizony albo Oregonu, nie mówiąc już o Stanfordzie czy Berkeley, wysyłano do Honolulu na pokładzie Lurline. Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek jeździł do Nowego Jorku, poza kuzynką, która kogoś tam odwiedzała (trudno mi sobie wyobrazić w jakim celu) i donosiła, że sprzedawcy butów w domu handlowym Lord & Taylor są „nieznośnie bezczelni". To, co działo się w Nowym Jorku i Waszyngtonie czy za granicą, w ogóle nie niepokoiło umysłu mieszkańca Sacramento. Pamiętam, jak zostałam zabrana z wizytą do jakiejś starej kobiety, wdowy po właścicielu rancza, która snuła wspomnienia (to preferowany w Sacramento tryb rozmowy) o synu jakichś jej współczesnych.

– Tamten chłopak Johnstonów do niczego nie doszedł – stwierdziła.

Moja mama zgłosiła zdawkowy sprzeciw.

– Alva Johnston – powiedziała – dostał Pulitzera, kiedy pracował dla „New York Timesa".

Nasza gospodyni popatrzyła na nas z niezmąconym spokojem.

– Ale w Sacramento nie doszedł do niczego – stwierdziła.

Przemawiał przez nią właściwy głos mieszkańców Sacramento, który – choć wówczas sobie tego nie uświadamiałam – wkrótce przestanie być słyszany, albowiem wojna dobiegła końca i trwał boom, a w okolicy będzie się rozlegał głos inżyniera przemysłu lotniczego i kosmicznego. WETERANI BEZ PRZEDPŁATY! EKSKLUZYWNY STANDARD, NISKA SKŁADKA FHA!

Później, kiedy mieszkałam w Nowym Jorku, wracałam do Sacramento cztery czy pięć razy do roku (im wygodniejszy był lot, tym bardziej niejasno nieszczęśliwa się czułam, bo takim jak ja ciąży mocno fakt, że pewnie nie zdołalibyśmy pokonać tej trasy pionierskim wozem), starając się dowieść, że wcale nie zamierzałam go opuszczać, ponieważ pod jednym co najmniej względem Kalifornia – ta Kalifornia, o której mówimy – przypomina Eden: zakłada się, że ci, którzy oddalają się od jej błogosławieństw, zostali przepędzeni, wygnani skutkiem jakiejś przewrotności serca. W końcu czy uczestnicy wyprawy Donnera-Reeda, po to, by dotrzeć do Sacramento, nie jedli własnych zmarłych?

Stwierdziłam, że powrót jest trudny, bo jest – trudność polega na tym, że zwykłe wieloznaczności podróży sentymentalnych ulegają powiększeniu. Powroty do Kalifornii nie są jak powroty do Vermont albo do Chicago; Vermont czy Chicago to relatywne stałe, względem których człowiek mierzy własną zmianę. Jedyną stałą Kalifornii mojego dzieciństwa jest tempo, w jakim znika. Przykład: na Świętego Patryka w 1948 roku zabrano mnie, żebym zobaczyła ciało ustawodawcze „w działaniu", co okazało się przygnębiającym doświadczeniem – grupka rumianych deputowanych wystrojona w zielone kapelusze czytała publicznie kawały o Pacie i Mike'u. Do dziś tak właśnie myślę o ustawodawcach – mają zielone kapelusze albo siedzą na werandzie hotelu Senator i wachlują się, podczas gdy wokół nich skaczą wysłannicy Artiego Samisha. (Samish to ten sam lobbysta, który miał powiedzieć: „Earl Warren może i jest gubernatorem stanu, ale w zgromadzeniu ustawodawczym to ja jestem gubernatorem").
W rzeczywistości hotel Senator nie ma już werandy – przekształcono ją w biuro linii lotniczej, tak na wypadek, gdyby puenta była za słaba – a w każdym razie członkowie zgromadzenia ustawodawczego w większości porzucili hotel Senator na rzecz krzykliwych moteli na północ od miasta, gdzie płoną pochodnie *tiki*, a podgrzewane baseny parują pośród zimnej nocy w dolinie.

Jest dziś czymś trudnym odnaleźć Kalifornię; niepokojącym pomyśleć, ile z tego najzwyczajniej wymyślono lub zaimprowizowano; przygnębiającym zdać sobie sprawę, jaki kawał pamięci każdej osoby to żadna prawdziwa pamięć, a tylko ślady cudzej pamięci, historie przekazywane dalej w rozgałęziającej się rodzinnej sieci. Mam na przykład nieblaknąco żywe „wspomnienie" tego, jak prohibicja uderzyła w plantatorów chmielu z okolic Sacramento: siostra plantatora, który znał się z moją rodziną, przywiozła do domu z pobytu w San Francisco futro z norek, po czym gdy usłyszała, że ma je zwrócić, usiadła na podłodze salonu, tuląc do siebie to futro i płacząc. Chociaż przyszłam na świat dopiero rok po zniesieniu prohibicji, ta scena jest dla mnie „prawdziwsza" niż wiele innych, w których sama brałam udział.

Pamiętam pewną podróż do domu, kiedy siedziałam sama w nocnym odrzutowcu z Nowego Jorku i czytałam wersy z wiersza W. S. Merwina, na który natknęłam się w magazynie – wiersza o człowieku, który od dłuższego czasu przebywa w innym kraju i wie, że musi wrócić do domu:

(…) Ale trzeba zrobić to
wkrótce. Już teraz bronię zawzięcie
pewnych naszych wad, których bronić nie sposób.
Obrażam się, gdy mi przypominają; już teraz, gdy zamknę oczy,
nasz język ugina się pod ciężarem takiej obfitości,
jakiej nie ofiaruje nam żadna wspólna mowa, a góry,
nie ma takich nigdzie, ani podobnych szerokich rzek.

Widzicie, w czym rzecz. Chcę wam powiedzieć prawdę, a tymczasem zdążyłam wam opowiedzieć o szerokich rzekach.

Na tym etapie powinno być już jasne, że prawda o tym miejscu jest trudno uchwytna i trzeba tropić ją ostrożnie. Moglibyście pojechać jutro do Sacramento, gdzie ktoś (nie byłby to nikt, kogo znam) pokazałby wam może fabrykę Aerojet-General, które to miejsce, jak mawia się w Sacramento, „ma coś wspólnego z rakietami". Piętnaście tysięcy ludzi pracuje dla Aerojet, niemal wszyscy z importu; żona pewnego prawnika z Sacramento powiedziała mi, na dowód tego, jak otwarte staje się miasto, że zdaje jej się, że poznała jednego z nich na dniu otwartym zakładów w grudniu dwa lata temu. („Strasznie miły, nie powiem – dodała z entuzjazmem. – On i jego żona chyba kupili dom obok Mary i Ala, tak mi się zdaje, i oczywiście tak go poznali"). No więc moglibyście pojechać do Aerojet i stanąć w rozległym holu dla sprzedawców, gdzie kilka tysięcy obwoźnych handlarzy części co tydzień stara się sprzedać swoje towary, i moglibyście spojrzeć w górę na elektryczną tablicę, która zawiera listę wszystkich pracowników Aerojet, ich projekty i lokalizację w danej chwili, po czym moglibyście zadać sobie pytanie, czy byłam może ostatnimi czasy w Sacramento. MINUTEMAN, POLARIS, TITAN, migają lampki, a wszystkie stoliki kawowe są zasłane rozkładami linii lotniczych, jest bardzo współcześnie, bardzo na bieżąco.

Ale mogłabym was zabrać kilka mil dalej, do średnich miast, w których banki nadal noszą nazwy w rodzaju „Bank Alexa Browna", do średnich miast, w których sala restauracyjna w jedynym hotelu nadal ma posadzkę z ośmiokątnych kafelków i zakurzone palmy w donicach, i wielkie wiatraki pod sufitem; do miasteczek, w których wszystko – sklep z nasionami, filia Harvestera, hotel, dom towarowy i główna ulica – nosi tę samą nazwę, nazwisko człowieka, który to miasto wybudował. Kilka niedziel temu byłam w jednym z takich miast, a nawet mniejszym – bez hotelu, filii

Harvestera, bank się spalił – w mieście nad rzeką. Moi krewni obchodzili złotą rocznicę ślubu, było ponad czterdzieści stopni Celsjusza, a goście honorowi siedzieli w sali Rebekah Hall na krzesłach z prostymi oparciami na wprost bukietów z mieczyków. Wspomniałam o wizycie w Aerojet-General kuzynce, którą tam spotkałam i która wysłuchała mnie z pełnym zaciekawienia niedowierzaniem. Która Kalifornia jest tą prawdziwą? Wszyscy się nad tym zastanawiamy.

Spróbujmy się zmierzyć z kilkoma twierdzeniami nie do obalenia, dotyczącymi kwestii, których nie da się swobodnie interpretować. Chociaż Sacramento jest pod wieloma względami najmniej typowym spośród miast Doliny, niemniej jest ono miastem Doliny i w tym kontekście należy je rozpatrywać. Kiedy mówicie „dolina” w Los Angeles, większość ludzi zakłada, że chodzi wam o dolinę San Fernando (niektórzy wręcz mniemają, że macie na myśli Warner Brothers), ale żebyście sobie nie myśleli: nie mówimy o dolinie planów dźwiękowych i miniaturowych rancz, tylko o prawdziwej Dolinie, Dolinie Kalifornijskiej, pięćdziesięciu tysiącach mil kwadratowych, zaopatrujących w wodę rzeki Sacramento i San Joaquin i nawadnianych za pomocą skomplikowanej sieci śluz, zaworów, rowów irygacyjnych i kanałów Delta–Mendota i Friant–Kern.

Sto mil na północ od Los Angeles, w chwili, z którą wypadacie z gór Tehachapi na przedmieścia Bakersfield, opuszczacie południową Kalifornię i wjeżdżacie do Doliny. „Patrzysz po szosie, a ona, prosta na całe mile, sunie ku tobie, z wciąż napływającym czarnym pasem pośrodku, (…) i blask odbija się od białej nawierzchni, tak że tylko ten czarny pas jest wyraźny i sunie ku tobie z sykiem opon, i jeżeli nie przestaniesz się w niego wpatrywać, nie odetchniesz kilka razy głęboko, i nie trzepniesz się mocno po karku, zahipnotyzujesz się” [102].

Robert Penn Warren pisał tak o innej drodze, ale mógłby równie dobrze o przecinającej Dolinę drodze międzystanowej numer 99, trzysta mil z Bakersfield do Sacramento, szosie tak prostej, że jeśli leci się samolotem z jednego miasta do drugiego najprostszą trasą, drogi numer 99 przez cały lot nie traci się z oczu. Krajobraz, przez który biegnie, dla niewprawnego oka nigdy się nie zmienia. Oko mieszkańca Doliny dostrzeże punkt, w którym mile upraw bawełny przechodzą w mile sadzonek pomidorów albo w którym wielkie rancza przemysłowe – Kern County Land, to, co pozostało z DiGiorgio – ustępują prywatnym biznesom (gdzieś na

horyzoncie, jeśli to prywatny interes, dostrzeże się dom i zagajnik dębokrzewów), ale podobne rozróżnienia na dłuższą metę niczego nie wnoszą. Przez cały dzień porusza się tylko słońce, no i wielkie zraszacze Rain Birda.

Raz po raz wzdłuż dziewięćdziesiątki dziewiątki między Bakersfield a Sacramento napotyka się miasta: Delano, Tulare, Fresno, Maderę, Merced, Modesto, Stockton. Niektóre z nich mają obecnie całkiem pokaźne rozmiary, ale i tak w swojej istocie wszystkie są takie same: jedno-, dwu- i trzykondygnacyjne budynki stawiane jedne obok drugich bez przemyślanego planu, tak że dobry butik sąsiaduje z marketami W. T. Granta, wielki Bank of America ma naprzeciw siebie meksykańskie kino. *Dos Peliculas, Bingo Bingo Bingo*. Poza śródmieściem (wymawianym z rozciągnięciem środkowej sylaby, z oklahomskim akcentem, który obecnie przeważa wśród wzorców wymowy w Dolinie) stoją kwartały starych drewnianych domów – farba na ścianach łuszczy się, chodniki popękane, spotykane tu i ówdzie bursztynowe szybki drzwi w ołowianych oprawkach wychodzą na restauracje Foster’s Freeze albo na ekspresową myjnię samochodową czy na biuro State Farm Insurance; jeszcze dalej rozpościerają się centra handlowe i długie na mile szeregi zabudowy podmiejskiej, pastelowe od sidingu z drewna sekwoi, noszące ślady wyraźnie wskazujące na tanie budownictwo – te z nich, które przetrwały pierwszy deszcz. Przybyszowi podróżującemu dziewięćdziesiątką dziewiątką w klimatyzowanym samochodzie (w interesach, jak przypuszczam, bo tej trasy nie wybrałby nigdy turysta jadący do Big Sur czy San Simeon, nie dotarłby nią przecież do tej Kalifornii, którą przyjechał oglądać) te miasta muszą się wydawać tak płaskie, tak zubożałe, że wyobraźnia nie ma się czym karmić. Przywodzą na myśl wieczory spędzone na orbitowaniu wokół stacji benzynowych i pakty samobójcze zawierane w kinach dla zmotoryzowanych.

Ale pamiętajcie:

Pytanie: *Pod jakim względem Ziemia Święta jest podobna do doliny Sacramento?*

Odpowiedź: *Pod względem rodzajów i różnorodności płodów rolnych.*

Droga międzystanowa numer 99 przebiega w rzeczywistości przez najobfitszy i najintensywniej kultywowany obszar rolniczy na świecie, olbrzymią szklarnię na wolnym powietrzu rodzącą plony warte miliard dolarów. Z chwilą kiedy przypominacie sobie o bogactwie Doliny, monochromatyczna płaskość jej miast nabiera dziwnego znaczenia, sugeruje mentalność, jaką niektórzy skłonni byliby uznać za przewrotną. W umyśle mieszkańca Doliny jest coś, co świadczy o prawdziwej obojętności wobec przybysza w jego samochodzie z klimatyzowanym wnętrzem, o niezdolności dostrzeżenia samej jego obecności, nie mówiąc już o myślach czy pragnieniach. Nieprzejednana zaściankowość to godło tych miast. Spotkałam kiedyś kobietę z Dallas, naprawdę czarującą i atrakcyjną, nawykłą do gościnności hiperwyczulenia na formy towarzyskie rodem z Teksasu, od której usłyszałam, że przez cztery lata mieszkania w Modesto, gdzie stacjonował jej mąż, ani razu nikt nie zaprosił jej do siebie w gości. Nikomu w Sacramento historia ta nie wydała się szczególna („Pewnie nie miała tam żadnych krewnych”, powiedział ktoś, komu zdałam relację z tamtej rozmowy), bo też miasta Doliny rozumieją się nawzajem, dzielą ze sobą osobliwą atmosferę. Myślą podobnie i wyglądają podobnie. Odróżniam Modesto od Merced, tyle że ja bywałam w obu miastach, jeździłam tam na tańce; poza tym na głównej ulicy Modesto znajduje się wygięty w podkowę napis:

WODA – DOBROBYT

ZADOWOLENIE – ZDROWIE

W Merced nie ma podobnego napisu.

Powiedziałam, że Sacramento to najmniej typowe spośród miast Doliny, i tak jest – ale tylko dlatego, że jest większe i bardziej różnorodne, tylko dlatego, że ma rzeki i siedzibę zgromadzenia ustawodawczego; jego prawdziwa natura to natura Doliny, jego cnoty to tutejsze cnoty, jego smutek to tutejszy smutek. Latem jest tu równie gorąco, tak gorąco, że powietrze drga, trawa odbarwia się na biało, a żaluzje pozostają zaciągnięte przez cały dzień, tak gorąco, że nadejście sierpnia nie jest nadejściem kolejnego miesiąca, lecz inwazją nieszczęścia; jest tu równie płasko, tak płasko, że ranczo mojej rodziny na niewielkim wzniesieniu, może na stopę wysokim, znane było od ponad stu lat aż po rok obecny jako „ranczo na wzgórzu”. (W tym roku znane jest jako „powstające osiedle mieszkalne”,

ale to już inna część tej historii). Przede wszystkim pomimo napływów z zewnątrz Sacramento zachowuje zaściankowość Doliny.

Aby przyjezdny odczuł tę zaściankowość, wystarczy tylko, że weźmie do ręki egzemplarz jednej z dwóch gazet, porannej „Union” i popołudniowej „Bee”. „Union” jest akurat republikańska i podupadła finansowo, a „Bee” demokratyczna i potężna (DOLINA PSZCZÓŁ!, jak zwykł tytułować swoje reklamy w prasie branżowej ród McClatchych, który jest właścicielem lokalnych wydań „Bee” we Fresno, w Modesto i w Sacramento. STRONI OD WPŁYWU WSZELKICH INNYCH MEDIÓW!), ale w lekturze są bardzo do siebie podobne, a ton, w jakim pisze się w nich o kwestiach najbardziej zaprzątających ich redakcje, dziwi i zdumiewa, i wiele wyjaśnia. „Union” w hrabstwie, gdzie demokraci mają znaczną i solidną przewagę, zżyma się głównie na możliwość przejęcia władzy przez John Birch Society; „Bee”, wierna co do litery testamentowi swojego założyciela, prowadzi wciąż płomienne krucjaty przeciw zjawom, które nieodmiennie zowie „trustami władzy”. Cienie Hirama Johnsona, któremu „Bee” pomogła w objęciu fotela gubernatora w roku 1910. Cienie Roberta La Follette’a [103], któremu „Bee” złożyła Dolinę u stóp w roku 1924. W gazetach wychodzących w Sacramento jest coś, co nijak się ma do tego, jak Sacramento żyje obecnie, perspektywa, której w sposób bardzo wyraźny coś umyka. Jak się dowiaduję, inżynierowie aeronautyki czytają „San Francisco Chronicle”.

Gazety z Sacramento odbijają jednak tylko jak w zwierciadle miejscową osobność, los Doliny, a jest nim zastygnąć w paraliżu pod wpływem przeszłości, z której już nic nie wynika. Sacramento to miasto, które wyrosło na rolnictwie, po czym z osłupieniem skonstatowało, że ziemia miewa bardziej dochodowe zastosowania. (Izba handlowa poda wam dane dotyczące plonów, ale nie zaprzątajcie sobie nimi głowy – tak naprawdę liczy się poczucie, świadomość, że tam, gdzie kiedyś rósł zielony chmiel, dziś stoją domy Larchmont Riviera, że dawne ranczo Whitneya to dzisiaj Sunset City, trzydzieści trzy tysiące domów i grunty country clubu). To miasto, w którym przemysł zbrojeniowy i jego nieobecni na miejscu właściciele raptem stali się najważniejszymi elementami rzeczywistości; miasto, które nigdy nie miało tylu mieszkańców i tylu pieniędzy co teraz, za to straciło swoją rację bytu. To miasto, w którym wielu spośród jego najbardziej wrosłych mieszkańców przeczuwa, że stali się funkcjonalnie nieprzydatni. Stare rody nadal spotykają się tylko we własnym gronie, ale

nawet w tym własnym gronie nie spotykają się już tak często, jak to robiły niegdyś; zwierają szyki, przygotowują się na nadejście długiej nocy, sprzedają prawa przejazdu przez swoje posesje i żyją z dochodów z opłat. Ich dzieci nadal żenią się między sobą, wciąż grają w brydża i wspólnie działają w nieruchomościach. (W Sacramento nie ma innego biznesu, innej rzeczywistości niż ziemia – nawet ja, kiedy mieszkałam i pracowałam w Nowym Jorku, odczuwałam przymus zapisania się na korespondencyjny kurs z gospodarki gruntami miejskimi na Uniwersytecie Kalifornijskim). Ale późną nocą, kiedy lód stopnieje, zawsze znajdzie się jakiś Julian English, który nie bardzo ma do tego serce. Bo na obrzeżach miasta skoszarowano legiony inżynierów lotniczych, którzy odzywają się w swoim dziwacznym protekcjonalnym narzeczu, doglądają swoich dichondr i zamierzają pozostać w tej ziemi obiecanej; którzy wychowują nowe pokolenie urodzonych sacramentan i którym wszystko jedno, naprawdę wszystko jedno, że nie zaproszono ich do klubu Sutter [104]. To sprawia, że człowiek duma do późna w nocy, kiedy stopniał śnieg, powoduje ukłucie w dołku, przynosi podejrzenie, że klub Sutter nie jest mimo wszystko tym samym co kluby The Pacific Union [105] czy The Bohemian [106], że Sacramento to nie miasto przez duże M. Właśnie pośród tego rodzaju pytań podyktowanych zwątpieniem w siebie małe miasta tracą swój charakter.

Opowiem wam historię z Sacramento. Kilka mil za miastem znajduje się posiadłość, ma może sześć czy siedem tysięcy akrów, która początkowo należała do ranczera, ojca jedynaczki. Dziewczyna wyjechała za granicę i poślubiła szlachcica, a kiedy sprowadziła go ze sobą na ranczo, ojciec wybudował im przestronny dom – z salami do gry na instrumentach, oranżeriami, salą balową. Potrzebowali sali balowej, ponieważ podejmowali gości: ludzi z zagranicy, ludzi z San Francisco, urządzali proszone przyjęcia, które ciągnęły się tygodniami, a towarzystwo zwoziły na nie specjalne pociągi. Rzecz jasna, nie żyją od dawna, ale ich jedyny syn, starzejący się i bezżenny, nadal tam mieszka. Nie zamieszkuje domu, ponieważ domu już nie ma. Z upływem lat trawiły go kolejne pożary – znikały kolejne pokoje, kolejne skrzydła. Tylko kominy wielkiej posiadłości wciąż stoją, a jej spadkobierca rezyduje w ich cieniu, żyje samotnie na spalonej ziemi w przyczepie mieszkalnej.

To historia znana mojemu pokoleniu; wątpię, czy będzie znana kolejnemu, dzieciom inżynierów aeronautyki. Kto miałby im ją

opowiedzieć? Ich babki mieszkają w Scarsdale i żadne z nich nie spotkało praciotki. „Stare” Sacramento będzie dla nich czymś barwnym, czymś, o czym przeczytały w „Sunset”. Prawdopodobnie będą przekonane, że to, co widzą, to nie następstwo rewitalizacji, ale stan pierwotny, że obszar Embarcadero ciągnący się wzdłuż rzeki, z miejscami, gdzie przyjemnie robi się zakupy, i fotogenicznymi remizami strażackimi przerobionymi na bary, ma w sobie prawdziwy posmak tego, jak było tu niegdyś. Nic nie przyjdzie im ze świadomości, że w przaśniejszych czasach ulica ta nosiła nazwę Front Street (w końcu miasta nie założyli Hiszpanie) i była miejscem włóczęgów, kościelnych przytułków, w którym w sobotę wieczór pijali sezonowi robotnicy rolni: MISJA ZWYCIĘSKIEGO ŻYCIA, JEZUS ZBAWIA, ŁÓŻKA 25 ¢ ZA NOC, INFORMACJE O UPRAWACH TUTAJ. Utracą prawdziwą przeszłość i zyskają tę wyprodukowaną, i nie zdołają się dowiedzieć, po prostu nie będą miały skąd, dlaczego na siedmiu tysiącach akrów za miastem stoi samotna przyczepa.

Ale być może uzurpacją z mojej strony jest zakładać, że coś tracą. Po namyśle zastanawiam się, czy nie jest aby tak, że wcale nie opowiadam o Sacramento, ale o rzeczach, które tracimy, i o obietnicach, które łamiemy w miarę, jak przybywa nam lat; być może nieświadomie odgrywam rolę Małgorzatki z wiersza:

Małgorzatko, czy cię smuci,
Że las liście złote zrzucił?
(…)
Że życie jest własną żałobą;
Że płacząc – płaczesz nad sobą [107].

1965

List z raju, 21°19′N, 157°52′W

Ponieważ byłam zbyt długo zmęczona i za bardzo kłótliwa, a także dlatego, że zbyt często towarzyszył mi strach przed migreną i porażką, i przed coraz krótszymi dniami, wysłano mnie, krnąbrne trzydziestojednoletnie dziecko, na Hawaje, gdzie zima nie dociera i gdzie nikt nie ponosi porażki, a mediana wieku to dwadzieścia trzy lata. Tam mogłam się stać nową kobietą, tam, pośród sprzedawców polis na życie na wyjazdach motywacyjnych, gdzie firmy obiecują im zarobki rzędu miliona dolarów rocznie, shrinersów [108] i rozwódek z San Francisco, pośród sekretarek, które postanowiły zaszaleć, dziewczyn w sznurkowych bikini i chłopców na tropie idealnej fali, dzieci, które znały dobrze prawidła niefrasobliwej ekonomii, pozwalającej im kupić skuter Hondy albo deskę za dolara z góry i dwa pięćdziesiąt tygodniowej raty, by następnie je porzucić, dzieci, którym nigdy nie kładziono do głów tego, co powtarzano mnie – „was, panny, chłopcy wyzłoceni, jak kominiarzy śmierć w proch zmieni” [109]. Miałam leżeć pod tym samym słońcem, dzięki któremu Doris Duke [110] i Henry Kaiser [111] nigdy nie tracili nadziei. Miałam się bawić w sączenie mrożonych daiquiri i nosić kwiaty we włosach, jakbym mogła uznać za niebyłe dziesięć lat swojego życia. Miałam się przekonać, że tuż za stacją końcową nie zwieszę głowy w rozpaczy, lecz zadrę ją wysoko, by podziwiać Diamond Head [112].

Pojechałam, nieufna turystka. Nie wierzę, by historie opowiadane przez urocze tancerki hula domagały się pogłębionego studium. Nie usłyszałam słowa po hawajsku, nawet – co bardzo ciekawe – zwykłego *aloha*, które dokładnie oddawało wszystko to, co miałam do powiedzenia. Brak mi wystarczającej zdolności dziwienia się i serca do opowiadania nienowych opowieści, więc nie będę was ponownie raczyć nużącymi obrazkami mieszkańców Midwestu w koszulach ze sklepów z pamiątkami i zwiedzających okolice wdów w muumuu [113] i sztucznych perłach,

widowisk *Kodak Hula Show*, *Sunday Night Luau* czy *The Schoolteacher and the Beach Boy*. Zatem teraz, kiedy już sobie wyjaśniliśmy, że pisanie o raju, prawdziwym czy sfabrykowanym, nie leży w moim usposobieniu ani trochę, czeka mnie trud opowiedzenia wam, jak i dlaczego właściwie Hawaje mnie poruszają, ujmują, zasmucają i niepokoją, i działają mi na wyobraźnię; co takiego z ich powietrza pozostanie ze mną jeszcze długi czas po tym, jak zapomnę zapachy *pikake* i ananasa, i szum palm w podmuchach pasatu.

Być może z racji tego, że dorastałam w Kalifornii, Hawaje silnie nawiedzały moje fantazje. Jako dziecko siadałam na kalifornijskich plażach i wyobrażałam sobie, że widzę Hawaje, pewne migotanie przy zachodzie słońca, ledwie dostrzegalną nieregularność, którą wypatrywałam, intensywnie mrużąc oczy. Zastanawiające w tej fantazji było to, że nie miałam bladego pojęcia, jak rozpoznać Hawaje, gdybym faktycznie je dostrzegła, ponieważ w moim dziecięcym umyśle istniały trzy odległe od siebie wizje Hawajów, między którymi nie widziałam punktów zbieżnych.

Po pierwsze te Hawaje, które pokazano mi w atlasie 7 grudnia 1941 roku, pastelowe punkciki, oznaczające wojnę i wyjazd ojca, i prowizoryczne Gwiazdki w wynajmowanych pokojach w pobliżu baz Sił Powietrznych, i to, że nic już nie miało być takie samo. Potem, kiedy wojna się skończyła, były kolejne Hawaje, wielka landrynkowa góra wyrastająca z Pacyfiku, która przedstawiała mi się w gazetach na fotografiach dobrze odżywionych dilerów aut Lincoln-Mercury w trakcie relaksu obok pływaka łodzi przy hotelu Royal Hawaiian albo schodzących na brzeg *en famille* z pokładu Lurline; to były Hawaje, gdzie starsze kuzynki mogłyby spędzać ferie zimowe, ucząc się surfboardingu (tak bowiem nazywano ten sport w tamtych prostszych czasach, i ograniczał się on wyłącznie do Hawajów), dokąd matki chrzestne mogłyby się udawać, by zażyć odpoczynku i nauczyć się całego tekstu *My Little Grass Shack in Kealakekua, Hawaii*. Nie pamiętam, ile bezsennych nocy spędziłam, słuchając, jak ktoś na dole śpiewa *My Little Grass Shack in Kealakekua, Hawaii* [114], ale pamiętam, że nie łączyłam tamtych Hawajów z piosenki z Hawajami z 7 grudnia 1941 roku.

No i były jeszcze, od zawsze, te trzecie Hawaje – miejsce, które zdawało się nie mieć nic wspólnego ani z wojną, ani z matkami chrzestnymi na wakacjach, tylko z przeszłością i ze stratą. Ostatnim członkiem mojej rodziny w prostej linii, który kiedykolwiek mieszkał na Hawajach, był

prapradziadek, nauczający tam jako młody misjonarz w 1842 roku; dano mi do zrozumienia, że życie na Wyspach, jak na Zachodnim Wybrzeżu nazywaliśmy Hawaje, od tamtego czasu chyliło się tylko coraz bardziej ku upadkowi. Ciotka wyszła za syna zamożnej rodziny, która na Wyspach siedziała od pokoleń, ale teraz nawet nie jeździli tam w odwiedziny; „Nie od czasów pana Kaisera", mówili, jak gdyby budowa hotelu Hawaiian Village na kilku akrach osuszonej równiny zalewowej nieopodal fortu De Russy jednym ruchem ramienia dźwigu zmiotła ich dzieciństwo i dzieciństwo ich rodziców, na zawsze skaziła pewien podzwrotnikowy sad, w którym we wspomnieniu o rozmazanych miękko konturach co wieczór zastawiano stół na czterdzieści osiem osób na wypadek, gdyby ktoś miał wpaść. Tak jakby Henry Kaiser osobiście skazał ich na dokonywanie żywota na wygnaniu w Kalifornii w towarzystwie zaledwie symbolicznych pamiątek, kalebas, rzeźbionych krzeseł pałacowych i sreber na czterdzieści osiem osób, i brylantu, który należał do królowej Lili'uokalani [115], i ciężkich obrusów wyszywanych we wszystkie te długie złote popołudnia, które przeminęły.

Rzecz jasna, kiedy podrosłam, zrozumiałam, że ciężar frazy „Henry Kaiser" jest bardziej symboliczny aniżeli dosłowny, ale nawet wówczas nie rozumiałam sedna sprawy, wyobrażałam sobie, że to po prostu wysyp hoteli i tanich lotów za sto dolarów, który zaburzył stary porządek, zdołał unieważnić tamte Hawaje z pierwszego wspomnienia – Hawaje, dla których wojna była wypadkiem historii, anomalią bez znaczenia zarówno dla łagodnej idylli, którą zapewne była przeszłość, jak i dla frenetycznego peanu na cześć wypoczynku klasy średniej, któremu podporządkowana jest teraźniejszość. W ten sposób Hawaje rozumiałam kompletnie opacznie, bo jeśli jakaś jedna aura przesyca Honolulu, jakiś jeden nastrój nadaje światłom gorączkowy blask, a różowym katamaranom rozdzierającą niedorzeczność, i narzuca się wyobraźni tak, jak żaden raj nie byłby w stanie, tym czymś jest nieodparcie dający się we znaki nastrój wojny.

Zaczyna się, rzecz jasna, od tego, co pamiętamy.

> Hawaje to nasz Gibraltar i nieomal nasze wybrzeże Kanału. Załogi samolotów, o wzroku wyostrzonym w całorocznym przezroczu błękitnych pacyficznych dni, bez trudu trzymają straż nad olbrzymim kręgiem wód, którego środek stanowią wyspy. Według ekspertów, gdy

> Hawaje czuwają, niespodziewany atak na nas od strony Azji jest w zasadzie niemożliwy. Tak długo, jak sprawujemy kontrolę nad wielką bazą marynarki wojennej w Pearl Harbor, ledwie kawałek drogi z Honolulu, amerykańskie okręty i łodzie podwodne mogą z największą łatwością przeprowadzać swe niepacyfistyczne misje. Pearl Harbor to jedna z największych, o ile nie największa morska forteca na świecie. Pearl Harbor dysponuje ogromnymi rezerwami paliwa i jedzenia, a także pobrzękującymi szpitalami, w których leczy się wszelkie zadane stali obrażenia. To jedyne pewne schronienie na całym wielkim Pacyfiku, zarówno dla okrętów, jak i dla ludzi.
>
> John W. Vandercook, „Vogue”, 1 stycznia 1941

Dzisiaj, dwadzieścia pięć lat po fakcie, każdego popołudnia jasnoróżowe łodzie wyruszają z Kewalo Basin w stronę Pearl Harbor. Z początku jest jakiś podejrzany rodzaj świętowania w tej perspektywie wycieczki w pogodny dzień, z pasażerami uskarżającymi się jedni drugim na kierowników ich wczasów, zakwaterowane i jedzenie w Canlis’ Charcoal Broiler. Wokół łodzi chłopcy nurkują za monetami. „Hej, szefie – krzyczą. – Rzuć pan monetę”. Bywa, że kobieta rzuca banknot, a potem się oburza, kiedy ich brązowe ciała chwytają go w powietrzu i drwią sobie z jej oczekiwań. Kiedy łódź opuszcza basen portu, chłopcy płyną do brzegu z ustami wypchanymi pieniędzmi; dzieci na pokładzie grymaszą, że wolałyby się pobawić na plaży, a kobiety w nowych luźnych sukienkach z Liberty House i resztkach girland na szyjach sączą sok z papai i przeglądają broszurkę reklamowaną jako *Idealna pamiątka – historia 7 grudnia na zdjęciach.*

W końcu to dobrze znana historia, ta, której mamy wysłuchać (znana nawet dzieciom, bo rzecz jasna oglądały Johna Wayne’a i Johna Garfielda w Pearl Harbor, spędziły niezliczone deszczowe popołudnia przed telewizorem, w którym Kirk Douglas i Spencer Tracy oraz Van Johnson [116] głośno zastanawiają się, dlaczego z Hickam dziś nie odpowiadają), i nikt szczególnie nie uważa na to, co opowiada przewodnik. Dziś trzcina cukrowa gnie się na wietrze tam, gdzie Nevada osiadła na mieliźnie. Na Ford Island czyjaś próżniacza sylwetka ćwiczy umieszczanie piłki na

greenie. Właściciel koncesji rozlewa więcej soku z papai. Trudno sobie przypomnieć, co przyjechaliśmy tu wspominać.

I wtedy coś się wydarza. Dwukrotnie wybierałam się po południu tą jaskraworóżową łodzią do Pearl Harbor, a mimo to nie dowiedziałam się tego, czego zamierzałam się dowiedzieć, a mianowicie, jak inni ludzie reagują na dramat po ćwierćwieczu. A nie dowiedziałam się tego, ponieważ przychodził taki moment, w którym zaczynałam płakać i przestawałam dostrzegać kogokolwiek. Rozpłakałam się nieopodal miejsca, w którym Utah spoczywa w głębokiej na pięćdziesiąt stóp wodzie – w wodzie, która bynajmniej nie jest barwy ani turkusowej, ani jasnoniebieskiej, lecz szarej szarością wód każdej zatoki – i przestałam dopiero, kiedy różowa łódź zostawiła za sobą Arizonę albo raczej jej widoczne fragmenty – zardzewiałą wieżę artyleryjską wystającą ponad szarą taflę wody i flagę wciągniętą na maszt (Marynarka Wojenna uznaje wrak Arizony za okręt w czynnej służbie, z pełnym stanem załogi – tysiąc stu dwu ludzi z czterdziestu dziewięciu stanów). Jedyne, co wiem o reakcji innych, sprowadza się do tego, co mi powiedziano: że przy Arizonie wszyscy milczą.

Kilka dni temu ktoś młodszy ode mnie tylko o cztery lata powiedział mi, że nie rozumie, dlaczego zatopiony statek tak mnie porusza, że to zamach na Johna Kennedy’ego, a nie Pearl Harbor, był tym wydarzeniem, które odcisnęło niezatarte piętno na pamięci „naszego pokolenia”. Mogłam powiedzieć mu jedynie, że należymy do innych pokoleń, i nie opowiedziałam mu tego, co pragnę opowiedzieć wam, o miejscu w Honolulu jeszcze cichszym niż wrak Arizony – o Narodowym Cmentarzu Wojny na Pacyfiku. Wszyscy tam pochowani mają po jakieś dwadzieścia lat, chłopaki pod darnią w kraterze wygasłego wulkanu znanego jako Punchbowl, dwadzieścia i dziewiętnaście, i osiemnaście, a czasami nawet jeszcze mniej. SAMUEL FOSTER HARMON, głosi napis na jednym z nagrobków. PENSYLWANIA. SZER. UZUP. 27 PŁK. 5 DYW. PIECHOTY MORSKIEJ. II WŚ. 10.04.1928–25.03.1945. Samuel Foster Harmon zginął na Iwo Jimie piętnaście dni przed swoimi siedemnastymi urodzinami. Niektórzy z nich zginęli 7 grudnia, inni po tym, kiedy z pokładu Enoli Gay zrzucono już bombę na Hiroszimę, śmierć innych pokrywa się z datą desantów na Okinawie, Iwo Jimie, Guadalcanal, a cały jeden rząd kwater, tak mi ktoś powiedział, należy do poległych na plaży wyspy, o której już

nie pamiętamy. W przepastnym zapadłym kraterze ponad Honolulu znajduje się dziewiętnaście tysięcy grobów.

Bywałam tam wcale niemało. Jeżeli podchodziłam na brzeg krateru, widziałam stamtąd miasto, spoglądałam z góry na Waikiki i zatokę, i zapchane arterie komunikacyjne, ale to miejsce było ciche i znajdowało się w lesie deszczowym dostatecznie wysoko, by przez większość dnia utrzymywała się tam delikatna mżawka. Któregoś popołudnia jakaś para złożyła trzy *lei* [117] z kwiatów plumerii na grobie chłopca z Kalifornii, który zginął w wieku dziewiętnastu lat w 1945 roku. Kobieta przez długą chwilę tylko stała nad nagrobkiem, zaciskając ręce na wieńcu, więc kwiaty zdążyły już zwiędnąć, zanim w końcu położyła je na płycie. Zasadniczo potrafię się bardzo dystansować wobec śmierci, ale sporo myślę o tym, co można pamiętać po dwudziestu jeden latach z chłopca, który zginął jako dziewiętnastolatek. Nie widziałam tam już nikogo poza mężczyznami koszącymi trawę i kopiącymi nowe groby, tym razem na ciała przywożone z Wietnamu. Groby napełnione w zeszłym tygodniu i tydzień wcześniej, i nawet te z zeszłego miesiąca, nie mają jeszcze nagrobków, a jedynie plastikowe karty identyfikacyjne, spływające teraz mżawką i ochlapane błotem. W tej części krateru ziemia jest zryta i rozdeptana, ale tu, wewnątrz chmury deszczowej, trawa rośnie szybko.

Krater znajduje się nie tak daleko od Hotel Street, która dla Honolulu jest tym, czym Market Street jest dla San Francisco – rozświetloną nocną ulicą w mieście portowym. W tamtym tygodniu w Honolulu cumował lotniskowiec Coral Sea, stu sześćdziesięciu wojskowych z Wietnamu spędzało w mieście urlop wypoczynkowo-rekonwalescencyjny, stacjonowało tu trzy i pół tysiąca żołnierzy piechoty morskiej mających wyruszyć na Okinawę i dalej do Wietnamu (stanowili część reaktywowanej 5 Dywizji Piechoty Morskiej, w której szeregach walczył, jak pamiętacie, szesnastoletni Samuel Foster Harmon), a prócz tego obecny był zwykły stan osobowy baz Pearl, Hickam oraz H. M. Smith, fortów Shafter i De Russy, bazy lotniczej Bellows, bazy lotnictwa marynarki wojennej Kaneohe oraz koszar Schofield – i prędzej czy później wszyscy oni napływali do centrum, na Hotel Street. Zawsze. Marynarka opróżniła domy z czerwoną poświatą w oknach pod koniec drugiej wojny światowej, ale Hotel Streets tego świata nie różnią się w zauważalny sposób jedna od drugiej z wojny na wojnę. Dziewczęta z kwiatami hibiskusa we włosach przechadzają się leniwie przed salonami gier, japońskimi salami bilardowymi i salonami

masażu. POSZUKIWANE DZIEWCZYNY DO MASAŻU, można przeczytać na ogłoszeniach. TEN PRZYJEMNY NOWY DRESZCZYK. Wróżki siedzą i opiłowują sobie paznokcie za papierowymi zasłonami w kwiaty. Chłopcy z obsady rewii *Boys Will Be Girls* wystają na chodniku w wieczorowych sukniach z lamy, paląc papierosy i lustrując marynarzy.

A marynarze się upijają. Wszyscy ci na Hotel Street też sprawiają wrażenie dwudziestoletnich, dwudziesto- i dziewiętnasto-, i osiemnastoletnich, a także pijanych, bo teraz nie są już w Des Moines, ale jeszcze nie są w Da Nang [118]. Zapuszczają żurawia do lokali z fordanserkami i klubów ze striptizem, przed którymi wiszą wizerunki Lili St. Cyr i Tempest Storm (Lili St. Cyr występowała w Kalifornii, a Tempest Storm w Baltimore, ale mniejsza z tym – w sobotni wieczór w Honolulu wszystkie tancerki wyglądają tak samo), łowiąc po kieszeniach ćwierćdolarówki na „film artystyczny" na zapleczu lokalu sprzedającego „Sunshine", „Nude" i wszystkie te książki z kobietami skrępowanymi łańcuchem na papierowych okładkach. Laminują zdjęcia. Nagrywają swoje głosy („Cześć, serce, dziś wieczorem jestem w Honolulu") i zagadują dziewczyny z kwiatem hibiskusa we włosach.

Ale przeważnie tylko coraz bardziej się upijają i rozpychają na chodnikach, unikając funkcjonariuszy Hawajskiego Patrolu Sił Zbrojnych i rzucając sobie nawzajem wyzwania z tatuażem. Z demonstracyjną brawurą rozrywają sobie koszule na piersi, będąc jeszcze pół przecznicy od salonu tatuażu Lou Normanda, a potem siedzą z beznamiętnie szklącym się wzrokiem, kiedy igła znakuje ich sercem albo kotwicą, albo jeżeli są wyjątkowo dziani albo wyjątkowo pijani – repliką wizerunku Chrystusa na krzyżu z czerwonymi stygmatami. Ich kumple cisną się w grupkach na zewnątrz szklanego boksu, przyglądając się czerwienieniu skóry, a przez cały ten czas z baru country-westernowego na rogu rozbrzmiewa *King of the Road*, rozlewając się na całą Hotel Street. Piosenki się zmieniają, chłopaki przychodzą i odchodzą, natomiast Lou Normand działa „od trzydziestu lat w tym samym miejscu".

Być może nie ma nic zaskakującego w tym, że tam, gdzie ponoszono słynne klęski, tam, gdzie znajdują się groby siedemnastolatków, i w centrum portowego miasta obecny jest nastrój wojny. Ale ten nastrój panuje nie tylko tam. Wojna to sama materia życia na Hawajach, na stałe zakorzeniona w emocjonalności i w gospodarce Wysp, podporządkowująca

sobie nie tylko tutejszą pamięć, ale też tutejszą wizję przyszłości. Każda rozmowa w Honolulu w pewnym momencie odsyła nas do wojny. Ludzie przesiadują w swoich ogrodach na stokach Makiki Heights wśród pozłotek kalifornijskich i jaśminu gwiazdkowego, spoglądają w dół w kierunku Pearl Harbor i nalewając sobie kolejnego drinka, opowiadają o tamtym poranku. W radiu przy mikrofonie siedział Webley Edwards, to pamiętają, a to, co wtedy powtarzał raz za razem, brzmiało: „To jest atak powietrzny, kryć się, to nie są ćwiczenia!”. To żadna nadzwyczajna kwestia – czymś nadzwyczajnym jest natomiast przechować ją w pamięci. I pamiętają, jak ludzie wjeżdżali na wzgórze i tam parkowali, żeby patrzeć na pożary, tak samo jak robią to dzisiaj, kiedy nadciąga tsunami. Pamiętają oddziały ratunkowe w aulach szkół i to, jak starsze dzieci wysyłano z nienaładowaną bronią do pilnowania zbiorników wodnych. Śmieją się z prób przejechania przez wzgórze Pali we mgle po zaciemnieniu następującym po dziewiątej wieczorem i z tego, jak ich żony, jadąc do YWCA [119], brały ze sobą grube książki i duże chustki do nosa i na ich przykładzie pokazywały dziewczętom z odleglejszych wysp, jak pościelić szpitalne łóżko.
I pamiętają też, że na całe dwie mile wzdłuż Waikiki były tylko trzy hotele – Royal dla marynarki wojennej, Halekulani dla mediów i Moana. Właściwie udaje im się pozostawić człowieka z niejasnym wrażeniem, że na Waikiki ostatnim razem byli w 1945, może w 1946 roku.

– Przypuszczam, że Royal się nie zmienił – usłyszałam od jednego z mieszkańców Honolulu, który mieszka o osiem minut drogi od Royal.

– Halekulani… – powiedziała inna osoba w taki sposób, jakby ta nazwa dopiero co zamigotała w jej pamięci i nie była pewna, czy to miejsce nadal istnieje. – Tam się chodziło na całkiem fajne drinki.

Wszyscy byli wtedy młodsi, a kiedy o tym opowiadają, pewien blask opromienia tamte lata.

Po czym, jeżeli biorą udział w sprzedawaniu Hawajów – a na Hawajach pozostało bardzo niewielu ludzi, którzy nie chcą widzieć tego, że biorą udział w ich sprzedawaniu – tłumaczą, dlaczego przyszłość Hawajów jest tak jasna. Pomimo tego, co można by uznać za klasyczny przykład gospodarki pozornej oszczędności, opartej początkowo na wojsku, później na turystyce, a wreszcie na dotowanym cukrze, przyszłość Hawajów jest jasna, ponieważ Hawaje to „węzeł Pacyfiku”, a wyrażenie to słyszy się w Honolulu tylko nieco rzadziej niż „w naszym wspaniałym duchu *aloha*”. Wskazują, że „Hawaje to węzeł Pacyfiku, jeżeli chodzi o przemysł

turystyczny, no a do tego Hawaje to węzeł Pacyfiku, jak chodzi o…”. Tu urywają i bywa, że biorą do ręki szklankę i wpatrują się w nią, zanim na nowo podejmą wątek.

– A tak szczerze, jeżeli rzeczy ułożą się inaczej, to jest, chcę powiedzieć, że jeżeli s y t u a c j a ułoży się inaczej, wtedy też będziemy we właściwym miejscu.

Możliwe, że nigdzie indziej na terenie Stanów Zjednoczonych ewentualności wojny nie przyjmuje się z takim spokojem.

Oczywiście nader łatwo jest sugerować przyczyny, twierdzić, że koniec końców Hawaje mają już za sobą jedną wojnę, albo wykazywać, że Honolulu nawet w tej chwili znajduje się w strefie działań wojennych, przesiąknięte wojskowym słownictwem, dogłębnie zaangażowane w wojenne rzemiosło. Ale chodzi tu o coś, co sięga jeszcze głębiej. Wojna na Hawajach spotyka się z osobliwie niejednoznacznym odbiorem dlatego, że przeważająca część ich ludności postrzega ją, choćby nawet nieświadomie, jako siłę na rzecz dobra, instrument społecznego postępu. No i to przecież właśnie druga wojna światowa przetrąciła kręgosłup cukrowego feudalizmu, utorowała drogę gospodarce umów handlowych i osiadłemu społeczeństwu, roztrzaskała na zawsze przyjemny, acz niepokojący świat kolonii, w którym garstka rodów sprawowała kontrolę nad wszystkim, co Hawaje robiły, gdzie kupowały, jak eksportowały swoje towary, kto miał wstęp, jaką miał swobodę ruchu i kiedy zostanie sprzedany.

Mamy, większość z nas ma, pewne wyobrażenie o Hawajach sprzed wojny. Słyszeliśmy wyrażenie „wielka piątka” i mamy ogólne pojęcie o tym, że na Hawajach pewne rodziny zgromadziły niezmiernie dużo pieniędzy i władzy i że te pieniądze i władzę mają przy sobie od bardzo dawna. Rzeczywistość władzy na Hawajach przedstawiała się banalniej i zarazem znacznie subtelniej od tego, jak można by ją sobie wyobrażać. Wielka piątka firm – C. Brewer, Theo H. Davies, American Factors, Castle & Cooke i Alexander & Baldwin – zaczynała jako „faktorzy” plantatorów trzciny cukrowej; w praktyce stanowiła zarząd plantacji. Wraz z upływem lat wielka piątka rodzin i kilka poza nią – choćby tacy Dillinghamowie, potomkowie żeglarza rozbitka, który zbudował pierwszą hawajską kolej żelazną – pożeniła się między sobą, zasiadając jedni w radach nadzorczych drugich, poszli w inwestycje w żeglugę, ubezpieczenia i fundusze,

ustanawiając tym samym dobroduszną oligarchię niepodobną żadnej na kontynencie.

Przez bez mała pół wieku ten powiązany dyrektoriat rozszerzył swoje wpływy, podporządkowując sobie każdą dziedzinę życia na Hawajach, a swoją władzę mógł sprawować w trybie natychmiastowym i osobiście. Na przykład American Factors posiadali (i posiadają nadal) największy dom handlowy Hawajów Liberty House. W 1941 roku właściciele sieci Sears & Roebuck, działając potajemnie przez pośredników, kupili grunt pod sklep na przedmieściach Honolulu. Otworzyli wreszcie swój sklep, ale dopiero po tym, jak prezes Searsa Robert E. Wood zagroził, że kupi własny statek; zastanawiano się, czy Matson Navigation, kontrolowana przez Castle & Cooke i Alexander & Baldwin, zgodzi się przewozić towar komuś, kto w tak bezceremonialny sposób próbuje konkurować z przedsiębiorstwem wielkiej piątki.

Tak wyglądały Hawaje. A potem przyszła druga wojna światowa. Wyspiarscy chłopcy wyjechali na front i wrócili z nowymi pomysłami. Wszedł kapitał z kontynentu mimo całego sprzeciwu wyspiarzy. Po drugiej wojnie świętej pamięci Walter Dillingham mógł przybyć na wysłuchanie publiczne ze swojego domu na Diamond Head, by rzucić pod adresem Henry'ego Kaisera najwymowniejszy epitet przedwojennych Hawajów – „turysta" – i przekonać się, że nawet dla połowy audytorium jego wydźwięk nie jest już czytelny. Nawet jeśli nie w rzeczywistości, to pod względem mentalnym druga wojna światowa ze wszystkich zrobiła Dillinghamów, a każdy mieszkaniec Hawajów, który wciąż miał problemy z dostrzeżeniem tego faktu, słyszał to stale od polityków i liderów związków, i od obserwatorów z kontynentu.

Skala zmiany bywała, rzecz jasna, nierzadko przesadzona, ze względów już to sentymentalnych, już to strategicznych, ale to prawda, że Hawaje nie są dziś tym, czym były kiedyś. Wprawdzie w Honolulu nadal jest tylko jeden „Lowell", a mianowicie Lowell Dillingham, nadal tylko jeden „Ben", a jest nim jego brat – jednak Ben Dillingham sromotnie przegrał walkę o miejsce w Senacie Stanów Zjednoczonych z nisejem [120] Danielem Inouye [121]. (W latach dwudziestych, kiedy komitet Kongresu zwrócił się do ojca Bena Dillinghama i do Henry'ego Baldwina z pytaniem, dlaczego tak niewielu Japończyków głosuje na Hawajach, tamci byli w stanie zasugerować jedynie, że widocznie Japończycy otrzymali z Tokio instrukcje, by się nie rejestrować). W konserwatywnych kręgach Honolulu

panuje silne przekonanie, że wielka piątka „ugięła się” przed żądaniami związkowców, ale Jack Hall, hardy lider ILWU [122], niegdyś skazany na mocy Aktu Smitha za nawoływanie do obalenia rządu Stanów Zjednoczonych siłą i przemocą, obecnie zasiada w radzie Hawajskiego Biura Turystyki i chwali panie z Outdoor Circle za wysiłki, jakie wkładają w „zachowanie tego piękna, jakim są Hawaje”. I Chinn Ho [123], który jako uczniak zapisywał notowania dla maklera z centrum miasta, teraz jest właścicielem nie tylko nieruchomości wartych kilkadziesiąt milionów dolarów, ale także domu tamtego maklera, na Diamond Head, tuż obok posiadłości Bena Dillinghama.

– Rzecz w tym – powiedziała mi siostrzenica maklera – że chciał go posiadać już bodaj jako czternastolatek.

Ale być może nie ma sposobu, który pozwoliłby zrozumieć tę zmianę równie dobitnie jak wizyta w szkole Punahou – założonej przez misjonarzy „dla ich dzieci i dzieci ich dzieci”, przy czym jeszcze całkiem niedawno traktowano tak sformułowaną deklarację celu raczej dosłownie. Wystarczy przekartkować stare podręczniki używane w Punahou, żeby nabyć podstawowe pojęcie o istocie hawajskiej oligarchii, ponieważ rok za rokiem pojawiają się w nich te same nazwiska i są to te same nazwiska, które spotyka się wyryte w kamieniu albo ułożone zachowawczymi mosiężnymi literami w różnych punktach tego, co Honolulu nazywa Ulicą, czyli Merchant Street, na tych narożnych budynkach, gdzie swoje biura ma wielka piątka i w których zawierana jest większość transakcji na Wyspach. W 1881 roku któryś z Alexandrów wygłosił wykład dla dyplomantów, a któryś z Dillinghamów odczytał wiersz napisany na tę okazję; na uroczystości wręczenia dyplomów w roku 1882 któryś z Baldwinów mówił o „chińskiej imigracji”, tytuł przemowy któregoś z Alexandrów brzmiał *Labor ipse voluptas*, a któregoś z Bishopów – *Blask słoneczny*. A chociaż Hawajczycy z wyższych kast zawsze koegzystowali z przedstawicielami białej oligarchii, i nawet zawierali z nimi małżeństwa, to kiedy w Punahou przychodził czas na klasowe wróżby, ich koledzy i koleżanki zwykle widzieli ich, jak „grają w jednym zespole”.

Nie chodzi o to, że Punahou nie jest już szkołą elit władzy; owszem, jest nią. „W Punahou zawsze będzie miejsce dla dzieci, które tu przynależą”, zapewnił absolwentów w niedawno wydanej broszurze doktor John Fox, dyrektor od 1944 roku. Jednak o ile w roku 1944 do szkoły uczęszczało tysiąc stu uczniów, a mediana ich ilorazu inteligencji wynosiła 108, o tyle

teraz jest to odpowiednio trzy tysiące czterysta i 125. Jeżeli kiedyś wśród przyjętych Azjaci stanowili dziesięć procent, obecnie ten współczynnik sięga trzydziestu. I tak przed nową biblioteką Punahou imienia Cooke'a, gdzie pieczę nad archiwami trzyma praprawnuczka wielebnego Hirama Binghama, wśród kwiatów plumerii opadłych na schody, siedzą mali Chińczycy z książkami w torbach z samolotu linii Pan American.

„John Fox to raczej kontrowersyjna postać, pewnie pani zauważyła", mówią dziś czasem absolwenci ze starych rodzin, ale nie wyjaśniają, na czym dokładnie owa kontrowersyjność polega. Być może ze względu na wytrwałość, z jaką Hawaje sprzedają swój wizerunek współczesnego tygla kulturowego, cały obszar stosunków rasowych traktowany jest w rozmowach ostrożnie.

– Nie powiedziałabym, że mieliśmy tu dyskryminację – tłumaczyła mi taktownie pewna mieszkanka Honolulu. – Powiedziałabym raczej, że żyliśmy tu we wspaniałej, wspaniałej atmosferze konkurencji.

Inna po prostu wzrusza ramionami.

– To coś, o czym media zwyczajnie nie piszą. Azjaci są… może nie od razu dyskretni, ale nie są jak Murzyni [124] i Żydzi, nie pchają się tam, gdzie ich nie chcą.

Nawet wśród tych, którzy na Wyspach uchodzą za liberałów, kwestia rasy – w oczach każdego, kto ostatnie wyczulone na nią lata spędził na kontynencie – podejmowana jest z osobliwą i cokolwiek rozbrajającą prostodusznością.

– Jak najbardziej mamy tu osoby, które znają się z Chińczykami na stopie towarzyskiej – oznajmiła mi pewna kobieta. – Goszczą ich u siebie. Taki, na przykład, wuj mojej znajomej ciągle gości w domu Chinna Ho.

Mimo że wypowiedź tę wiele łączy z deklaracją w rodzaju „niektórzy z moich najbliższych znajomych to Rothschildowie", przyjęłam ją w takim samym duchu, z jakiego wyrosła, i podobnie zachowałam się wobec prymitywnego progresywizmu tutejszej nauczycielki, która idąc ze mną korytarzem szkoły, zaznajamiała mnie z cudami integracji rasowej w nauczaniu, jakie przyniosła druga wojna światowa.

– Proszę spojrzeć – poleciła mi znienacka, chwytając za rękę śliczną małą Chinkę i obracając ją w moją stronę. – Przed wojną by tego pani nie zobaczyła. Proszę spojrzeć na te oczy.

I tak w szczególnej i wciąż zaściankowej mitologii Hawajów symptomy wojennej destabilizacji zyskały status obietnic postępu. Kwestia spełnienia tych obietnic wypada różnie w zależności, rzecz jasna, od tego, kto się na ten temat wypowiada, podobnie jak kwestia tego, czy postęp należy w ogóle uznawać za cnotę, ale tak czy owak to wojna zajmuje centralne miejsce w wyobraźni Hawajów, to wojna wypełnia umysł, wojna wisi nad Honolulu jak chmury deszczowe spowijające wierzchołek Mount Tantalus. Nie za wielu ludzi podejmuje rozmowy na ten temat. Rozmawiają o autostradach na Oahu i apartamentowcach na Maui, i puszkach piwa przy Sacred Falls, i o tym, o ile rozsądniej jest ominąć Honolulu i udać się bezpośrednio do hotelu Mauna Kea, który to wybudował na Hawaii Laurence Rockefeller. (Właściwie to pogląd, że na Hawajach warte odwiedzenia są jedynie miejsca gdzieś na Maui, albo Kauai, albo Hawaii, zdążył już zyskać tak szeroką akceptację, że tylko patrzeć, jak w niedługim czasie Honolulu przeżywać będzie renesans). Albo, jeżeli mają bardziej wizjonerskie skłonności, sięgają po retorykę rodem z książek Jamesa Michenera, by prawić, jakim to wielokulturowym rajem są Hawaje i jakim są rajem z punktu widzenia zarządzania związkami zawodowymi – rajem postępowym, w którym przeszłość i przyszłość są ze sobą pogodzone, w którym Jack Hall z ILWU jada lancze w klubie Pacific i w którym owo repozytorium wszystkiego, co konserwatywne na Hawajach, Bishop Estate [125], pracuje ramię w ramię z Henrym Kaiserem w celu przekształcenia cypla Koko Head w warte trzysta pięćdziesiąt milionów dolarów osiedle znane jako Hawaii Kai. Jeżeli zajmują się branżą turystyczną, mówią o prognozach dotyczących „roku miliona odwiedzających” (1970) i „roku dwóch milionów odwiedzających” (1980), o dwudziestu tysiącach rotarian mających zjechać do Honolulu na konwencję w roku 1969 i mówią też o „produkcie”.

– Z raportów wynika, czego nam potrzeba – oznajmił mi jeden facet z branży turystycznej. – Musimy uważniej kształtować i formować produkt.

Produktem jest miejsce, w którym mieszkają.

Jeżeli to mieszkańcy Honolulu, ale poniekąd arywiści (powiedzmy, że mieszkają tu dopiero od trzydziestu lat), to raz po raz wspominają „Lowella” i opowiadają o swojej pracy dobroczynnej. Jeżeli są z Honolulu, ale bynajmniej nie są arywistami, rozmawiają o planach otwarcia butików i wejścia na rynek nieruchomości i spierają się o to, czy Jacqueline Kennedy nie popełniła aby nietaktu, przychodząc na kolację w posiadłości

Henry’ego Kaisera w muumuu i bez butów. („W porządku, wiem, że ludzie przyjeżdżają tutaj wypocząć, no ale mimo wszystko…”) Na kontynencie bywają często, nie na tyle często jednak, żeby dobrze się orientować w tamtejszej sytuacji. Lubią zabawiać innych i być zabawianymi, i spotykać całe masy ludzi. („Jak by to wyglądało bez nich? – zadała mi pytanie pewna kobieta, w domyśle retoryczne. – Byłoby jak w sobotni wieczór w klubie w Racine w Wisconsin”). Są bardzo łaskawi i pełni entuzjazmu i bije od nich taka aura zdrowia, szczęścia i nadziei, że czasami trudno mi się z nimi rozmawia. Myślę, że nie zrozumieliby powodu mojego przyjazdu na Hawaje i że prawdopodobnie nie zrozumieją tego, co z niego zapamiętam.

1966

Skała wieków

Wyspa Alcatraz współcześnie obsypana jest kwiatami – pomarańczowymi i żółtymi nasturcjami, geraniami, żubrówką, kosaćcami, rudbekiami. Ubiorki przebijają się przez spękany beton spacerniaka. Nagietek figowy zaścieła rdzewiejące pomosty. Na dużym żółtym znaku, widocznym bodaj z ćwierci mili, nadal można przeczytać: UWAGA! NIE ZBLIŻAĆ SIĘ! WŁASNOŚĆ USA, ale od 21 marca 1963 roku, kiedy z wyspy zabrano około trzydziestki ostatnich osadzonych i wysłano do więzień tańszych w utrzymaniu, ten znak ostrzegawczy stoi tu tylko *pro forma*, wieże strażnicze są opustoszałe, a bloki więzienne bezludne. Można się tu poczuć całkiem przyjemnie – na Alcatraz, gdzie nie ma nic prócz kwiatów, wiatru i zawodzenia pławy dzwonowej, i fal przewalających się pod przęsłami Golden Gate, ale żeby miejsce takie jak to przypadło człowiekowi do gustu, trzeba mieć ochotę mieszkać za fosą.

Mnie ona czasami nachodzi i o tym tu opowiadam. Dziś na wyspie Alcatraz mieszka troje ludzi. John i Marie Hartowie zajmują to samo mieszkanie, które zajmowali przez szesnaście lat pracy Johna na etacie strażnika więziennego. Para wychowała na wyspie piątkę dzieci, kiedy ich sąsiadami byli Ptasznik [126] i Mickey Cohen [127], ale ci wyjechali, tak jak dzieci Hartów, z których ostatnie swój ślub zorganizowało na wyspie w czerwcu 1966 roku. Na Alcatraz mieszka jeszcze jedna osoba – emerytowany marynarz floty handlowej Bill Doherty, wraz z którym John Hart odpowiada przed Administracją Świadczeń Powszechnych za sprawowanie dwudziestoczterogodzinnej straży nad liczącą dwadzieścia dwa akry wyspą. John Hart ma psa, który wabi się Duffy, natomiast pies Billa Doherty’ego to Duke, a chociaż oba czworonogi to przede wszystkim dobrzy towarzysze, stanowią także pierwszą linię obrony na Alcatraz. Narożne okno pokoju Marie Hart wychodzi na zarys San Francisco rozpościerający się na tle nieba ponad szerokim na półtorej mili pasem wód zatoki; Marie siedzi przed tym oknem, malując „widoki”

albo grając na fisharmonii takie utwory jak *Old Black Joe* i *Please Go ‘Way and Let Me Sleep*. Raz w tygodniu Hartowie płyną do San Francisco po pocztę i zakupy, które robią w dużym Safewayu w Marinie, a Marie co jakiś czas opuszcza też wyspę, żeby odwiedzić dzieci. Chętnie rozmawia z nimi przez telefon, ale odkąd dziesięć miesięcy temu japoński frachtowiec przeciął kabel, z Alcatraz nie można się już nigdzie dodzwonić. Co rano reporter stacji KGO monitorujący ruch w mieście zrzuca im „San Francisco Chronicle” z helikoptera, a jeśli ma chwilę, zatrzymuje się na kawę. Nikt inny tu nie bywa poza człowiekiem z Administracji Świadczeń Powszechnych, niejakim Thomasem Scottem, który sporadycznie przywozi ze sobą jakiegoś kongresmena lub kogoś zainteresowanego kupnem wyspy, albo – raz na jakiś czas – żonę i synka na piknik. Jest całkiem sporo chętnych na wyspę i według pana Scotta jej sprzedaż w zamkniętej aukcji przyniosłaby pięć milionów dolarów zysku, ale Administracja Świadczeń Powszechnych nie ma możliwości jej przeprowadzenia z powodu oczekującego na rozpatrzenie w Kongresie wniosku, zgodnie z którym wyspa miałaby zostać przekształcona w „park pokoju”. Pan Scott twierdzi, że z chęcią pozbędzie się odpowiedzialności za Alcatraz, ale przecież piecza nad ufortyfikowaną wyspą nie jest czymś, z czym mężczyzna rozstaje się bez mieszanych uczuć.

Jakiś czas temu udałam się tam w jego towarzystwie. Każde dziecko mogłoby sobie z łatwością wyobrazić miejsce bardziej przypominające więzienie niż Alcatraz, ponieważ te kraty i druty, które się tam nadal znajdują, sprawiają wrażenie symbolicznych, pozbawionych racji bytu; więzieniem była sama wyspa, a zimny prąd wód jego murem. Alcatraz jest dokładnie tym, czym się mieni: Skałą. Bill Doherty w asyście Duke’a otwarli nam bramę doku, a kiedy pięliśmy się w kombi Doherty’ego w górę klifu, strażnik opowiadał panu Scottowi o drobnych naprawach, które przeprowadził lub zamierzał przeprowadzić. Wszelkie naprawy, jakich dokonuje się na Alcatraz, służą zabiciu czasu, to takie jakby *scrimshaw* [128] kustosza, ponieważ rząd nic nie płaci za utrzymanie więzienia; w 1963 roku koszt remontu szacowano na pięć milionów dolarów, co też było powodem porzucenia tego zamysłu, natomiast te dwadzieścia cztery tysiące dolarów rocznie, które obecnie kosztuje opieka nad Alcatraz, to przede wszystkim cena dozoru, dalej dowozu czterystu tysięcy galonów wody zużywanych rocznie przez Doherty’ego i Hartów (na Alcatraz nie ma ujęć wody, co stanowi przeszkodę dla deweloperki),

a reszta to ogrzanie dwóch mieszkań i energia dla kilku lamp. Budynki sprawiają wrażenie najdosłowniej porzuconych. Z drzwi cel wypruto zamki i odłączono wielkie elektryczne mechanizmy zamykające. Przewody tłoczące gaz łzawiący do stołówki są puste, a na wszystkich powierzchniach wzdyma się farba, łuszcząca się w morskim powietrzu, odłazi wielkimi płatami koloru bladej zieleni i ochry. Stałam przez chwilę w celi Ala Capone'a, pięć stóp na dziewięć, numer 200, na drugim poziomie bloku B – która nie była jedną z cel „z widokiem", przydzielanych więźniom o dłuższym stażu w Alcatraz – i szłam korytarzem opustoszałego bloku, który po zamknięciu drzwi pogrążał się w całkowitych ciemnościach. „Snail Mitchel – głosił napis ołówkiem na ścianie separatki numer 14 – jedyny, co dostał kulkę, bo za wolno się kulał". Obok wyrysowany był kalendarz, miesiące naniesione ołówkiem, dni wydrapane – maj, czerwiec, lipiec, sierpień któregoś niedatowanego roku.

Pan Scott, zainteresowany penologią od dnia, w którym jego agencja weszła w posiadanie Alcatraz na zasadzie potencjalnej nieruchomości, opowiadał o ucieczkach i procedurach bezpieczeństwa i wskazał palcem plażę, na której zabito Doca, syna Mamuśki Barker [129], podczas próby ucieczki. („Kazali mu wracać na górę, a on na to, że woli dostać kulkę, no i dostał"). Widziałam łaźnię, w której mydelniczkach nadal leżało mydło. Wzięłam do ręki pożółkły program wielkanocnego nabożeństwa („Przeczże między umarłymi szukacie tego, który jest żyw? Niemaszci go tu, aleć wstał" [130]) i wydobyłam kilka nut z pianina, na którego klawiszach przegniła cała kość słoniowa; starałam się sobie wyobrazić więzienie takie, jakie było, z silnymi światłami macającymi okna przez całą noc, i strażnikami obchodzącymi galeryjki wież, a także sztućce wpadające z brzękiem do worka na liczenie po posiłkach, próbowałam posłusznie wyegzekwować u siebie jakieś wrażenie niesmaku, jakieś przeczucie nocnej grozy na dźwięk zamykanych drzwi i odbijającej od brzegu łodzi. Ale w rzeczywistości podobało mi się tam, w tej ruinie opróżnionej z ludzkiej pychy, wolnej od ludzkich złudzeń, miejscu pustym – miejscu odzyskiwanym przez żywioły, w którym kobieta gra na fisharmonii, żeby zagłuszyć zawodzenie wiatru, a starszy mężczyzna rzuca piłkę psu o imieniu Duke. Mogłabym wam powiedzieć, że wróciłam z Alcatraz, ponieważ złożyłam ludziom obietnice, których należało dotrzymać, ale może zrobiłam to dlatego, że nikt nie zaproponował mi, bym tam została.

1967

Wybrzeże rozpaczy

Wybrałam się do Newport całkiem niedawno, żeby zobaczyć owe świetne murowane „dacze” epoki fin de siècle’u, w których pewni bogaci Amerykanie spędzali swego czasu lato. Domy te wciąż ciągną się rzędem wzdłuż Bellevue Avenue i Cliff Walk, jedwabne zasłony w ich oknach są w strzępach, ale rzygacze nietknięte, jak pomniki wystawione czemuś poza nimi samymi; domy wzniesione, to jasne, by dowodzić jakiejś transcendentalnej racji. Nikt mi nie wyjaśnił, jaka to właściwie racja. Słyszałam obietnice, że te wspaniałe domy letniskowe to muzea, a także przestrogi, że to okropieństwa; słyszałam zapewnienia, że życie, które przywodzą na myśl, miało niewiarygodny wdzięk, a także, że nie sposób wręcz opisać tego, jak było ohydne; że ludzie bardzo bogaci byli inni niż ja i ty i że owszem, płacili niższe podatki; i że choć rezydencja Bałwany może nie do końca odpowiada kanonom dobrego smaku, to mimo wszystko *où sont les bramki do krokieta d’antan*. Czytałam Edith Wharton [131] i czytałam Henry’ego Jamesa, który był zdania, że domy te powinny stać tam po wsze czasy jako „osobliwie niezborne przykłady zemsty znieważonych proporcji i dyskrecji”.

Wszystko to jednak tak naprawdę nie ma się nijak do rzeczywistości, cała ta mowa o podatkach, poczuciu smaku i znieważonych proporcjach. Jeżeli ktoś idzie w ślady małżonki Richarda Gambrilla, która w 1900 roku zatrudniła architekta Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, zatwierdza plan budowy osiemnastowiecznego francuskiego *château* na plaży Rhode Island, zleca urządzenie ogrodu naśladującego ten, który Henryk VIII miał podarować Annie Boleyn, a efektowi tych działań nadaje nazwę Vernon Court, wówczas wkracza na terytorium, na którym blednie zarzut o sprzeniewierzenie się „dyskrecji”. Coś innego jest tu na rzeczy. Trudno sobie wyobrazić, by jakikolwiek osąd estetyczny mógł mieć zastosowanie do tego Newport ciągnącego się wzdłuż Bellevue Avenue, do tych olbrzymich szaleństw za strzegącymi je bramami z ręcznie kutego żelaza;

to wytwory wyrosłe z przerzutów wybujałego kapitału, rewolucja przemysłowa doprowadzona do punktu logicznego ekstremum, a patrząc na nie, można zadumać się nad krótkim rodowodem wyobrażeń, jakoby życie miało być „wygodne”, że ci, którzy je przeżywają, powinni być „szczęśliwi”.

„Szczęście” to, koniec końców, pojęcie etyki konsumpcji, a Newport to pomnik wystawiony społeczeństwu, w którym produkcję utożsamiano z racją moralną, z nagrodą, o ile nie z celem procesu ekonomicznego. Temu miejscu obca jest zasada przyjemności. Posiadać pieniądze potrzebne do wybudowania Bałwanów albo Marmurowego Domu czy Dworu w Ochrze i zdecydować się na postawienie go w Newport to samo w sobie odrzucenie możliwości; wyspa jest fizycznie brzydka, ponura i pozbawiona choćby tej jedynej zalety, jaką byłaby ekstremalna surowość, przedstawia sobą krajobraz, z którego nie czerpie się przyjemności, a nad którym należy raczej zapanować. Powszechność ogrodów ze sztucznie kształtowaną roślinnością daje wyobrażenie o atmosferze tego miejsca. A przecież ludziom tym nie brakowało możliwości wyboru: William Randolph Hearst pobudował się nie w Newport, ale na skraju Pacyfiku. Posiadłość San Simeon, mniejsza o jej dziwaczny wygląd, to w rzeczy samej *la cuesta encantada* – „zaczarowane wzgórze” [132], to kąpiel w złotym świetle, sybarycka atmosfera, miejsce głęboko romantyczne. W Newport natomiast atmosfera przywodzi na myśl jedynie źródła pieniędzy. Nawet kiedy słońce pstrzy cętkami rozległe murawy, a wokół pluskają fontanny, w powietrzu wisi coś, co nie ma nic wspólnego z przyjemnością ani nic wspólnego z wdzięczną tradycją, nie czuje się tutaj, jak pięknie można wydawać pieniądze, jedynie to, w jak surowych warunkach te pieniądze się zarabia – ma się wrażenie obecności, tuż obok, tych kopalń i szyn hut, turbin i transakcji zawieranych w tuszach wieprzowych. Obecność pieniędzy w Newport jest tak natarczywa, że umysł chcąc nie chcąc cofa się do ich surowych pierwocin. Kontemplacja dworzyszcza Rosecliff niepostrzeżenie przechodzi w wizję, w której Duży Jim Fair [133] wyrywa rudę srebra ze zbocza góry w Nevadzie, żeby jego córka mogła zamieszkać w Newport.

– Staruszek Berwind, ten to się obraca w grobie, jeśli widzi tamtą cysternę na podjeździe – powiedział mi stróż posiadłości Wiązy, kiedy dokonywaliśmy oględzin jej zapuszczonego ogrodu. – Dorobił się na węglu, miękkim węglu.

To zajmowało mi myśli, tak samo jak myśli stróża, kiedy tak staliśmy w słońcu przed letnim domem wzniesionym z marmuru – węgiel, miękki węgiel, słowa takie jak „bitumiczny” i „antracyt”, słowa dalekie od letniej beztroski.

Pod tym względem Newport jest miastem swoiście zachodnim, bliższym duchem Virginia City niż Nowemu Jorkowi, Denver bardziej niż Bostonowi. Charakteryzuje je szorstkość kojarzona zwykle z Dzikim Zachodem, i jak na Dziki Zachód przystało, niewiele miało w sobie uroku dla kobiet. Za Newport płacili mężczyźni i obdarowywali kobiety przywilejem mieszkania w nim. Tak jak w celu właściwej ekspozycji biskwitów z Sèvres nabywało się pozłacane witryny, tak nabywało się marmurowe schody, na których kobiety można było korzystnie zaprezentować. W ażurowych altanach można było je wystawiać w innym świetle; w urządzonych z francuska salonach w jeszcze innej scenerii. Można było im schlebiać, kadzić, dogadzać, oddawać do dyspozycji ładnie urządzone pokoje i suknie projektu Charlesa Wortha, pozwalać im wyobrażać sobie, że prowadzą własny dom i życie, jednak kiedy przychodziło co do czego, ich wolność okazywała się równie realna co malarstwo iluzjonistyczne. To świat Bailey’s Beach [134] zrobił neurasteniczkę z Edith Wharton, a z Consuelo Vanderbilt [135], wbrew jej woli, księżną Marlborough. Same te domy to domy mężczyzn, fabryki, podpiwniczone tunelami i kolejkami serwisowymi, poprzetykane instalacjami zbierającymi słoną wodę, ze zbiornikami do jej magazynowania, urządzeniami do gromadzenia deszczówki, skarbcami na srebra, magazynami porcelany i kryształów, a także „bieżników odświętnych” oraz „bieżników zwykłych”. Gdzieś w trzewiach posiadłości Wiązy znajduje się skład węglowy dwukrotnie większy od sypialni Julii Berwind [136]. Mechanika takich domów ma pierwszeństwo przed wszelkimi pragnieniami i inklinacjami; czy to wielkie pasje, czy poranne humory – żadne z nich nie zatrzyma fabryki, nie spowolni wytwarzania proszonych obiadów, balów maskowych i słodkich *marrons glacés*. Stać w jadalni Bałwanów to wyobrażać sobie ucieczkę z niej pod pretekstem migreny.

Newport okazuje się zatem czymś z homilii, niewiarygodnie wymyślną sceną dla spektaklu amerykańskiego moralitetu, w którym pieniądze i szczęście prezentowane są na zasadzie antytezy. Dziw bierze, że akurat ci

mężczyźni wymyślili tego rodzaju teatralność, ale ostatecznie wszyscy czasami siebie oceniamy; trudno mi uwierzyć, by Cornelius Vanderbilt w którymś momencie, w półmroku którejś sali bilardowej swej nieświadomości, nie przeczuł, że kiedy budował Bałwany, skazywał się na potępienie. Im wszystkim świat musiał się wydawać bardziej zielony, wtedy, dawniej, kiedy byli młodzi i zaczynali układać tory albo kopać w poszukiwaniu wysokoprocentowej rudy w złożu Comstock, albo odważali się myśleć, że mogliby zmonopolizować rynek miedzi. Mężczyźni ci w sposób pełniejszy niż ktokolwiek z przedstawicieli tego społeczeństwa wprowadzili w życie swoje marzenie. A potem zbudowali miejsce, które niczym w dziecięcym elementarzu jawi się jak ilustracja tezy, że etyka produkcji doprowadziła krok po kroku do poczucia nieszczęścia, do ograniczeń, do uwięzienia w mechanice zamieszkiwania. Pod tym względem lekcja płynąca z Bellevue Avenue jest dalece bardziej radykalna niż idea Brook Farm [137]. Któż by nie zrozumiał sensu kazania płynącego z kamieni Newport? Kto mógłby jeszcze pomyśleć, że budowa linii kolejowej może zagwarantować zbawienie, gdy na trawnikach posiadłości ludzi, którzy ją położyli, nie ma nic prócz cieni kobiet cierpiących na migrenę i zaprzężonych w kuce wózków dla dzieci, które od dawna nie żyją?

1967

Guaymas, Sonora

Padało w Los Angeles tak długo, aż klif zaczął się osypywać w fale przyboju, a mnie nie chciało się rano przebierać z piżamy, więc postanowiliśmy, że pojedziemy do Meksyku, do Guaymas, gdzie było gorąco. Nie pojechaliśmy tam, żeby łowić marliny. Nie pojechaliśmy na nurkowanie. Pojechaliśmy, żeby uciec od siebie samych; robi się to w ten sposób – któregoś dnia jedzie się przez Nogales, aż urokliwe zielone obszary blakną i jedyne, co może poruszyć wyobraźnię, to jakieś trudne miejsce, jakaś pustynia. Pustynia, którakolwiek, jest w istocie doliną cienia śmierci; wystarczy, że powrócicie z pustyni, a poczujecie się jak Alkestis, odrodzeni. Za Nogales, na krajowej piętnastce nie ma już nic oprócz pustyni Sonora, nic, tylko jadłoszyn i grzechotniki, i góry Sierra Madre odpływające na wschód, żadnego śladu działalności człowieka, sporadycznie tylko mignie ciężarówka Pemexu tocząca się na północ, a raz na jakiś czas w oddali zamajaczą zakurzone wagony pulmanowskie Ferrocarril del Pacífico. Przy piętnastce leży Magdalena, a dalej Hermosillo, gdzie w barze hotelu San Alberto zbierają się amerykańscy kupcy rudy i bydła. W Hermosillo jest lotnisko, a Guaymas znajduje się tylko osiemdziesiąt pięć mil na południe od Hermosillo, ale wsiąść w samolot to rozminąć się z sednem. Tym sednem jest ulec dezorientacji, pokutować w gorącu, pośród zwodniczych perspektyw, wobec uporczywego przeczucia bliskości padliny. Droga migocze. Oczy pragną się zamknąć.

I wtem, tuż po tym, jak pustynia staje się jedyną rzeczywistością, z drogi numer 15 wypada się wprost na wybrzeże, i oto pojawia się Guaymas, ciąg wulkanicznych wzgórz i wysp wyrzynający się z ciepłej, niespiesznie to wszystko obmywającej Zatoki Kalifornijskiej, podmywającej nawet kaktusy, zatoki o wodach szklistych jak miraż, ze statkami w przystani pogwizdującymi niepokojąco, zawodzącymi, widmowymi szkunerami, odciętymi od morza, zabłąkanymi. Oto Guaymas. Jeżeli chodzi o miasto,

tak mógłby je opisać Graham Greene: cienisty plac z ażurową pergolą dla niedzielnej orkiestry, ptasi harmider, katedra w kiepskim stanie z kopułą z turkusowych kafli, z krzyżem w roli grzędy dla sępnika. Na nabrzeżach piętrzą się bele sonorskiej bawełny i kopce ciemnych koncentratów miedzi; dalej, na frachtowcach pod banderami Panamy i Liberii stoją w gorącym zmierzchu greccy i niemieccy chłopcy i spoglądają ponurym wzrokiem na groteskowe i klaustrofobiczne wzgórza, na nieruchome miasto, dziwaczne limbo portu pośredniego.

Gdyby naprawdę tak nam zależało, żeby się zagubić, bylibyśmy się zatrzymali w mieście, w hotelu, którego przyblakłe i zniszczone turkusowe okiennice otwierają się na dziedziniec, w mieście starych mężczyzn wysiadujących w bramach domów, gdzie nic się nie porusza; my natomiast zatrzymaliśmy się poza miastem, na Playa de Cortés, w dużym starym hotelu wzniesionym przez Southern Pacific, zanim znacjonalizowano koleje. I to miejsce również było mirażem, przepięknym i spokojnym, o grubych pobielanych ścianach i ciemnych okiennicach, i jasnych kafelkach, ze stołami zbitymi z hebanowych podkładów kolejowych, z wyblakłymi muślinowymi zasłonami z aplikacjami, z kukurydzianymi kudłami oplatającymi ciężkie krokwie. Dookoła basenu rosły drzewa pieprzowe, a dziedziniec otaczały cytryny i bananowce. Jedzenie niczym się nie wyróżniało, za to po kolacji można było leżeć w hamaku na tarasie i słuchać fontann i morza. Przez tydzień polegiwaliśmy w hamakach i bez większego przekonania łowiliśmy ryby, wcześnie chodziliśmy spać, i zrobiliśmy się bardzo brązowi i bardzo rozleniwieni. Mój mąż złapał osiem rekinów, a ja przeczytałam podręcznik do oceanografii, i nie rozmawialiśmy za dużo. Z końcem tygodnia chcieliśmy coś zrobić, ale mieliśmy do wyboru tylko zwiedzanie stacji kontroli zakończonego programu kosmicznego albo wyjście do kina na *Świat cyrku* z Johnem Wayne’em i Claudią Cardinale, i zrozumieliśmy, że pora wracać do domu.

1965

Notatnik z Los Angeles

Tego popołudnia w powietrzu Los Angeles daje się wyczuć coś niespokojnego, jakiś nienaturalny bezruch, jakieś napięcie. Oznacza to, że dziś wieczór zacznie wiać Santa Ana, gorący wiatr z północnego wschodu, który z zawodzeniem schodzi z przełęczy Cajon i San Gorgonio, wzniecając burze piaskowe wzdłuż Route 66, temperaturę na wzgórzach i temperaturę nerwów doprowadzając do punktu zapłonu. Teraz przez kilka dni będziemy widzieć dym podnoszący się z kanionów za miastem, a w nocy słyszeć dźwięki syren. O tym, że nadchodzi Santa Ana, nie słyszałam w radiu ani nie czytałam w gazetach, a jednak wiem, że się zbliża, i wie o tym również niemal każdy, kogo znam. Wiemy, ponieważ to czujemy. Dziecko marudzi. Stara panna stroi fochy. Rozniecam na nowo zamierającą waśń z firmą telekomunikacyjną, wycofuję się w porę i kładę, gotowa przyjąć to, co wisi w powietrzu, czymkolwiek jest. Żyć z Santa Aną to akceptować, świadomie czy nieświadomie, głęboko mechanistyczną wizję ludzkiego zachowania.

Przypominam sobie, jak mi mówiono, gdy dopiero co sprowadziłam się do Los Angeles i mieszkałam przy odludnej plaży, że niegdyś, gdy wiał niedobry wiatr, Indianie rzucali się do morza. Rozumiałam dlaczego. W porze Santa Any Pacyfik robił się złowrogo błyszczący, a człowiek budził się w nocy zaniepokojony nie tylko krzykami pawi wśród oliwek, ale też niesamowitym brakiem odgłosu przyboju. Było surrealistycznie gorąco. Niebo zabarwiało się na żółto światłem, jakie bywa nazywane „aurą trzęsienia ziemi”. Moja jedyna sąsiadka nie wychodziła z domu całymi dniami, w nocy nie paliły się światła, a jej mąż wałęsał się po posesji z maczetą. Któregoś dnia poinformował mnie, że słyszał intruza; nazajutrz – że grzechotnika.

„W taki wieczór – napisał kiedyś o wietrze Santa Ana Raymond Chandler – każda pijatyka kończy się burdą. Łagodne, drobne żony sprawdzają palcem ostrość kuchennych noży, przyglądając się szyjom

mężów. Wszystko może się zdarzyć” [138]. Był to tego rodzaju wiatr. Wówczas nie wiedziałam, że istnieją jakieś naukowe podstawy wpływu, jaki miał na nas wszystkich, ale okazuje się, że to jeszcze jeden z tych przypadków, kiedy nauka przychodzi w sukurs mądrości ludowej. Santa Ana, zawdzięczająca nazwę jednemu z kanionów, przez które dmie, to wiatr typu fen, jak fen wiejący w Austrii i Szwajcarii czy izraelski hamsin. Istnieje szereg uporczywych złych wiatrów, z których bodaj najbardziej znane to francuski mistral i śródziemnomorski sirocco, ale fen ma szczególne właściwości: formuje się na zawietrznych zboczach łańcucha górskiego, powietrze jest z początku zimną masą, ogrzewa się w miarę zstępowania po stoku i w końcu objawia się jako gorący suchy wiatr. Ilekroć i gdziekolwiek wieje fen, lekarze słyszą skargi na bóle głowy i nudności oraz uczulenia, na nerwowość, na depresję. W Los Angeles podczas Santa Any niektórzy nauczyciele nie silą się na prowadzenie formalnych lekcji, ponieważ dzieci robią się niesforne. W Szwajcarii wskaźnik samobójstw w czasie fenu idzie w górę, a w sądach niektórych kantonów wiatr uznaje się za okoliczność łagodzącą dla popełnionych przestępstw. Podobno chirurdzy zwykli obserwować wiatr, ponieważ krew w czasie fenu nie krzepnie normalnie. Kilka lat temu pewien izraelski fizyk odkrył, że nie tylko w czasie tych wiatrów, ale również w ciągu dziesięciu czy nawet dwunastu godzin je poprzedzających powietrze zawiera jony dodatnie w nietypowo wysokim stosunku do jonów ujemnych. Nie bardzo wiadomo, dlaczego tak jest; niektórzy mówią o tarciu, a inni wskazują na zaburzenia słoneczne. Tak czy inaczej, te dodatnie jony tam są, a nadmiar jonów dodatnich wpływa na ludzi tak, że – by ująć to najprościej – robią się nieszczęśliwi. Trudno o bardziej mechanistyczne ujęcie.

Mieszkańcy Wschodniego Wybrzeża powszechnie narzekają na brak jakiejkolwiek „pogody” w południowej Kalifornii, na to, że dni i pory roku przepływają tam w nieubłaganej, otępiającej nijakości. To całkowicie złudne. W rzeczywistości dla tutejszego klimatu charakterystyczne są nieczęste, ale gwałtowne ekstrema – dwie pory ulewnych podzwrotnikowych deszczy, które trwają tygodniami i wymywają wzgórza, ściągając do morza całe osiedla; około dwudziestu rozsianych po całym roku dni wiatru Santa Ana, który niosąc zapalną suchość, nieodmiennie oznacza ogień. Gdy tylko pojawi się pierwsza prognoza Santa Any, Służba Leśna przerzuca lotniczym transportem ludzi i sprzęt z północy Kalifornii w południowe lasy, a Straż Pożarna Los Angeles zawiesza swoje rutynowe

działania niezwiązane z gaszeniem. Santa Ana wywołała pożogi Malibu w 1956, Bel Air w 1961 roku i w Santa Barbara w 1964. Zimą z 1966 na 1967 jedenastu strażaków poniosło śmierć, walcząc z pożarami wznieconymi przez Santa Anę, które rozprzestrzeniły się po górach San Gabriel.

Sam rzut oka na wiadomości z Los Angeles z pierwszej strony dziennika wychodzącego w dniach wiania Santa Any daje bardzo bliskie rzeczywistości wyobrażenie o tym, jak tu jest. Do najdłuższego okresu aktywności Santa Any zanotowanego w ostatnich latach doszło w 1957 roku i trwał nie przez typowe trzy, cztery dni, lecz przez czternaście – od 21 listopada do 4 grudnia. Pierwszego dnia płonęło dwadzieścia pięć tysięcy akrów gór San Gabriel, a podmuchy osiągały prędkość stu mil na godzinę. W mieście wiatr wiał z siłą dwunastu stopni w skali Beauforta, a więc z siłą huraganu; wywrócone zostały wieże wiertnicze, a ludzie otrzymali zakaz wychodzenia na ulice w centrum, by uchronić się przed zranieniem latającymi przedmiotami. 22 listopada ogień w Gabrielach nie dawał się już opanować. 24 listopada sześcioro ludzi zginęło w wypadkach samochodowych, a przed upływem tygodnia „The Los Angeles Times” zaczął publikować wykaz zgonów w wypadkach komunikacyjnych. 26 listopada znany adwokat z Pasadeny, przygnębiony problemami finansowymi, zastrzelił żonę, dwóch synów, po czym popełnił samobójstwo. 27 listopada dwudziestodwuletnia rozwódka z South Gate została zamordowana, a jej ciało wyrzucone z pędzącego samochodu. 30 listopada w Gabrielach wciąż szalał ogień, a wiatr w mieście dął z prędkością osiemdziesięciu mil na godzinę. Pierwszego dnia grudnia cztery osoby poniosły śmierć w brutalnych okolicznościach, a trzeciego wiatr zaczął się uspokajać.

Ludziom, którzy nie mieszkali nigdy w Los Angeles, trudno pojąć, jak radykalne piętno Santa Ana odciska na miejscowej wyobraźni. „Miasto w ogniu” to najgłębiej zakorzenione wyobrażenie Los Angeles o sobie samym – dostrzegł to Nathanael West w *Dniu szarańczy*; to pożary były też tym zjawiskiem, które najtrwalej naznaczyło wyobraźnię w czasie zamieszek w Watts w 1965 roku. Przez wiele dni, jadąc Harbor Freeway, widziało się płonące miasto, dokładnie takie, jakim od zawsze spodziewaliśmy się je w końcu zobaczyć. Aura Los Angeles to aura katastrofy, apokalipsy i podobnie jak niezawodnie długie i srogie zimy Nowej Anglii warunkuje tamtejszą działalność życiową, tak więc

gwałtowność i nieprzewidywalność Santa Any oddziałują całościowo na kształt życia w Los Angeles, podkreślają jego prowizoryczność, jego zawodność. Wiatr pokazuje nam, jak blisko jesteśmy przepaści.

2

– Powiem ci, dlaczego dzwonię, Ron – oświadczył głos ze słuchawki emitowany na antenie całonocnego programu radiowego. – Chcę po prostu powiedzieć, że ta osóbka od *Seksu dla sekretarki*, mniejsza o to, jak się nazywa, zdecydowanie nie robi niczego dobrego dla moralności w tym kraju. To żałosne. To widać w statystykach.

– *Seks i biuro*, skarbie – sprostował prowadzący. – Tak brzmi tytuł. Autorstwa Helen Gurley Brown. Co takiego widać w statystykach?

– Nie mam ich tu oczywiście przed sobą. Ale jasno z nich wynika.

– Chętnie bym je poznał. Proszę o konstruktywną krytykę, drogie nocne marki.

– Dobrze, weźmy taką statystykę – odparł głos, tym razem butnie. – Może nie czytałam książki, ale co ona sobie myśli, kiedy zaleca „umawianie się z żonatymi mężczyznami na lancz”?

I tak to szło od północy do piątej nad ranem, przerywane piosenkami i sporadycznymi telefonami roztrząsającymi kwestię, czy grzechotnik umie pływać. Fałszywe informacje na temat grzechotników to lejtmotyw wyobraźni cierpiących na bezsenność w Los Angeles. Bliżej drugiej nad ranem facet „przy wylotówce z Tarzany” zadzwonił, żeby zaprotestować.

– Sowa, która wcześniej dzwoniła, miała pewnie na myśli, eee, *Człowieka w szarej flaneli* albo jakąś inną książkę – mówił – bo Helen jest jednym z niewielu autorów, którzy starają się nam powiedzieć, co się naprawdę dzieje. Hefner to kolejny, on też jest kontrowersyjny, z tym że działa, mmm, na innym terytorium.

Starszy mężczyzna, zeznawszy, jak „osobiście” widział w kanale Delta–Mendota pływającego grzechotnika, apelował o „umiar” w kwestii Helen Gurley Brown.

– Nie powinniśmy dzwonić na linię, żeby to czy tamto nazywać pornografią, zanim to jeszcze przeczytamy – zgłaszał zażalenie,

wymawiając „pornografię” jako „por-neo-grafię”. – Moja propozycja dla was: kupcie tę książkę. Dajcie jej szansę.

Prowokatorka całej dyskusji zadzwoniła ponownie, żeby przystać na propozycję.

– Kupię, a potem ją spalę – dodała.

– Książki by się paliło, co? – Prezenter przykrył jej oświadczenie dobrodusznym śmiechem.

– Szkoda, że już nie palą czarownic – syknęła kobieta.

3

Jest trzecia godzina sobotniego popołudnia i czterdzieści stopni Celsjusza, a powietrze tak gęste od smogu, że zakurzone wierzchołki palm rysują się w górze niespodziewaną i całkiem ciekawą tajemniczą sylwetką. Bawię się z maleństwem wśród zraszaczy, a potem wsiadam w samochód i jadę do supermarketu Ralpha na rogu Sunset i Fuller, w starym dwuczęściowym kostiumie kąpielowym. Nie jest to najodpowiedniejszy ubiór na wizytę w sklepie, ale nie jest to też ubiór, który w Ralphie na rogu Sunset i Fuller byłby czymś niecodziennym. Niemniej tęga kobieta w bawełnianym muumuu taranuje swoim wózkiem mój przy ladzie rzeźnika.

– W czymś takim przychodzi do marketu – mówi teatralnym szeptem.

Wszyscy odwracają wzrok, ja wpatruję się z uwagą w plastikowe opakowanie kotletów jagnięcych, a kobieta powtarza swoje komentarze. Idzie za mną przez cały sklep, na stoisko z żywnością dziecięcą, z nabiałem, na meksykańskie specjały, potrącając mój wózek, kiedy tylko może. Jej mąż ciągnie ją za rękaw. Kiedy odchodzę od kasy, kobieta po raz ostatni podnosi głos:

– W czymś takim przychodzi do Ralpha!

4

Przyjęcie w czyimś domu w Beverly Hills: różowy namiot, dwie orkiestry, paru francuskich komunistycznych reżyserów w marynarkach od Cardina, chili i hamburgery od Chasena. Żona angielskiego aktora siedzi sama przy

stoliku; rzadko bywa w Kalifornii, chociaż jej mąż sporo tu pracuje. Przysiada się Amerykanin, który trochę ją zna.

– Przecudownie cię tu widzieć – zagaja.

– Z pewnością – odpowiada kobieta.

– Od dawna tu jesteś?

– Od zbyt dawna.

Zgarnia nowego drinka z tacy przechodzącego kelnera i uśmiecha się do tańczącego męża.

Amerykanin próbuje ponownie. Wspomina jej męża.

– Podobno w tym nowym filmie jest genialny.

Kobieta po raz pierwszy spogląda na swojego rozmówcę. Kiedy się w końcu odzywa, wypowiada każde słowo bardzo dobitnie.

– Jest… także… ciotą – informuje go sympatycznym tonem.

5

Mówiona historia Los Angeles pisana jest w knajpkach z muzyką na żywo. *Moon River* to numer ze stałego repertuaru pianistów, podobnie jak *Mountain Greenery*, *There's a Small Hotel* i *This Is Not the First Time*. Ludzie rozmawiają ze sobą, opowiadają o pierwszych żonach i ostatnich mężach. „Śmiej się z tego", mówią jedni do drugich. Albo: „Człowiek dałby się za to pokroić". Budowlaniec rozmawia z bezrobotnym scenarzystą, który świętuje, samotnie, dziesiątą rocznicę ślubu. Budowlaniec ma kontrakt w Montecito.

– Tam w Montecito – mówi – na jednej mili kwadratowej stoi sto trzydzieści pięć domów milionerów.

– Zgnilizna – komentuje scenarzysta.

– To wszystko, co masz o tym do powiedzenia?

– Nie zrozum mnie źle, Santa Barbara to dla mnie jedno z naj… Chryste, nawet najpiękniejsze miejsce na świecie, ale to piękne miejsce ma w sobie jakąś… zgniliznę. Oni po prostu żyją ze swoich zgniłych milionów.

– Nie powiedziałbym „nie" takiej zgniliźnie.

– Nie, nie – mówi scenarzysta. – Po prostu jestem zdania, że milionerom jakoś brak… brak im elastyczności.

Ktoś pijany prosi, żeby zagrać *The Sweetheart of Sigma Chi*. Pianista odpowiada, że tego nie zna.

– Gdzie cię uczyli grać na pianinie? – pyta pijak.

– Mam dwa dyplomy – ripostuje pianista. – Jeden z wychowania muzycznego.

Idę do telefonu na monety i dzwonię do przyjaciela w Nowym Jorku.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– W piano-barze w Encino – mówię.

– Dlaczego? – dopytuje.

– A dlaczego nie? – odwdzięczam się pytaniem.

1965–1967

Wszystkiemu do widzenia

Jak daleko stąd Babilon?
Dziesięć mil za kopną milą.
Dotrę tam przed pierwszą świecą?
Wrócisz jeszcze przed tą chwilą.
Jeśli stopy masz lekkie i chyżo polecą,
Dotrzesz tam przed pierwszą świecą [139].

Łatwo zauważa się początki pewnych spraw, natomiast trudniej dostrzec ich koniec. Wciąż pamiętam, kiedy zaczął się dla mnie Nowy Jork, i pamiętam to tak wyraźnie, że napinają mi się nerwy na karku, za to nie jestem w stanie wskazać chwili, w której się dla mnie skończył, nie udaje mi się przedostać przez wieloznaczności i drugie szanse oraz złamane postanowienia do tego miejsca na stronie, w którym bohaterce nie towarzyszy już dawny optymizm. Kiedy zobaczyłam Nowy Jork po raz pierwszy, skończyłam dwudziestkę; było lato, a ja zeszłam z pokładu DC-7 do dawnego tymczasowego terminalu na Idlewild w nowej sukience, która wydawała się bardzo gustowna w Sacramento, ale która nawet w dawnym tymczasowym terminalu Idlewild nie prezentowała się już tak szykownie, ciepłe powietrze czuć było pleśnią, a jakiś instynkt, wpojony przez wszystkie obejrzane filmy, wszystkie zasłyszane piosenki i wszystkie przeczytane opowiadania o Nowym Jorku, informował mnie, że już nigdy nie będzie jak kiedyś. I faktycznie nie było. Nieco później popularność zyskała piosenka ze słowami „gdzie ta dziewczynka, która była mną”, szła ze wszystkich szaf grających na Upper East Side – jeśli trafiłam na nią późną nocą, zadawałam sobie to samo pytanie. Wiem teraz, że podobne pytanie, wcześniej czy później, zadaje sobie niemal każdy, nieważne, czym się zajmuje, jednak jednym z ambiwalentnych błogosławieństw wieku dwudziestu, dwudziestu jeden, dwudziestu dwóch czy nawet dwudziestu trzech lat jest przekonanie, że – choć rzeczywistość dostarcza argumentów zadających mu kłam – coś podobnego nie przytrafiło się nikomu wcześniej.

Mogło to być oczywiście inne miasto, gdyby okoliczności i czas były inne, gdybym ja była inna, mógł to być Paryż albo Chicago czy nawet San Francisco, ale że mówię o sobie, to mówię o Nowym Jorku. Tamtego pierwszego wieczoru otworzyłam okno w autobusie do miasta i wyglądałam linii dachów na tle nieba, ale widziałam jedynie nieużytki Queens i wielkie tablice z napisami TUNEL ŚRÓDMIEJSKI TĘDY, a potem lunął letni deszcz (nawet to wydawało mi się czymś osobliwym i egzotycznym, ponieważ przyjeżdżałam z Zachodu, a tam nie ma letnich deszczy) i przez kolejne trzy dni siedziałam zawinięta w koce w pokoju hotelowym schłodzonym klimatyzacją chyba do zera, i starałam się wykaraskać z ostrego przeziębienia z wysoką gorączką. Nie przyszło mi do głowy, żeby wezwać lekarza, ponieważ żadnego nie znałam, a chociaż pomyślałam, że mogłabym zadzwonić do recepcji i poprosić o wyłączenie klimatyzatora, nie zrobiłam tego, ponieważ nie wiedziałam, jaki napiwek miałabym dać osobie, którą by przysłali – czy ktokolwiek był kiedyś tak nieopierzony? Piszę, żeby zapewnić was, że ktoś był. W ciągu tych trzech dni ograniczyłam się do prowadzenia rozmów międzymiastowych z chłopcem, co do którego już wiedziałam, że wiosną go nie poślubię. Powiedziałam mu, że zostanę w Nowym Jorku tylko sześć miesięcy. I jeszcze, że z okna mam widok na most Brookliński. Potem się okazało, że to most Triborough, a ja zostałam osiem lat.

Z perspektywy czasu wydaje mi się, że tamte dni, zanim poznałam nazwy wszystkich mostów, były szczęśliwsze od tych, które nadeszły później, ale być może dostrzeżecie to w miarę opowiadania. Po części chcę wam opowiedzieć, jak to jest być młodą w Nowym Jorku, jak sześć miesięcy może zamienić się w osiem lat z podstępną łatwością kinowego efektu przenikania, bo tak właśnie jawią mi się te wszystkie lata teraz – w długiej sekwencji sentymentalnych przejść jednych scen w drugie i staroświeckich trików kamery – fontanny Seagram Building przechodzą w płatki śniegu, wchodzę obrotowymi drzwiami w wieku dwudziestu lat, a wychodzę sporo starsza i na inną ulicę. Przede wszystkim jednak pragnę wyjaśnić wam, a po drodze prawdopodobnie sobie, dlaczego już nie mieszkam w Nowym Jorku. Często słyszy się, że Nowy Jork to miasto wyłącznie dla bardzo zamożnych i dla bardzo biednych. Rzadziej słyszy się, że Nowy Jork to także – przynajmniej dla tych z nas, którzy przyjechali tu z innych miejsc – miasto tylko dla ludzi bardzo młodych.

Pamiętam, jak kiedyś, pewnego zimnego jasnego grudniowego wieczoru w Nowym Jorku zaproponowałam znajomemu, który narzekał, że już zbyt długo jest w obiegu, żeby poszedł ze mną na imprezę, na której będą – zapewniłam go, emanując promienną rezolutnością dwudziestotrzylatki – „nowe twarze". Roześmiał się tak, że dosłownie się zakrztusił, i musiałam opuścić szybę w taksówce i klepnąć go po plecach.

– Nowe twarze – powiedział w końcu. – Daj mi spokój z nowymi twarzami.

Okazało się, że na ostatnim przyjęciu, na którym ktoś obiecał mu spotkanie „nowych twarzy", w pomieszczeniu zastał piętnaście osób, z czego spał już z pięcioma z obecnych tam kobiet i był winien pieniądze wszystkim z obecnych mężczyzn z wyjątkiem dwóch. Śmiałam się razem z nim, ale dopiero co zaczął padać pierwszy śnieg, wielkie choinki mieniły się żółtym i białym światłem na całym odcinku Park Avenue, który obejmowałam wzrokiem, a ja miałam na sobie nową sukienkę, musiało więc upłynąć sporo czasu, zanim pojęłam właściwy morał tej historii.

Musiało upłynąć sporo czasu, dlatego że ja, najzwyczajniej w świecie, kochałam się w Nowym Jorku. Nie mam na myśli „kochania się" w żadnym kolokwialnym rozumieniu tego sformułowania, mam na myśli to, że kochałam się w mieście tak samo jak kochamy pierwszą osobę, która nas dotyka, i potem nie kochamy już w ten sposób nikogo innego. Pamiętam, jak przechodzę przez Sześćdziesiątą Drugą Ulicę, jest zmierzch któregoś dnia tej pierwszej, a może drugiej wiosny, przez pewien czas wszystkie były do siebie podobne. Byłam spóźniona na spotkanie, ale zatrzymałam się przy Lexington Avenue i kupiłam brzoskwinię, po czym stanęłam, żeby ją zjeść, i uderzyła mnie świadomość, że oto przybyłam z Zachodu i sięgnęłam po miraż. Czułam smak brzoskwini, na nogach delikatny ruch powietrza wywiewanego przez kraty otworów wentylacyjnych metra i chłonęłam zapach bzu i śmieci, i drogich perfum, i zdawałam sobie sprawę, że prędzej czy później przyjdzie mi za to jakoś zapłacić – ponieważ to było nie moje miejsce, ponieważ stamtąd nie pochodziłam – ale kiedy macie dwadzieścia dwa albo dwadzieścia trzy lata, myślicie sobie, że z czasem staniecie się naprawdę stabilni emocjonalnie, zdolni zapłacić tę cenę, jakakolwiek by była. Wówczas wciąż wierzyłam w możliwości, wciąż miałam poczucie, tak typowe dla Nowego Jorku, że każda chwila, każdy dzień, miesiąc mogą przynieść coś niezwykłego. Zarabiałam wtedy tylko sześćdziesiąt pięć czy siedemdziesiąt dolarów („Oddaj się w ręce Hattie

Carnegie [140]”, poradziła mi bez najmniejszego cienia ironii redaktorka magazynu, dla którego pracowałam), sumę tak niewielką, że były tygodnie, w których musiałam brać jedzenie na kredyt w delikatesach domu towarowego Bloomingdale’s, o czym nie wspominałam w listach wysyłanych do Kalifornii. Nigdy nie powiedziałam ojcu, że potrzebuję pieniędzy, ponieważ by mi je wysłał, a ja nigdy bym się nie dowiedziała, czy potrafię radzić sobie sama. W tamtym czasie samodzielne utrzymywanie się wydawało mi się grą, której reguły były co prawda umowne, aczkolwiek zupełnie nieelastyczne. I z wyjątkiem niektórych zimowych wieczorów – powiedzmy, że jest wpół do siódmej, na wysokości Siedemdziesiątych, już po zmroku, dmie przenikliwy wiatr od rzeki, idę bardzo szybkim krokiem w stronę autobusu i patrzę w jasne okna brownstone’ów [141], za którymi widać krzątające się w czystych kuchniach kucharki, i wyobrażam sobie, jak piętro wyżej kobiety zapalają świece, a jeszcze wyżej kąpie się śliczne dzieci – z wyjątkiem tego rodzaju wieczorów nigdy nie czułam się biedna. Miałam poczucie, że gdybym potrzebowała pieniędzy, zawsze będę w stanie je zdobyć. Zawsze mogłam przecież pisać teksty dla nastolatek pod pseudonimem Debbi Lynn dla agencji odsprzedającej je potem prasie albo szmuglować złoto do Indii, albo zostać *call girl* inkasującą po sto dolarów za spotkanie, a żadna z tych rzeczy nie będzie mieć znaczenia.

Nic nie było nieodwołalne; wszystko znajdowało się w zasięgu ręki. Praktycznie za każdym rogiem czekało coś ciekawego i interesującego, coś, czego nigdy wcześniej nie widziałam albo nie robiłam, albo o czym nie wiedziałam. Mogłam pójść na przyjęcie, na którym spotykałam kogoś, kto przedstawiał się jako Pan Apel do Emocji i prowadził Instytut Apelowania do Emocji, albo Tinę Onasis Blandford [142], albo crackera [143] z Florydy, w tamtym czasie stale kołującego po, jak sam to określił, „Wielkiej Ru”, rundzie Southampton [144]–El Morocco [145] („Mam znajomości na Wielkiej Ru, złotko”, mówił mi nad kapustą warzywną na swoim rozległym wynajętym tarasie), albo wdowę po królu selerów z targu w Harlemie, albo sprzedawcę fortepianów z Bonne Terre w Missouri, albo kogoś, kto w Midland w Teksasie zdążył już dwukrotnie dorobić się fortuny i dwukrotnie ją stracić. Mogłam składać obietnice sobie i innym ludziom w przekonaniu, że będę miała całe mnóstwo czasu na ich dotrzymanie.

Mogłam nie spać do późna i popełniać błędy, i nic z tego nie miało mieć znaczenia.

Przyznacie, że w Nowym Jorku znajdowałam się w dość dziwnym położeniu – nigdy nie zaświtało mi w głowie, że życie, jakie tam wiodę, to prawdziwe życie. We własnym wyobrażeniu zawsze miałam tam być jeszcze tylko kilka miesięcy, tylko do Bożego Narodzenia albo Wielkanocy, albo do pierwszego ciepłego dnia w maju. Z tego powodu najlepiej czułam się w towarzystwie Południowców. W moim odczuciu przebywali w Nowym Jorku na takich zasadach jak ja, na niemającym ściśle określonego terminu urlopie od tego miejsca, z którego pochodzili, niechętni rozważaniom na temat przyszłości, tymczasowi wygnańcy, którzy zawsze znali czasy odlotów do Nowego Orleanu albo Memphis czy Richmond, czy też, jak w moim przypadku, do Kalifornii. Ktoś, kto żyje z rozkładem lotów w szufladzie, żyje, opierając się na nieco innym kalendarzu. Święta były na przykład trudną porą roku. Inni mogli podejść do sprawy na spokojnie, pojechać do Stowe albo za granicę, albo do mamy w Connecticut na jeden dzień; ci z nas, którzy uważali, że mieszkają gdzie indziej, spędzali je, rezerwując i anulując bilety lotnicze, czekając na informacje o uziemionych lotach jak na ostatni samolot z Lizbony w 1940 roku, by w końcu pocieszać się nawzajem pomarańczami i pamiątkowymi drobiazgami, opowieściami o farszu z wędzonych ostryg jadanym w dzieciństwie – ci z nas, którzy zostali, zebrani w gromadki koloniści w odległym kraju.

Bo nimi właśnie byliśmy. Nie jestem pewna, czy ktoś wychowany na Wschodzie będzie w stanie w pełni pojąć, co Nowy Jork, idea Nowego Jorku, oznacza dla tych z nas, którzy przybyli tu z Zachodu i Południa. Dla dziecka ze Wschodu – zwłaszcza dziecka, które zawsze miało na Wall Street wujka i które spędziło kilkaset niedziel najpierw w sklepie z zabawkami FAO Schwarza i mierząc buty u Besta, a potem czekając pod zegarem w hotelu Biltmore i tańcząc do Lestera Lanina – Nowy Jork jest po prostu miastem, nawet jeśli wyjątkowo znanym, miejscem, w którym ludzie po prostu wiodą życie. Ale dla tych z nas, którzy przyjechali z miejsc, gdzie nikt nie słyszał o Lesterze Laninie, a stacja Grand Central mogła równie dobrze oznaczać sobotni program radiowy, dla których Wall Street albo Piąta Aleja, albo Madison Avenue nie były miejscami, lecz abstrakcjami („pieniądze”, „moda światowa”, „naciągacze”), Nowy Jork nie był po prostu miastem. Był za to nieskończenie romantycznym pojęciem,

tajemniczym splotem skupiającym w sobie wszelką miłość i władzę, lśnienie i kruchy sen. Wyobrażać sobie, że można by tu „mieszkać”, oznaczało sprowadzić to, co niesamowite, do poziomu tego, co zwyczajne; w Xanadu się nie mieszka.

Właściwie było mi niezmiernie trudno zrozumieć te młode kobiety, dla których Nowy Jork nie był jakimś efemerycznym Estorilem [146], ale rzeczywistym miejscem, dziewczyny, które kupowały tostery i montowały w mieszkaniach nowe szafki, i planowały jakąś rozsądną przyszłość. Nie kupiłam w ciągu pobytu w Nowym Jorku ani jednego mebla. Mniej więcej przez rok mieszkałam w cudzych mieszkaniach; potem przeniosłam się w rejon Dziewięćdziesiątych do lokalu urządzonego w całości rzeczami, które przyjaciel trzymał w magazynie od czasu wyprowadzki żony. A gdy opuszczałam to mieszkanie (to było, kiedy porzucałam wszystko, kiedy już wszystko się rozpadało), zostawiłam w nim wszystkie swoje rzeczy, nawet zimowe ubrania i mapę hrabstwa Sacramento, którą powiesiłam na ścianie sypialni, żeby mi przypominała, kim jestem, i przeprowadziłam się do czteropokojowego mnisiego apartamentu zajmującego całe piętro domu przy Siedemdziesiątej Piątej. „Mnisi” to może mylące określenie, bo sugeruje jakiś ascetyczny sznyt; dopóki nie wyszłam za mąż i mój małżonek nie przywiózł trochę mebli, nie było w tych czterech pokojach nic oprócz taniego podwójnego materaca na sprężynach zamówionego przez telefon tego dnia, kiedy postanowiłam się tam wprowadzić, i dwóch francuskich krzeseł ogrodowych pożyczonych mi przez przyjaciela, który je importował. (Dziś zdumiewa mnie, że wszyscy ludzie, których znałam w Nowym Jorku, dorabiali jakimiś dziwacznymi i chybionymi zajęciami. Sprowadzali krzesła ogrodowe, które sprzedawały się w Hammacher Schlemmer [147] bardzo przeciętnie, albo próbowali handlować prostownicami do włosów w Harlemie, albo pisywali pod pseudonimem sensacyjne artykuły na temat Murder Inc. [148] do niedzielnych dodatków. Myślę, że żadne z nas nie było szczególnie poważne – tylko nasze najbardziej prywatne życie cechowało podejście *engagé*).

Wszystkie moje działania względem tamtego lokum ograniczyły się do zawieszenia w oknach sypialni pięćdziesięciu jardów żółtego teatralnego jedwabiu, ponieważ nabrałam skądś przekonania, że złote światło poprawi mi samopoczucie, ale nie zadałam sobie trudu właściwego obciążenia tych

zasłon, w związku z czym przez całe lato te długie panele przezroczystego złotego jedwabiu wywiewało za parapet, gdzie plątały się i przemakały w czasie popołudniowych burz. To był rok, dwudziesty ósmy rok mojego życia, w którym zaczynałam się przekonywać, że nie wszystkie obietnice zostaną dotrzymane, że niektóre rzeczy są jednak nieodwołalne i że jednak to miało znaczenie – każdy unik i każda zwłoka, każda pomyłka, każde słowo, wszystko.

Przecież o to w tym właśnie chodziło, prawda? Obietnice? Dziś, kiedy Nowy Jork powraca we wspomnieniach, zjawia się przede mną w halucynacyjnych błyskach, tak beznamiętnie szczegółowych, że czasami wolałabym, żeby pamięć dopuszczała się tych zniekształceń, które się jej powszechnie przypisuje. W Nowym Jorku bardzo długo nosiłam perfumy o nazwie Fleurs de Rocaille, a potem L'Air du Temps, a dziś nawet ich ledwie uchwytna nuta powoduje u mnie zwarcie połączeń mózgowych na resztę dnia. Nie jestem też w stanie nie odpłynąć w przeszłość, kiedy czuję mydło jaśminowe Henri Bendel albo tę konkretną mieszankę przypraw stosowaną przy gotowaniu krabów. Całe beczki bazy do gotowania krabów stały w tamtym czeskim sklepiku gdzieś w okolicy Osiemdziesiątych, w którym niegdyś kupowałam. Zapachy, rzecz jasna, jak mało co uruchamiają wspomnienia, ale inne rzeczy działają na mnie na takiej samej zasadzie. Pościel w niebieskie i białe pasy. Wermut z likierem porzeczkowym. Pewne wyblakłe koszule nocne, które w 1959 i 1960 roku były nowe, a także pewne szyfonowe szale, które kupiłam mniej więcej w tym samym czasie.

Przypuszczam, że wielu z nas, którzy przeżywaliśmy młodość w Nowym Jorku, ma na swoich prywatnych ekranach pamięci te same obrazy. Pamiętam, że siedziałam w wielu mieszkaniach z lekkim bólem głowy o piątej nad ranem. Miałam znajomego, który źle sypiał, a on z kolei znał kilka osób, którym dokuczało to samo, więc patrzyliśmy, jak niebo jaśnieje, i wypijaliśmy po ostatnim drinku bez lodu, po czym ruszaliśmy do domu w świetle wczesnego poranka, przez czyste i mokre ulice (czyżby padało w nocy? nie wiedzieliśmy), kiedy nieliczne krążące o tej porze taksówki wciąż miały włączone reflektory, a jedynymi żywymi barwami były zieleń i czerwień sygnalizacji świetlnej. Bary White Rose otwierały się bardzo wcześnie – pamiętam, jak w jednym z nich czekałam na transmisję wyjścia astronauty w przestrzeń kosmiczną; czekałam tak długo, że kiedy

wreszcie do tego doszło, oczy miałam utkwione nie w ekranie telewizora, tylko w karaluchu na kaflach podłogi. Lubiłam ponure gałęzie zwieszające się nad placem Waszyngtona o świcie i monochromatyczną płaskość Drugiej Alei, schody pożarowe i zabezpieczone kratami witryny, dziwne i puste w tej perspektywie.

Kłótnia o wpół do siódmej czy siódmej po nocy bez snu to stosunkowo trudna sztuka i pewnie między innymi dlatego doczekiwaliśmy do świtu, który wydawał mi się przyjemną porą dnia. Okna w tamtym mieszkaniu przy jednej z Dziewięćdziesiątych miały żaluzje, więc mogłam się położyć na parę godzin, a potem pójść do pracy. Potrafiłam wtedy pracować po dwóch czy trzech godzinach snu i o pojemniku kawy z Chock Full O'Nuts. Lubiłam chodzić do pracy, lubiłam kojący i przynoszący satysfakcję rytm powstawania numeru, lubiłam uporządkowaną sekwencję, w której po ozalidach czterokolorowych przychodził czas na dwukolorowe, potem czarno-białe, a w końcu na produkt, który nie był abstrakcją, lecz czymś, co robiło wrażenie szykownego od niechcenia i po co można było sięgnąć na stoisku z prasą i poczuć w ręku. Lubiłam wszystkie technikalia odbitek i makiet, lubiłam pracować na drugą zmianę, kiedy magazyn szedł do druku, siedzieć, czytając „Variety", w oczekiwaniu na telefon z działu publikacji. Z mojego biura miałam widok ponad miastem na maszt pogodowy na budynku Mutual of New York i neony, które ponad Rockefeller Plaza naprzemiennie wyświetlały tytuły „TIME" i „LIFE"; sprawiało mi to bliżej nieokreśloną przyjemność, podobnie jak spacer z centrum o liliowym zmierzchu wczesnego lata w okolicach godziny ósmej i przyglądanie się wszystkiemu po kolei: wazom Lowestoft w oknach mieszkań przy Pięćdziesiątej Siódmej Ulicy, ludziom w strojach wieczorowych usiłujących złapać taksówkę, drzewom, które właśnie przyoblekały się w pełną zieleń, rozjarzonemu powietrzu, wszystkim słodkim obietnicom składanym przez pieniądz i lato.

Minęło ich kilka, a ja nadal nie zatraciłam tego poczucia zadziwienia Nowym Jorkiem. Zaczęłam doceniać samotność, jaką dawał, poczucie, że o dowolnej porze mogę zniknąć bez tłumaczenia się komukolwiek z tego, gdzie jestem albo co robię. Lubiłam spacery znad East River nad brzeg Hudson i z powrotem w rześkie dni, wokół Village, kiedy było ciepło. Przyjaciółka zostawiała mi klucze do swojego mieszkania w West Village, kiedy wyjeżdżała, i czasem po prostu się tam wprowadzałam, ponieważ już wtedy telefon zaczynał mi przeszkadzać (jak widzicie, już wtedy różę

toczyła choroba), a jej numer miało niewiele osób. Pamiętam dzień, w którym ktoś, kto miał numer tego telefonu do mieszkania w West Village, zabrał mnie na lancz, oboje mieliśmy kaca, i że rozcięłam sobie palec, otwierając mu piwo, i że się rozpłakałam, i że poszliśmy do hiszpańskiej restauracji, gdzie piliśmy Krwawe Mary i jedliśmy gazpacho, aż poczuliśmy się lepiej. Nie miałam wyrzutów sumienia, spędzając popołudnia w ten sposób, ponieważ wtedy wszystkie popołudnia świata wciąż należały do mnie.

A nawet będąc już w tym wieku, nadal lubiłam chodzić na imprezy – na wszystkie imprezy: kiepskie imprezy, sobotnie imprezy urządzane przez pary świeżo po ślubie, mieszkające w Stuyvesant Town, imprezy na West Side organizowane przez niewydawanych albo niewydarzonych pisarzy, którzy serwowali tanie wino i gadali o wyjeździe do Guadalajary, imprezy w Village, których wszyscy goście pracowali w agencjach reklamowych i głosowali na demokratów skrzydła reformatorskiego, na bankiety dla mediów u Sardiego, ten najgorszy rodzaj imprez. Zapewne dostrzegliście już, że nie byłam kimś, kto by się uczył na cudzych błędach, że naprawdę dużo czasu musiało upłynąć, nim przestałam wierzyć w „nowe twarze” i zaczęłam rozumieć morał zawarty w tamtej historii, a mianowicie że jak najbardziej da się zostać na festynie zbyt długo.

Nie umiałabym wam powiedzieć, kiedy zaczęłam to sobie uzmysławiać. Wiem tylko, że gdy miałam dwadzieścia osiem lat, było już bardzo źle. Wszystko, co do mnie mówiono, brzmiało, jakbym to już słyszała, i nie byłam w stanie więcej tego słuchać. Nie byłam już w stanie siedzieć w małych barach w pobliżu Grand Central i przysłuchiwać się, jak ktoś narzeka, że jego żona nie dogaduje się z pomocą domową, podczas gdy odjeżdża mu kolejny pociąg do Connecticut. W ogóle mnie już nie interesowało, co inni mają mi do powiedzenia o zaliczkach, które otrzymali od wydawców, o sztukach, w których w drugim akcie coś się dzieje w Filadelfii, ani o ludziach, którzy z pewnością by mi się spodobali, gdybym tylko dała się wyciągnąć na spotkanie. Już ich znałam, od zawsze. Rankami w tygodniu nie mogłam zdzierżyć północnego odcinka Madison Avenue (ta awersja była szczególnie problematyczna z uwagi na to, że mieszkałam wtedy o rzut kamieniem od Madison), ponieważ widywałam tam kobiety z yorkami na smyczy, robiące zakupy w Gristedes, i czułam, jak w gardle otwiera mi się jakiś veblenowski wąwóz [149]. Nie mogłam

chodzić na Times Square po południu ani do Nowojorskiej Biblioteki Publicznej, i to niezależnie od celu. Jednego dnia nie byłam w stanie wejść do Schraffta, innego do Bonwit Teller.

Raniłam osoby, na których mi zależało, a te, na których mi nie zależało, obrażałam. Odcięłam się od osoby, która była mi bliższa niż ktokolwiek inny. Płakałam tyle, że w końcu nawet nie wiedziałam, kiedy płaczę, a kiedy nie, płakałam w windach i w taksówkach, i w chińskich pralniach, a kiedy poszłam do lekarza, powiedział tylko, że widocznie mam depresję i powinnam się udać do „specjalisty". Zapisał mi nazwisko i adres psychiatry, ale się tam nie wybrałam.

Zamiast tego wyszłam za mąż, co okazało się bardzo dobrym wyborem, choć w nie najlepszym momencie, ponieważ wciąż nie byłam w stanie przejść rano Madison Avenue, nadal z nikim nie rozmawiałam i nadal płakałam po chińskich pralniach. Wcześniej nie rozumiałam znaczenia słowa „rozpacz" i nie jestem pewna, czy rozumiem je teraz, ale tamtego roku rozumiałam je na pewno. Rzecz jasna, nie byłam w stanie pracować. Nie miałam nawet pewności, czy zdołam przygotować kolację; siedziałam w mieszkaniu przy Siedemdziesiątej Piątej Ulicy, dopóki nie zadzwonił mój mąż i nie powiedział łagodnym tonem, że nie muszę nic szykować, że możemy się spotkać w pubie Michael's albo w restauracji Toots Shor's, albo w Sardi's East. A potem któregoś poranka w kwietniu (pobraliśmy się w styczniu) zadzwonił do mnie i powiedział, że chce się wyrwać z Nowego Jorku, że weźmie półroczny urlop, że dokądś wyjedziemy.

Mijają trzy lata od tej rozmowy; od tamtego czasu mieszkamy w Los Angeles. Wiele osób, z którymi spotykaliśmy się w Nowym Jorku, uważa to za dziwną aberrację i mówi nam o tym otwarcie. Nie istnieje zadowalająca, właściwa odpowiedź na taki zarzut, dlatego sięgamy po pewne dyżurne odpowiedzi – odpowiedzi, po które wszyscy sięgają. Mówię, że trudno by nam było „pozwolić sobie" na życie w Nowym Jorku w tej chwili, o tym, jak dużo „przestrzeni" nam potrzeba. Chodzi mi tylko o to, że w Nowym Jorku byłam bardzo młoda i w pewnym momencie ten złoty rytm się urwał, a ja już tak młoda nie byłam. Kiedy ostatni raz bawiłam w Nowym Jorku, był zimny styczeń i wszystkich morzyły choroba i zmęczenie. Wiele osób, które tam znałam, przeprowadziło się do Dallas albo podjęło leczenie disulfiramem [150], albo kupiło farmę w New Hampshire. Zostaliśmy w Nowym Jorku dziesięć dni, a potem wsiedliśmy

w popołudniowy lot do Los Angeles i w nocy po drodze z lotniska widziałam księżyc nad Pacyfikiem i czułam dookoła woń jaśminu, i oboje wiedzieliśmy, że nie ma już sensu trzymać tego mieszkania, które jeszcze tam wynajmowaliśmy. Były takie lata, kiedy to Los Angeles nazywałam „Wybrzeżem”, ale teraz wydają mi się one bardzo odległe.

1967

Przypisy

[1] Wampum – kolorowe paciorki pełniące u Indian Ameryki Północnej między innymi funkcję środka płatniczego. (Jeśli nie podano inaczej, przypisy pochodzą od redakcji).

[2] Mt 16, 26, Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu w przekładzie z języków oryginalnych, wyd. 5, Poznań 2000 (Biblia Tysiąclecia).

[3] Ang. *double indemnity* – klauzula w polisie ubezpieczeniowej obligująca ubezpieczyciela do wypłacenia wielokrotności określonej w umowie nominalnej kwoty odszkodowania w przypadku śmierci ubezpieczonego w wyniku nieszczęśliwego wypadku. To także tytuł filmu *noir* z 1944 roku w reżyserii Billy'ego Wildera, w którym niewierna żona planuje morderstwo męża w celu wyłudzenia podwójnej stawki polisy na życie.

[4] Iz 54, 17; cyt. za Biblią Gdańską, 1881.

[5] Stan Laurel (1890–1965) – angielski komik, scenarzysta i reżyser, znany głównie z roli nieporadnego Flipa w serii filmowych komedii.

[6] Forest Lawn – cmentarz w południowej Kalifornii, położony w pobliżu Wzgórz Hollywood. Spoczywa tam wiele zasłużonych dla kraju osób, przede wszystkim z branży rozrywkowej.

[7] Fragment wiersza Arthura Chapmana *Out where the West Begins* z 1917 roku. Utwór należy do nurtu poezji kowbojskiej; został zaaranżowany na piosenkę, która zyskała dużą popularność.

[8] W 1964 roku u Johna Wayne'a zdiagnozowano raka płuc.

[9] Merle Oberon (1911–1979) – brytyjska aktorka, znana z filmów dla wytwórni Samuela Goldwyna. Nominowana do Oscara za kreację w dramacie wojennym *Czarny anioł* z 1935 roku.

[10] Bookbinder's – Istniejąca do 2009 roku znana filadelfijska restauracja specjalizująca się w owocach morza.

[11] William S. Hart (1864–1946) – amerykański aktor, gwiazdor kina niemego, znany głównie z westernów. Był także reżyserem i producentem.

[12] Meskal – meksykańska wódka produkowana z liści agawy. Jej najpopularniejszą odmianą jest tequila.

[13] Ang. *eye lights* lub *catch lights* – zabieg operatorski zwany efektem lustrzanych refleksów, wykorzystywany w filmie i fotografii w celu uwypuklenia oczu fotografowanej osoby na tle pozostałych elementów scenografii.

[14] Nawiązanie do kontrkulturowych protestów studenckich, które odbywały się w latach sześćdziesiątych XX wieku na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley.

[15] Do połowy lat 60. XX wieku popularna sieć handlowa Sears posługiwała się pełną nazwą Sears, Roebuck & Co.

[16] Ballady Childa – zbiór ponad trzystu tradycyjnych ballad z terenów Anglii i Szkocji zebranych w antologię przez Francisa Jamesa Childa w drugiej połowie XIX wieku.

[17] Autorka używa słowa *Negro*, którego polskim odpowiednikiem jest „Murzyn", „murzyński". Słowo to we współczesnej angielszczyźnie – na skutek refleksji nad istotną rolą języka w systemie opresji, w momencie pisania tego tekstu przez Didion dopiero kiełkującej – uznaje się za rasistowskie i od kilku dekad zastępuje określeniem „black", „czarny", które w odróżnieniu od „Murzyna" nie stwarza asymetrycznej relacji białej normy, nieposiadającej odrębnego określenia, oraz nie-białego odstępstwa od niej, napiętnowanego specjalnym słowem. „Czarny" pozwala na opisowe, zasadniczo neutralne, mówienie o przedstawicielach fenotypu typowego dla mieszkańców Afryki. Określenia opisowe „czarny"/„biały" rozbrajają optykę różnicy, ponieważ odmienność koloru skóry pokazują w kategoriach cechy, właściwości ciała, takiej jak kolor oczu albo tembr głosu, a nie w kategoriach rasy, czyli wartościującego, powiązanego ze stereotypami konstruktu kulturowego. Stojące w polszczyźnie za Murzynem stereotypowe imaginarium zacofania, infantylizmu, poczciwości, przeglądające się w związanej z nim frazeologii jest chyba dostatecznie wymownym argumentem za zaprzestaniem posługiwania się tym słowem w języku codziennym. W przekładzie pozostaję przy nim na zasadach cytatu historycznego (tak jak nie zmienia go amerykański wydawca) (przyp. tłum.).

[18] Marsz na Waszyngton – jedna z największych pokojowych demonstracji w historii Stanów Zjednoczonych, która odbyła się 28 sierpnia 1963 roku. Uczestnicy żądali między innymi zniesienia segregacji rasowej oraz podniesienia płacy minimalnej. W czasie tej demonstracji Martin Luther King wygłosił słynne przemówienie, zaczynające się od słów *„I have a dream…"*.

[19] Rima z dżungli – dziewczyna z Amazonii mówiąca w języku ptaków, bohaterka powieści Williama Henry'ego Hudsona *Green Mansions. A Romance Of The Tropical Forest* wydanej w 1904 roku.

[20] Vietnam Day Committee (VDC) – stowarzyszenie lewicowych organizacji politycznych, studenckich i robotniczych, zawiązane w 1965 roku w Berkeley w Kalifornii. Koalicja sprzeciwiała się wojnie w Wietnamie, organizując antywojenne protesty.

[21] AEC, United States Atomic Energy Commission – Komisja do spraw Energii Atomowej Stanów Zjednoczonych.

[22] Rozmówca Didion w ten sposób pogardliwie wyraża się o *The American Songbag*, popularnej antologii amerykańskich piosenek folkowych skompilowanej przez poetę Carla Sandburga w latach dwudziestych XX wieku (przyp. tłum.).

[23] Adam Clayton Powell junior (1908–1972) – pastor baptystów, wpływowy polityk Partii Demokratycznej, pierwszy Afroamerykanin wybrany do Kongresu USA, w którym dzięki kolejnym

wygranym elekcjom spędził prawie trzy dekady.

[24] Bayard Rustin (1912–1987) – afroamerykański działacz ruchu na rzecz praw obywatelskich, główny organizator Marszu na Waszyngton w 1963 roku, doradca Martina Luthera Kinga.

[25] James Farmer (1920–1999) – jeden z głównych aktywistów ruchu na rzecz praw obywatelskich, walczący o zniesienie segregacji rasowej i równouprawnienie Afroamerykanów.

[26] Andy Williams (1927–2012) – jeden z najbardziej popularnych amerykańskich piosenkarzy nurtu popu tradycyjnego, zdobywca wielu złotych i platynowych płyt, nominowany do nagród Grammy. W latach 1962–1971 był gospodarzem telewizyjnego programu rozrywkowego *The Andy Williams Show*, za który otrzymał trzy statuetki Emmy.

[27] League of Women Voters – amerykańska organizacja obywatelska powstała w 1920 roku, zachęcająca kobiety do angażowania się w sprawy publiczne. Od 1973 roku do organizacji mogą należeć również mężczyźni. Obecnie liga zajmuje się popularyzacją inicjatyw publicznych, edukacją prawną i polityczną oraz wspieraniem udziału obywateli w budowaniu demokratycznego społeczeństwa.

[28] Dzielnica Watts w Los Angeles i nowojorski Harlem były w tamtym czasie gettami, do których zepchnięto czarną ludność tych metropolii i rejonami podatnymi na społeczne wrzenie.

[29] Gus Hall (1910–2000) – aktywista związków robotniczych, przewodniczący Amerykańskiej Partii Komunistycznej, jej czterokrotny kandydat na urząd prezydenta USA.

[30] H. Rap Brown, obecnie występujący jako Jamil Abdullah Al-Amin (ur. 1943) – afroamerykański aktywista, działacz ruchu na rzecz praw obywatelskich. Od 2002 roku odsiaduje wyrok dożywocia za zabójstwo policjanta. Do popełnienia tej zbrodni przyznał się inny mężczyzna, jednak sąd odrzucił jego zeznania.

[31] Cień – tajemniczy bohater serii opowieści detektywistycznych publikowanych w różnych mediach (początkowo jako audycja radiowa) od początku lat trzydziestych XX wieku.

[32] Howard Hughes przybył w 1966 roku do hotelu Desert Inn w Las Vegas na dziesięciodniowy pobyt liczony od dnia Święta Dziękczynienia, jednak mimo upływu zarezerwowanego terminu wynajmu, nie chciał opuścić apartamentu, uniemożliwiając tym samym hotelowi zrealizowanie grudniowych rezerwacji następnych gości. Hughes zamiast zwolnić apartament, rozpoczął negocjacje dotyczące kupna całego obiektu. Stał się jego właścicielem w marcu następnego roku.

[33] The Strip – odcinek Las Vegas Boulevard o długości niemal siedmiu kilometrów, przy którym znajdują się największe hotele w mieście.

[34] Joseph Jefferson Jackson, zwany „Bosym Joem” (1887–1951) – amerykański gwiazdor bejsbolu, oskarżony z grupą innych graczy o ustawianie meczów.

[35] Warren Gamaliel Harding (1865–1923) – polityk Partii Republikańskiej, w latach 1921–1923 prezydent USA. W ostatnim roku jego urzędowania oraz krótko po jego śmierci na jaw wyszły liczne afery i nadużycia jego współpracowników.

[36] Adlai Ewing Stevenson II (1900–1965) – amerykański prawnik, polityk i dyplomata, ambasador kraju przy Organizacji Narodów Zjednoczonych, zapamiętany w USA jako mistrz oratorstwa, debaty i elokwentnego dowcipu.

[37] Fundusz dla Republiki, Fund for the Republic – działająca w latach 1951–1959 na polu nauk społecznych organizacja publikująca m.in. krytyczne opracowania na temat skutków makkartyzmu i antykomunizmu w powojennej Ameryce oraz zagrożeń dla swobód obywatelskich.

[38] Bennett Cerf (1898–1971) – amerykański wydawca książkowy i telewizyjny celebryta.

[39] Couéizm (znany także jako „metoda Couégo") – system psychoterapii wprowadzony przez francuskiego psychologa Émile'a Couégo w latach dwudziestych XX wieku, polegający na samodoskonaleniu się i wyzbywaniu problemów poprzez regularnie stosowaną autosugestię dobrego samopoczucia.

[40] John Birch Society – skrajnie prawicowa amerykańska organizacja polityczna postulująca całkowity liberalizm gospodarczy, zwalczająca socjalizm, interwencjonizm gospodarczy i redystrybucję bogactwa oraz ruch na rzecz praw obywatelskich, określając go jako „forpocztę komunizmu w USA".

[41] Dinah Shore (1916–1994) – amerykańska piosenkarka, aktorka i osobowość telewizyjna, popularna w latach czterdziestych.

[42] Steve Allen (1921–2000) – amerykański komik, muzyk, aktor i pisarz. Największą popularność przyniósł mu wieczorny program telewizyjny *The Tonight Show*, którego był współtwórcą i pierwszym gospodarzem.

[43] James William Fulbright (1905–1995) – amerykański prawnik i profesor akademicki, inicjator międzynarodowego programu stypendialnego nazwanego jego nazwiskiem (*The Fulbright Program*). Przez prawie trzydzieści lat zasiadał w Senacie USA z ramienia Partii Demokratycznej, z czego przez szesnaście piastował stanowisko przewodniczącego senackiej komisji spraw zagranicznych. Zasłynął ostrą krytyką wojny w Wietnamie.

[44] Arnold J. Toynbee (1889–1975) – brytyjski historyk i filozof, uznawany za klasyka dwudziestowiecznej historiozofii. Jest autorem dwunastotomowego *Studium historii* – głośnego, szeroko komentowanego dzieła, w którym poddał analizie cywilizacje jako jednostki historyczne.

[45] William Orville Douglas (1898–1980) – amerykański prawnik, sędzia Sądu Najwyższego USA o najdłuższym stażu urzędowania – pełnił tę funkcję przez trzydzieści sześć lat (1939–1975).

[46] Rosemary Park (1907–2004) – uczona, liderka akademicka i aktywistka na rzecz edukacji kobiet.

[47] Azotyn amylu – wziewna substancja narkotyczna, popularna w klubach od końca lat sześćdziesiątych XX wieku, pakowana w szklane ampułki zwane poppersami.

[48] Chodzi zapewne o film kryminalny *The Miami Story*, reż. Fred F. Sears, 1954.

[49] Malakoff Diggins to park przyrodniczo-kulturowy z monumentalnymi wyrobiskami po dziewiętnastowiecznej kalifornijskiej gorączce złota (przyp. tłum.).

[50] Aragon Ballroom – sala rozrywkowo-taneczna w Ocean Park w Kalifornii, działająca w latach 1942–1967. Przemianowana następnie na klub muzyczny Cheetah, w którym koncerty grali między innymi The Doors, Pink Floyd i The Grateful Dead. Sala została zniszczona w 1970 roku przez pożar.

[51] Lawrence Welk (1903–1992) – amerykański akordeonista, lider big-bandu i dyrygent, którego styl określano jako „muzykę szampańską". W latach 1951–1982 był gospodarzem popularnego programu telewizyjnego *The Lawrence Welk Show*, przez jakiś czas nagrywanego w Aragon Ballroom.

[52] Jerry Garcia (1942–1995) – wokalista, gitarzysta i autor tekstów, lider The Grateful Dead.

[53] Oficer Krupke – gburowaty bohater jednej z piosenek z musicalu *West Side Story*.

[54] Human Be-In – hipisowski happening przeciwko delegalizacji LSD zorganizowany 14 stycznia 1967 roku w San Francisco; szacuje się, że uczestniczyło w nim około dwudziestu pięciu tysięcy osób.

[55] DOM – pochodna amfetaminy, popularna wśród hipisów w latach sześćdziesiątych XX wieku.

[56] AmeriCorps VISTA (Volunteers in Service to America) – program walki z ubóstwem w USA, zapoczątkowany w 1965 roku.

[57] Religijne Towarzystwo Przyjaciół, inaczej kwakrzy – wspólnota chrześcijańska, odłam angielskiego purytanizmu, dystynktywną cechą jego członków jest wyznawanie wartości pacyfistycznych (przyp. tłum.).

[58] W 1967 roku w niezależnym tygodniku „Berkeley Barb" opublikowano artykuł o „banadrynie" – substancji psychoaktywnej rzekomo pozyskiwanej z palonych skórek bananów. Wiele osób uwierzyło w mistyfikację.

[59] *No Milk Today* zespołu Herman's Hermits (przyp. tłum.).

[60] „Najlepsze wyrazy miłości to z piekarnika pyszności" – popularne hasło reklamowe koncernu spożywczego Pillsbury Company (producenta między innymi mrożonych ciast) wypowiadane przez firmową maskotkę znaną jako Pillsbury Doughboy.

[61] Mistyka kobiecości – wyrażenie zaczerpnięte z głośnej książki Betty Friedan o tym samym tytule, wydanej w 1963 roku. Friedan zaprzeczyła w niej powszechnie przyjmowanemu wówczas poglądowi, że kobieta najlepiej spełnia się jako żona i matka i jeśli chce pozostać kobiecą, nie powinna wykazywać ambicji edukacyjnych ani zawodowych.

[62] Job's Daughters International – organizacja masońska powstała w 1920 roku, zrzeszająca młode kobiety wszystkich religii.

[63] Ang. *panty raid* – studencki wybryk popularny w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych XX wieku, polegający na „nalotach" większymi grupami na żeńskie akademiki i kradzieży bielizny studentek.

[64] Jewish Community Center (do roku 1951 Young Men's Hebrew Association) – organizacja edukacyjno-kulturalna zajmująca się promowaniem szeroko pojętej kultury i dziedzictwa Żydów

oraz wzmacnianiem więzi między członkami wspólnoty. Jest otwarta na przedstawicieli innych społeczności.

[65] Korpus Pokoju – amerykańska agencja rządowa powołana w 1961 roku przez prezydenta Johna F. Kennedy'ego; jej celem jest niesienie pomocy krajom rozwijającym się w zakresie spraw społecznych, gospodarczych oraz edukacji.

[66] Zamieszki w dzielnicy Hunters Point w San Francisco wybuchły w nocy 27 września. Ich bezpośrednim powodem było zastrzelenie afroamerykańskiego nastolatka przez policjanta.

[67] Zob. przyp. tłum. na stronie 69.

[68] Bettina Aptheker (ur. 1944) – amerykańska aktywistka polityczna działająca w ruchach na rzecz praw obywatelskich, radykalna feministka i pisarka.

[69] Benjamin Sonnenberg (1901–1978) – specjalista od *public relations*, chętnie zatrudniany przez gwiazdy i duże korporacje. Znany z urządzania wystawnych przyjęć w swoim apartamencie na Manhattanie w Nowym Jorku.

[70] Teddy Stauffer, zwany Mr. Acapulco (1909–1991) – szwajcarski muzyk, aktor, lider big-bandu, znany był w latach trzydziestych XX wieku jako „niemiecki król swingu". Płyty jego zespołu wydawane były na całym świecie. Od 1941 roku mieszkał w Acapulco, gdzie występował i prowadził kluby nocne.

[71] Jessica Mitford (1917–1996) – urodzona w Anglii, a od 1944 roku posiadająca obywatelstwo USA pisarka, dziennikarka i lewicowa aktywistka polityczna, znana z pełnych czarnego humoru, zaangażowanych społecznie tekstów dotyczących Ameryki.

[72] Ambrose Bierce (1842–1914) – amerykański dziennikarz, satyryk, nowelista i filozof sceptyk; uczestnik wojny secesyjnej.

[73] Leland Stanford (1824–1893) – amerykański potentat przemysłowy i polityk Partii Republikańskiej, gubernator Kalifornii, następnie senator. Założyciel Uniwersytetu Stanforda.

[74] Jimmy Hoffa (1913–1975) – amerykański działacz związkowy, długoletni przewodniczący International Brotherhood of Teamsters – w szczytowym momencie był to największy związek zawodowy w USA. Hoffa miał powiązania ze zorganizowaną przestępczością. Zniknął w 1975 roku, uważa się, że został zamordowany przez mafię.

[75] John O'Hara (1905–1970) – popularny amerykański pisarz, autor między innymi powieści *Spotkanie w Samarze*.

[76] Phi Beta Kappa – prestiżowe, najstarsze bractwo studenckie w USA, którego pochodząca z greki nazwa oznacza „umiłowanie mądrości, przewodniczki życia". Bractwo ma oddziały na prawie trzystu amerykańskich uczelniach.

[77] Por. Francis Scott Fitzgerald, *Wielki Gatsby*, tłum. Ariadna Demkowska-Bohdziewicz, Warszawa 1982, s. 78–79 (przyp. tłum.).

[78] Charles Gordon (1833–1885) – brytyjski generał i administrator kolonii w Chinach, Egipcie i Sudanie, znany jako „Chiński Gordon", a potem „Gordon z Sudanu". Zasłynął obroną Chartumu

w czasie powstania Mahdiego przeciwko rządom brytyjsko-egipskim. Zanim doszło do oblężenia miasta, Gordon ewakuował z niego ponad dwa tysiące chorych, dzieci i kobiet. Zginął ze swoimi żołnierzami po półrocznej obronie miasta, bezskutecznie czekając na pomoc brytyjskiego rządu. Odsiecz przybyła tuż po jego śmierci.

[79] Francesca da Rimini i Paolo Malatesta – kochankowie z XIII wieku, zabici przez męża Franceski po odkryciu przez niego ich romansu. Stali się pierwowzorami bohaterów z *Boskiej komedii* Dantego, autor spotyka ich w drugim kręgu piekła, gdzie przebywają cierpiący za grzechy zmysłowości.

[80] Helen Keller (1880–1968) – amerykańska pisarka i aktywistka, pierwsza głuchoniewidoma osoba w USA, która uzyskała tytuł licencjata sztuki.

[81] Anne Sullivan (1866–1936), nauczycielka, a następnie partnerka życiowa Helen Keller. Historia ich życia stała się kanwą nagrodzonego trzema Oscarami filmu *Cudotwórczyni* z 1962 roku.

[82] Autorka relacjonuje, zresztą bardzo niedokładnie, fabułę filmu *The Colossus of New York* w reżyserii Eugène'a Louriégo z 1958 roku (przyp. tłum.).

[83] James Cagney (1899–1986) – amerykański aktor filmowy i teatralny, jedna z największych gwiazd „złotej ery Hollywood".

[84] Sheilah Graham Westbrook (1904–1988) – amerykańska dziennikarka i pisarka, relacjonowała życie Hollywood w jego „złotej erze". Była kochanką Fitzgeralda od 1937 roku aż do śmierci pisarza w roku 1940.

[85] Thalberg Building – siedziba administracji wytwórni filmowej Metro–Goldwyn–Mayer (MGM) otwarta w 1938 roku. Budynek został nazwany na cześć Irvinga Thalberga (1899–1936), dyrektora produkcji w MGM.

[86] Graybar Building – trzydziestopiętrowy biurowiec na Manhattanie w Nowym Jorku, oddany do użytku w 1927 roku. W budynku swoją siedzibę miały wydawnictwo Condé Nast oraz redakcja wydawanego przez tę firmę magazynu „Vanity Fair"–

[87] Edmund Wilson (1895–1972) – amerykański pisarz i krytyk literacki. Był jedną z najbardziej wpływowych postaci amerykańskiego życia literackiego swoich czasów.

[88] Nawiązanie do tak zwanego systemu studyjnego produkcji i dystrybucji filmów, dominującego w fabryce snów od lat dwudziestych do pięćdziesiątych XX wieku. Okres ten, nazwany „złotą erą Hollywood", charakteryzowała dominacja kilku wielkich studiów filmowych, z którymi pracownicy, w tym aktorzy, byli związani długoterminowymi kontraktami.

[89] „Cahiers du Cinéma" – francuski miesięcznik filmowy, wydawany od 1951 roku. Publikowało w nim wielu znanych twórców.

[90] Nicholas Ray (1911–1979) – amerykański reżyser i scenarzysta. Wyreżyserował między innymi *Buntownika bez powodu*.

[91] Suzy Parker (1932–2003) – amerykańska modelka i aktorka, która osiągnęła szczyt popularności w latach pięćdziesiątych XX wieku.

[92] Sierżant Ernest Bilko – postać grana przez Phila Silversa w serialu komediowym *The Phil Silvers Show*, emitowanym w USA od 1955 do 1959 roku.

[93] Kodeks Haysa (od nazwiska jego twórcy Williama Haysa) to zbiór konserwatywnych wytycznych dla branży filmowej dotyczących treści i przekazu filmów. Kodeks zakazywał między innymi pokazywania scen erotycznych, związków pozamałżeńskich, żartów z religii i duchowieństwa, wulgaryzmów; nakazywał również ostrożność w przedstawianiu wielu zjawisk, na przykład picia alkoholu czy „techniki" popełniania przestępstw. Największe studia filmowe respektowały te zasady do lat sześćdziesiątych XX wieku.

[94] Mowa o wyprawie grupy amerykańskich pionierów wędrujących ze Środkowego Zachodu do Kalifornii w latach 1846–1847. Grupa utknęła w górach Sierra Nevada, gdzie z powodu głodu niektórzy jej członkowie dopuszczali się kanibalizmu, zjadając ciała zmarłych wcześniej towarzyszy drogi.

[95] Wyprawa jayhawkersów (określeniem tym nazywano mieszkańców Kansas) do Kalifornii odbyła się w 1849 roku. Grupa pionierów, wiedziona gorączką złota, przez cztery miesiące przedzierała się przez góry i pustynie na Zachodzie USA. Wielu jej uczestników zmarło z głodu, pragnienia i wyczerpania.

[96] Pierwsze słowa hymnu religijnego *Rock of Ages*, napisanego w 1763 roku przez wielebnego Augustusa Toplady'ego.

[97] Klaus Fuchs (1911–1988) – niemiecki fizyk, od 1933 roku mieszkający w Wielkiej Brytanii, a od 1943 roku w USA – w obu tych krajach brał udział w pracach nad pierwszą bombą atomową. Pod koniec lat czterdziestych aresztowany i skazany za szpiegostwo na rzecz ZSRR. Uważa się, że przekazywane przez niego od początku lat czterdziestych informacje znacząco przyczyniły się do powstania radzieckiej broni jądrowej.

[98] Masakra pod Mountain Meadows – mord dokonany w Utah przez mormońskich osadników oraz namówionych przez nich Indian na grupie około stu dwudziestu kolonistów podróżujących z Arkansas do Kalifornii w 1857 roku.

[99] Alfred Rosenberg (1893–1946) – niemiecki zbrodniarz wojenny, twórca najważniejszych założeń ideologicznych narodowego socjalizmu, między innymi teorii o wyższości rasy aryjskiej oraz skrajnego antysemityzmu. Po drugiej wojnie światowej schwytany i skazany w procesie norymberskim na karę śmierci. Wyrok wykonano.

[100] Daniel Bell (1919–2011) – amerykański socjolog i profesor akademicki, jeden z twórców koncepcji społeczeństwa poprzemysłowego oraz „końca wieku ideologii".

[101] Norman Mailer, *Jeleni park*, przeł. Lesław Ludwig, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1992, s. 188.

[102] Robert Penn Warren, *Gubernator,* przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa: PIW, 1962, s. 7.

[103] Robert La Follette (1855–1925) – amerykański polityk. W 1924 roku uzyskał nominację założonej przez siebie Partii Postępu w wyborach na prezydenta USA. Zdobył prawie pięć milionów głosów, co dało mu trzecie miejsce wśród wszystkich kandydatów.

[104] The Sutter Club – klub towarzyski w Sacramento założony w 1889 roku przez liderów lokalnej społeczności.

[105] The Pacific Union Club – klub towarzyski z siedzibą w San Francisco założony w 1889 roku. Uważany za jeden z najbardziej elitarnych klubów w USA; odegrał ważną rolę w historii Zachodniego Wybrzeża.

[106] The Bohemian Club – założony w 1872 roku klub towarzyski zrzeszający artystów, dziennikarzy, biznesmenów oraz lokalnych i krajowych liderów politycznych; jego główna siedziba znajduje się w San Francisco.

[107] Gerard Manley Hopkins, *Wiosna i jesień*, przeł. Stanisław Barańczak.

[108] Shrinersi – członkowie międzynarodowej organizacji masońskiej (The Shriners), założonej w 1870 roku. Jej główna siedziba znajduje się obecnie w Tampie na Florydzie. Organizacja jest najbardziej znana z prowadzenia sieci szpitali dla dzieci oraz udziału w lokalnych paradach.

[109] William Shakespeare, *Cymbeline król Brytanii*, akt IV, scena II, przeł. Maciej Słomczyński, Kraków: Wydawnictwo Literackie, 1983, s. 139.

[110] Doris Duke (1912–1993) – spadkobierczyni fortuny zbitej na obrocie tytoniem, kolekcjonerka dzieł sztuki i filantropka. Jej bogactwo i życie prywatne było przedmiotem wielkiego zainteresowania prasy. Duke często spędzała zimy w swojej rezydencji na Hawajach.

[111] Henry J. Kaiser (1882–1967) – amerykański przemysłowiec i magnat na rynku nieruchomości, zwany „ojcem nowoczesnego przemysłu stoczniowego”, angażował się także w wielkie inwestycje budowlane, jak zapora Hoovera. Wiele lat życia spędził w Honolulu na Hawajach, tam też zmarł.

[112] Diamond Head – wygasły wulkan na wyspie Oahu w pobliżu Honolulu, popularne miejsce turystyczne.

[113] Muumuu – szeroka kwiecista hawajska sukienka.

[114] *My Little Grass Shack in Kealakekua, Hawaii* – popularna piosenka w stylu hawajskim, napisana w 1933 roku. Była wykorzystywana w wielu filmach i programach telewizyjnych.

[115] Lydia Lili‘uokalani (1838–1917) – ostatnia królowa Hawajów, panowała w latach 1891–1893.

[116] Mowa o filmach *Mściwy jastrząb* z Johnem Garfieldem (1943), *30 sekund nad Tokio* ze Spencerem Tracym i Vanem Johnsonem (1944) oraz *Wojna o ocean* z Johnem Wayne’em i Kirkiem Douglasem (1965).

[117] *Lei* – hawajskie określenie kwietnych girland i wieńców.

[118] Da Nang – miasto w Wietnamie nad Morzem Południowochińskim. W czasie wojny wietnamskiej było główną bazą lotniczą wojsk Wietnamu Południowego i USA.

[119] Young Women’s Christian Association – międzynarodowa organizacja zrzeszająca kobiety działające na rzecz poprawy sytuacji kobiet w różnych krajach poprzez promocję edukacji, zaangażowanie w inicjatywy społeczne i gospodarcze, ochronę zdrowia, organizowanie grup samopomocy oraz wzmacnianie postaw przywódczych.

[120] Nisej – osoba pochodzenia japońskiego. Niseje to druga co do wielkości grupa etniczna na Hawajach.

[121] Daniel Inouye (1924–2012) – polityk Partii Demokratycznej, reprezentował ojczyste Hawaje w Kongresie USA, od 1959 roku w Izbie Reprezentantów, a od 1963 roku aż do swej śmierci w Senacie. Był pierwszym senatorem USA pochodzenia japońskiego, a przez wiele lat najwyższym rangą politykiem pochodzenia azjatyckiego.

[122] International Longshore and Warehouse Union – związek zawodowy reprezentujący głównie pracowników portowych. Działa na Zachodnim Wybrzeżu USA oraz na Hawajach.

[123] Chinn Ho (1904–1987) – hawajski biznesmen, milioner i filantrop.

[124] Zob. przyp. tłum. na stronie 69.

[125] Bishop Estate – największy prywatny właściciel nieruchomości na Hawajach.

[126] Robert Stroud, „Ptasznik z Alcatraz” (1890–1963) – skazany na śmierć za zabójstwo, karę zamieniono na wyrok dożywotniego więzienia. Przebywając w zamknięciu, zainteresował się ornitologią, opisywał choroby ptaków oraz opracował na nie lekarstwa.

[127] Mickey Cohen (1913–1976) – jeden z najbardziej znanych gangsterów w USA, działający w grupach przestępczych między innymi w Los Angeles, Chicago i Nowym Jorku. W 1961 roku został skazany za niepłacenie podatków i wysłany do Alcatraz.

[128] *Scrimshaw* – ozdoby z kłów kaszalota wykonywane przez wielorybników podczas długich rejsów.

[129] Kate Barker, „Mamuśka Barker” (1873–1935) – matka kilku przestępców tworzących rodzinny gang Barkerów. Podejrzewano ją o kierowanie tą grupą, jednak nigdy jej tego nie udowodniono.

[130] Łk 24,5–6, Biblia Brzeska.

[131] Edith Wharton (1862–1937) – amerykańska pisarka, należąca do nowojorskiej socjety, w swojej twórczości podejmowała temat moralności wyższych sfer USA. Była pierwszą kobietą uhonorowaną Nagrodą Pulitzera (za powieść *Wiek niewinności*), trzykrotnie nominowana do Literackiej Nagrody Nobla.

[132] Zaczarowane Wzgórze to rezydencja wybudowana przez Williama Randolpha Hearsta (1863–1951), magnata prasowego, na wzgórzu San Simeon w Kalifornii. Ta ogromna posiadłość to samowystarczalne miasteczko wzniesione w stylu hiszpańskiego neokolonializmu.

[133] James Graham Fair (1831–1894) – irlandzki imigrant, który stał się potentatem branży górniczej w USA. Dorobił się milionów na kopalniach srebra w Nevadzie i okrzyknięto go „królem srebra”.

[134] Bailey’s Beach – plaża i ekskluzywny prywatny klub w Newport.

[135] Consuelo Vanderbilt (1877–1964) – pochodziła bogatej i wpływowej rodziny Vanderbiltów. Dzięki zaaranżowanemu przez jej matkę małżeństwu z dziewiątym księciem Marlborough w 1895 roku Consuelo – płacząc podczas ślubu – stała się popularną księżną. Po dziesięciu latach para się rozstała, a w 1921 roku uzyskała formalny rozwód.

[136] Julia Berwind (1864–1961) – właścicielka posiadłości Wiązy i społeczniczka w Newport.

[137] Brook Farm Institute of Agriculture and Education – eksperymentalna spółdzielnia rolnicza założona w 1841 roku w pobliżu Bostonu przez unitariańskiego pastora George'a Ripleya i jego żonę. Spółka obiecywała uczestnikom część zysków z gospodarstwa (równą dla każdego jej członka) w zamian za równy udział w pracach; nigdy nie uzyskała płynności finansowej i została zamknięta w 1846 roku.

[138] Raymond Chandler, *Kłopoty to moja specjalność*, przeł. Michał Ronikier, Toruń: C&T, 2009, s. 165.

[139] *How Many Miles to Babylon*? to rymowanka towarzysząca popularnej zabawie dziecięcej, odnotowanej w źródłach etnograficznych w początkach XIX wieku – gracze ustawieni naprzeciw siebie w dwóch rzędach usiłowali przemieścić się ze swojego rzędu do drugiego i nie zostać schwytani przez osobę łapiącą, która patrolowała przestrzeń pośrodku. Jej szkocka odmiana zaczyna się od słów „Queen and King of Cantelon" (przyp. tłum.).

[140] Hattie Carnegie (1886–1956) – jedna z czołowych amerykańskich projektantek mody i właścicielka firmy odzieżowej. Jej stroje były chętnie noszone przez gwiazdy, a ich tańsze wersje zyskały ogromną popularność wśród klasy średniej.

[141] *Brownstones* – kamienice z brązowego piaskowca, typowe dla zamożniejszych rejonów Nowego Jorku, stały się synonimem mieszczańskiego dobrobytu.

[142] Athina Livanos (1929–1974) – córka bogatego greckiego armatora. Poślubiła Aristotelisa Onasisa, także greckiego magnata transportu morskiego, będącego jednym z najbogatszych ludzi swoich czasów, małżeństwo zakończyło się rozwodem. Jej drugim mężem był jedenasty książę Marlborough i markiz Blandford, John Spencer-Churchill (wnuk Consuelo Vanderbilt).

[143] „Florida Crackers" – tak określali się bogaci potomkowie osadników z Południa USA.

[144] Southampton – miejscowość w hrabstwie Suffolk w stanie Nowy Jork. Ma opinię prestiżowej, mieszka tam wiele wpływowych osób i milionerzy.

[145] El Morocco – klub nocny na Manhattanie chętnie odwiedzany przez sławnych i bogatych.

[146] Estoril – kurort w Portugalii, jeden z najdroższych i najbardziej luksusowych na Półwyspie Iberyjskim.

[147] Hammacher Schlemmer – amerykańska firma handlowa założona w 1848 roku, zajmuje się sprzedażą wysyłkową i w stacjonarnych domach towarowych.

[148] Murder Inc. – zorganizowana grupa przestępcza, działająca jako organ egzekucyjny Syndykatu, nowej mafii amerykańskiej, która powstała w latach trzydziestych XX wieku po zlikwidowaniu „starej mafii". Gangsterzy Murder Inc. zajmowali się przede wszystkim morderstwami na zlecenie.

[149] Thorstein Veblen (1857–1929) – amerykański socjolog i ekonomista, uważany za twórcę instytucjonalnej teorii ekonomii. Sławę przyniósł mu traktat *Teoria klasy próżniaczej* (1899), w którym przedstawił stadia rozwoju kulturowego człowieka i ich wpływ na kształtowanie się grup społecznych. Podjął w nim krytykę elit finansowych akumulujących bogactwo, bezproduktywnych i ich ostentacyjnej konsumpcji.

[150] Disulfiram – substancja chemiczna stosowana w leczeniu alkoholizmu.